

FILM W KINACH

ŁUKASZ GRASS

NAJLEPSZY

GDY SŁABOŚĆ STAJE SIĘ SIŁĄ

ŁUKASZ GRASS

NAJLEPSZY

GDY SŁABOŚĆ STAJE SIĘ SIŁĄ

Opisane wydarzenia miały miejsce naprawdę.

Warszawa 2017

Tekst: *Łukasz Grass*
Redakcja: *Marta Drelich*
Korekta: *Anna Żółkiewska*
Dystrybucja: *Żaneta Mlącka*

Marketing: *Małgorzata Pietrucha*

Skład i łamanie: Poligraficy.pl, Warszawa

Zdjęcia w książce: *Wincenty Kołodziejski, Jarosław Łabus, Aleksandra Szymankiewicz*, archiwum prywatne *Jerzego Górskiego i Łukasza Grassa*

Zdjęcia na okładce: *Robert Pałka* (fotografia Jerzego Górskiego), *Rafał Meszka* (fotografia Łukasza Grassa)

Projekt okładki: *Przemysław Dziubek*

© Copyright: Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o. Warszawa + Łukasz Grass
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-8091-443-8

Wydawca:

Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.

ul. Domaniewska 52, 02-672 Warszawa, Polska

www.ringieraxelspringer.pl

www.literia.pl

Warszawa 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

-->

Spis treści

OD AUTORA

OD BOHATERA

Prolog

Kwadratowe życie

Pierwszy strzał

Głód

Milicyjny dołek

Na Drugim Brzegu rzeki

Na górnej pryczy

Halopopierdol

Jak makiem zasiał

„Ura bura, ciotka Zielińska”

Nad przepaścią

Radiowęzeł

Detoks

Ostatni papieros

Mister first place

Ten chuj Kotański

Nic mniej niż wszystko

Pierwszy triathlon

Człowiek z żelaza i „Apostoł Kotańskiego”

Utrzymać koło

Ultraman

100 mil w jeden dzień

Piekło na ziemi

Epilog

KILKA WAŻNYCH FAKTÓW

BIBLIOGRAFIA

Przypisy

Zdjęcia

OD AUTORA

Człowiek, którego za chwilę poznamy, to postać skomplikowana i pełna sprzeczności. Był narkoman, monarowiec, sportowiec, ironman, ultraman, społecznik, prezes firmy, mąż, ojciec. Jego życie wystarczyłoby na napisanie niejednej książki i zrealizowanie kilku filmów. Człowiek, który upadł tak nisko, że już niżej się nie dało, ale również wspiał się tak wysoko, jak wielu nigdy nie wejdzie. Czternaście lat brania narkotyków (morfina, kokaina, heroina), zakłady karne, więzienie, szpital psychiatryczny, dwa lata leczenia w Monarze, wreszcie sześć lat treningu biegowego i triathlonowego doprowadziły go do zwycięstwa w prestiżowych zawodach na dystansie Double Ironman w Alabamie (osiem kilometrów pływania, trzysta sześćdziesiąt kilometrów jazdy rowerem, osiemdziesiąt cztery kilometry biegu). Zawody te, obok biegu The Western States 100-Mile Endurance Run i Ultramana, były w tamtym czasie jednym z najtrudniejszych wyzwań w sporcie wytrzymałościowym i choć nie miały oficjalnie rangi mistrzostw świata, nie przynależały do żadnej federacji i nie odgrywano państwowych hymnów podczas dekoracji, to wśród społeczności triathlonowej i w mediach tak o nich mówiono. W polskiej prasie często używano określenia „nieoficjalne mistrzostwa świata”, chociaż w 1995 roku w „The Independent” można było przeczytać wprost określenie „World Double Ironman Championships”, mimo że organizatorzy nie używali tego zwrotu w nazwie zawodów. Po zwycięstwie Jurka w polskiej prasie pisano: „Piekło na Ziemi. Jerzy Górski Mistrzem Świata”. Samo pokonanie takich odległości na trzy różne sposoby (pływanie, rower, bieg) przez kogoś, kto tkwił w długoletnim uzależnieniu, było już swoistym rekordem świata. Tego nie wymyśliłby najlepszy scenarzysta. Tę historię napisało życie i wszystko, co opisałem, wydarzyło się naprawdę. Część dialogów udało się odtworzyć niemal wiernie na podstawie rozmów ze świadkami, zapisów reportażu radiowych i telewizyjnych, a także wycinków prasowych. Część powstała na podstawie strzępów wspomnień i oddaje sens tego, co działo się w życiu Jurka. Niektóre imiona postaci pojawiających się w książce zostały zmienione, ale fakty pozostają faktami. Czasami musiałem ingerować w chronologię wydarzeń, łącząc wątki, aby czytelnik otrzymał jasny i spójny przekaz, tak jak w przypadku doświadczeń bohatera wyniesionych z pobytu w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu, gdzie leczył się na oddziale dla narkomanów aż siedem razy w latach 1972–1982. Podobna sytuacja dotyczy pobytów w zakładach karnych i w milicyjnym areszcie. Jerzy Górski trafiał tam każdego roku, począwszy od 1969 aż do 1984. Nie sposób opisać wszystkiego ze szczegółami, bo same tylko historie z zakładów karnych we Wrocławiu, Brzegu, Jeleniej Górze czy Lubaniu wystarczyłyby na osobną książkę. Niektóre opisane fakty służą więc za symbol tego, co działo się na przestrzeni mrocznych lat życia bohatera.

Jurka poznałem w 2011 roku. To był początek mojej przygody z triathlonem i czytałem wtedy wszystko, co dotyczyło tej pięknej dyscypliny sportu. W internecie natknąłem się na krótką informację o człowieku, który w 1990 roku wygrał zawody na dystansie Double Ironman, a wcześniej zmagął się z uzależnieniem od narkotyków, alkoholu i papierosów. Byłem świeżo po swoich pierwszych zawodach na dystansie Ironman i właśnie wracałem samochodem z niemieckiego Roth, gdzie co roku odbywają się jedne z najlepiej zorganizowanych zawodów triathlonowych na świecie. Byłem potwornie zmęczony, bo na maratonie, który jest ostatnią

konkurencją Ironmana, dostałem w kość. Myślałem, jak bardzo musiało boleć i jak ogromną walkę stoczył Jurek, aby po kilkunastu latach uzależnienia wznieść się na taki poziom wytrenowania. Zadzwoiłem. Umówiliśmy się na kawę, w locie, szybko, ale konkretnie. Dawno już nie spotkałem tak zaganianego człowieka. Kiedy w kawiarni w pobliżu Dworca Centralnego w Warszawie przywitałem go słowami: „Dzień dobry panu...”, on natychmiast mi przerwał: „Umówmy się, że to było ostatnie «pan». Jurek jestem”.

Pomysł na książkę zrodził się niemal natychmiast, ale dopiero po kilku latach naszej znajomości usiadłem do pisania. Wiedziałem, że nie może to być zwykła biografia. Chciałem przenieść czytelnika w czasie, do świata, w którym żył mój bohater, oddać klimat, odtworzyć dialogi i sytuacje, których był świadkiem. Odwiedzaliśmy miejsca, w których Jurek przypominał sobie historie z dawnych czasów. Niejednokrotnie miał łzy w oczach, kiedy po czterdziestu latach stawał w starej kuchni, gdzie gotował słomę makową i robił heroinę, przed odrapaną kamienicą, gdzie razem z przyjacielem Andrzejem włamał się po raz pierwszy do apteki po morfinę, przed zniszczonym oddziałem szpitala psychiatrycznego w Lubiążu, gdzie próbowano go leczyć, w Zakładzie Karnym w Brzegu, gdzie odsiadywał wyrok dwóch lat więzienia, wreszcie we wrocławskim Monarze, który uratował mu życie.

Dziesiątki, a może setki godzin nagrań, rozmów, podróży, odświeżania znajomości – nawet tak „skomplikowanych” jak rozmowa po latach z milicjantem, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zamykał Jurka na dołku za włamania do aptek. Mam świadomość, że nie do wszystkich udało się dotrzeć, z wielu miejsc nie otrzymałem informacji zwrotnej, kilka osób odmówiło komentarza, a w jednym przypadku pojawiło się ostrzeżenie, że może lepiej nie opisywać mrocznych czasów leczenia w szpitalu psychiatrycznym, bo „nie wszystko jest udokumentowane”. Jeżeli po lekturze tej książki znajdą się ludzie, którzy pamiętają więcej, mają zdjęcia lub dokumenty mogące wzbogacić opowieść o życiu Jurka, proszę o kontakt. Razem z bohaterem tej książki jesteśmy obecni na stronach internetowych www.jurekgorski.pl oraz www.akademiatriathlonu.pl, gdzie opisujemy niewiarygodną historię człowieka z żelaza.

Najlepszy jest opowieścią o totalnym upadku i wielkim powrocie, prawdziwą historią człowieka, którego życie jest dowodem na to, że nigdy nie jest za późno na realizację marzeń – nawet wtedy, kiedy wydaje nam się, że już wszystko stracone.

Lukasz Grass

OD BOHATERA

Dziwne to uczucie, kiedy czyta się o sobie, o człowieku, który zmagał się z tyloma przeciwnościami. W różnych miejscach tej opowieści czułem niedowierzanie, budziły się wspomnienia, które wyciskały łzy. Czasami zapominałem, że czytam o sobie, porywała mnie historia i byłem ciekaw, czy bohaterowi uda się wyjść z opresji. Tak naprawdę po przeczytaniu tej książki zastanawiam się, co się zmieniło w moim obecnym życiu w stosunku do tamtych czasów. Wciąż pędzę. Wciąż wyznaczam sobie nowe cele. Minęło ponad trzydzieści lat od momentu, kiedy stanąłem przed drzwiami Monaru i wyruszyłem na wojnę z okrutnym wrogiem. Dziś mogę powiedzieć, że najtrudniejsze nie jest wcale leczenie, ale funkcjonowanie w codziennym, zwyczajnym życiu, kiedy wszystko zależy tylko od ciebie. Potwierdzają to słowa Marka Kotańskiego, który wiele razy powtarzał mi, że to poza ośrodkiem zaczyna się prawdziwe życie. Wiem jedno – siła jest wtedy, kiedy ma się swoją pasję i ciągle robi coś fantastycznego, swojego, własnego i można się tym podzielić z innymi. I nawet kiedy jest nam źle i przychodzi zwątpienie, to właśnie te chwile są naszym zabezpieczeniem, sprowadzają nas na ziemię i przypominają, że cały czas trzeba być czujnym.

Drogi Czytelniku, jeśli wytrwasz do końca tej powieści, to życzę Ci dużo sukcesów i znalezienia takiej pasji, która będzie Cię prowadzić przez życie.

Jerzy Górski

PROLOG

(Wrocław, 1983)

Na posadzkę więziennej celi wysypałem całą zawartość woreczka, który udało mi się wnieść do środka dzięki opłaconemu klawiszowi. Było w nim wszystko, o co prosiłem: zapalniczka, strzykawka z igłą, a także coś, co za chwilę miało całkowicie zmienić bieg wydarzeń... czekolada. Kupiłem ją za przemycone pieniądze. Te, które przysługiwały mi w ramach tak zwanej wypiski, skończyły się po dwóch tygodniach. Kasa od rodziny ze specjalnej puli była przechowywana w depozycie więziennym i każdy osadzony mógł ją wykorzystać na zakup herbaty, konserw czy papierosów. To czego kupić się nie dało, zdobywałem na lewo. Więzienni strażnicy, jeśli tylko stawali się częścią przemytniczej maszyny, przymykali oczy i załatwiali nam to, co chcieliśmy dostać. Korupcja była na porządku dziennym, a każdej ze stron opłacało się ryzykować. Za pieniądze klawisze zgadzali się niemal na wszystko. Miałem w kiciu nawet narkotyki, przez które tak nisko upadłem. Wtedy, latem 1983 roku, miałem już tego dość. Po dwunastu latach ćpania, kiedy mój organizm uodpornił się na potężne dawki narkotyku do tego stopnia, że dla chwili przyjemności musiałem ładować w żyłę aż dwadzieścia centymetrów heroiny dziennie, chciałem z tym skończyć. Tylko nieliczni heroiniści przeżywali dłużej niż dwa lata nieustannego ćpania tak dużych dawek narkotyku. Oczywiście nie na jeden raz, bo tego nie przeżyłby nikt.

Czułem, że jeśli za chwilę nie przestanę zabijać się na raty, przyjdzie moment, w którym jeden strzał raz na zawsze przerwie zabawę w śmierć i życie. Ważyłem niespełna pięćdziesiąt kilogramów, a z zapadłymi policzkami i wystającymi kośćmi twarzy musiałem wyglądać jak więzień obozu koncentracyjnego. Moje ciało szpeciły grube szramy – blizny na brzuchu i przedramionach od cięć nożem i żyłką. Część po nieudanych próbach samobójczych, część po demonstracji siły i odwagi wobec współwięźniów oraz kumpli od narkotyków. Paliłem prawie sto papierosów dziennie. Piłem i ćpałem takie świństwa, jakich świat nie widział. Biłem się, kradłem, włamywałem się do aptek po morfinę i kokainę, okłamywałem wszystkich, sprawiając ból moim bliskim, a największy matce – jedynej osobie, która kochała mnie bezwarunkowo, a która nigdy od nikogo nie zaznała prawdziwej miłości. Gdybym tylko mógł cofnąć czas... Matka widziała moje cierpienie, a za każdym razem, kiedy dygotałem w narkotycznym głodzie, okrywała mnie kocem i powtarzała z troską: „Jureczku, lepiej pić. Nie bierz narkotyków. Lepiej pić...”. Alkohol, którym władza rozpijała naród, nie był dla niej zagrożeniem, a jedynie niewinną używką. Nie rozumiała, że jest to takie samo gówno jak narkomania. Mimo to przynosiła mi do więzienia, co tylko chciałem. Nie miała wyboru. Po tym jak odszedł od nas ojciec, to ja rządziłem w domu. O nic nie prosiłem. Rozkazywałem.

Musiała się zdziwić, kiedy pewnego dnia dostała wiadomość, że zamiast narkotyków i papierosów potrzebuję pieniędzy na czekoladę. Leżała teraz przede mną na podłodze, a obok niej były łyżka, strzykawka z igłą i zapalniczka. Zwykle zamiast czekolady było coś mocniejszego, ale kiedy kilka dni wcześniej komisja lekarska odmówiła skierowania mnie do szpitala poza murami zakładu karnego, poczułem, że nadszedł odpowiedni moment, aby zrobić użytek z więziennych opowieści o tym, jak najlepiej podejść lekarzy. Chciałem się leczyć, ale

nikt mi nie wierzył. Moje szczere chęci rozpoczęcia leczenia brano za kolejny błąd narkomana, który chce wyjść na wolność tylko w jednym celu – żeby załadować w żyłę. Tym razem na serio wołałem o pomoc, ale nikt poza mną, a już na pewno nie więzienni lekarze, w to nie wierzył. Gdyby tylko sądowi kuratorzy mogli w świetle prawa olać moją osobę, na pewno by to zrobili. W ich oczach byłem skazany na śmierć przez zaćpanie. Ale nie tylko oni widzieli we mnie trupa. Moi kumple od narkotyków, zamiast po imieniu, coraz częściej wołali na mnie Pierwszy Na Liście Do Piachu. Z początku przyjmowałem tę ksywę z dumą, ale kiedy zrozumiałem, że śmierć czyha na mnie za rogiem, obleciał mnie strach. Wiedziałem, że tylko na wolności dostanę szansę na nowe życie. Dlatego po setkach nieudanych prób chciałem podjąć tę ostatnią – najważniejszą. Chciałem pójść do Monaru, ośrodka leczenia uzależnień stworzonego przez Marka Kotańskiego. To było wówczas jedyne miejsce, gdzie narkomani mogli znaleźć prawdziwą pomoc. Musiałem uciec za mury więzienia.

– Wypuszczą cię dopiero wtedy, kiedy zobaczą, że jesteś naprawdę chory – Broda, kryminalista, z którym posadzono mnie w celi, powiedział to z taką pewnością i nonszalancją, jakby chciał wszystkich przekonać, że nie ma w tym więzieniu nikogo, kto zna się na medycynie lepiej od niego. – Musisz im pokazać coś naprawdę przerażającego, inaczej nigdy cię stąd nie wypuszczą – kontynuował.

Dzięki temu, że od pierwszej wizyty w więzieniu, a było ich kilka, zacząłem grypsować i byłem w tym naprawdę dobry, mogłem sprawnie przekazać informację na zewnątrz. Listę potrzebnych akcesoriów spisałem na kartce, którą zwinąłem w rulon. Był wąski jak najcieńszy papieros, tyle że o dwie trzecie krótszy. Włożyłem go pod język i poszedłem na kolejne widzenie z matką. Witając się z nią i całując w policzek, delikatnie wcisnąłem językiem rulonik w kącik jej ust. Przejęła go tak sprawnie, jak gdyby sama przez lata grypsowała w więzieniu i była świetnie zaznajomiona ze wszystkimi technikami potajemnego kontaktu ze światem za murami. W rzeczywistości była już przyzwyczajona do tego triku. Ćwiczyliśmy go na wolności między jedną a drugą odsiadką. Spojrzała na mnie wymownie, jakby chciała się dowiedzieć od razu, czego tym razem potrzebuję. W takich chwilach prawie nic nie mówiła. Patrzyła na mnie wzrokiem pełnym współczucia i milczała. Dziś wiem, że cierpiała, kiedy patrzyła, jak umieram, od lat odrzucając czyjąkolwiek pomoc.

Kilka dni później dostałem to, o co prosiłem. System przemykania był bardzo prosty. Opłacony klawisz odbierał od odwiedzającego paczkę, przymykał oko na to, co jest w środku, i wkładał zamówienie między nasze złożone w kostkę ubrania, które każdego poranka odbieraliśmy zza drzwi celi, a wieczorem znów wystawialiśmy na zewnątrz. Na noc nikomu nie wolno było zatrzymać w celi prywatnych rzeczy, ale przekupieni strażnicy wkładali towar w kieszenie spodni lub koszuli albo w buty tuż przed ich oddaniem następnego dnia rano.

Rozpakowałem czekoladę i połamałem ją na małe kostki. Kilka pasków od razu łączywie zjedliśmy, bo takich rarytasów nie mieliśmy w więzieniu zbyt często. Jedną z kostek pokruszyłem na tak drobne kawałki, jak tylko się dało. Położyłem je na łyżce i podałem Brodzie.

– Trzymaj. Tylko nie upuść! Jak będzie parzyć, to mów – uprzedziłem go.

Z pomocą zapalniczki zacząłem podgrzewać czekoladę, która bardzo szybko przemieniła się w lepki mas. Nie mogłem długo czekać. Wystarczy chwila bez ognia i czekolada znów staje się twarda. Kiedy Broda zaczął przekładać rozgrzaną łyżkę z ręki do ręki, rozcierając oparzone palce, szybko chwyciłem za strzykawkę i jednym pociągnięciem nabrałem czekoladę do pojemnika z podziałką. Z przyzwyczajenia spojrzałem na ilość płynu i lekko docisnąłem tłok, czekając, aż z igły wyleci kropla, ale chwilę później zdałem sobie sprawę ze śmieszności tej

sytuacji. Szybko zrozumiałem, że jeśli natychmiast nie zacznę działać, będzie za późno. Albo czekolada zastygnie, albo ja zacznę zbyt wnikliwie analizować to, co chcę zrobić, i w rezultacie zrezygnuję. Na to nie mogłem pozwolić. Nawet nie spojrzałem na Brodę. Podniosłem strzykawkę i błyskawicznym ruchem wbiłem igłę między szóste a siódme żebro, dociskając jednocześnie tłok. Poczulem przeszywający ból i żar rozlewającej się w płucach czekolady. W jednej chwili zacząłem się dusić. Ból był nie do zniesienia. Poczulem się tak, jakby ktoś powoli wlewał mi gorącą smołę do wnętrza organizmu. Dusilem się. Nie mogłem nabrać nawet płytkiego oddechu. Upadłem. Chwyciłem się za klatkę piersiową, zacząłem machać rękami, jakbym chciał nagarnąć powietrza do ust. Próbowalem coś krzyczeć, ale powoli traciłem świadomość. Jak przez mgłę widziałem Brodę, który przerażony zaczął biegać po celi, walić w drzwi i wołać strażników.

– Więzień się dusi! Pomocy! Kurwa, pomocy! Więzień się dusi! – krzyczał.

Odgłosy wołania o pomoc i uderzania butów o metalowe schody więzienia słyszałem jakby z oddali, przytłumione. Zaczęłem tracić przytomność. Przed oczami przewijał mi się film z życia. Ktoś cofał taśmę, a ja widziałem wszystkie okropności, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Słyszałem nakładające się na siebie słowa, jakby niesione echem, z którymi kojarzyło się tylko zło: dolargan, kodeina, morfina, kokaina, heroina, wódka, papierosy, szpital psychiatryczny, wieszanie się, podcinanie żył, okradanie aptek, więzienie, milicyjny areszt, przypadkowy seks, ból, kłamstwa, przemoc, dzieciństwo, rodzina, pustka...

Umierałem.

KWADRATOWE ŻYCIE (Legnica, 1960–1969)

Wychowałem się w Legnicy, którą nazywano Małą Moskwą. Po zakończeniu II wojny światowej Ruscy zrobili sobie tutaj bazę dla Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej. Gdyby wybuchła III wojna światowa, pewnie stąd kierowaliby inwazją na Zachód. Nieprzerwanie aż do 1993 roku w moim mieście mieszkało kilkadziesiąt tysięcy czerwoarmistów. Do dziś trwa spór o to, czy było to jedno miasto, w którym wspólnie żyli Polacy i Rosjanie, czy może trafniejszym określeniem byłaby nazwa Mały Berlin, na wzór miasta podzielonego murem. Faktem jest, że tuż po wojnie nie było mowy o przyjaźni, a zajmowanie miasta przez Rosjan wyglądało jak najzwyczajniejsza okupacja i wiązało się z przymusowymi wysiedleniami. Marszałek Konstanty Rokossowski, żołnierz polski i radziecki w jednej osobie, rozdawał karty. Wydał rozkaz przeniesienia wszystkich urzędów i mieszkańców na przedmieścia Legnicy. Polacy dostali dwadzieścia cztery godziny na przeprowadzkę do dzielnicy o nazwie Kartuzy. Radzieccy żołnierze wyrzucali z mieszkań tych, którzy się ociągali. Pozwalali zabierać wyłącznie osobiste rzeczy w podręcznym bagażu. Tysiące ludzi godzinami koczowały pod gołym niebem, a część z nich, chcąc uniknąć przesiedlenia pod nadzorem radzieckich mundurów, uciekła z Legnicy. Funkcjonariusze wojewódzkiego UB donosili: „Przesiedlenie to przypominało pewne momenty z okresu okupacji niemieckiej, a stosowane do ludności żydowskiej przy wysiedleniach względnie organizowaniach getta”¹. Dopiero kilka miesięcy później pozwolono Polakom ponownie zasiedlać miasto. Ci, którzy zdecydowali się wrócić, zastali przerażający widok: splądrowane i zniszczone domy, budynki instytucji państwowych, prywatne posesje. Czerwoarmiści, szukając skarbów, zrywali podłogi i rozbijali ściany mieszkań. Rok po zakończeniu wojny Małą Moskwę zamieszkiwało jakieś szesnaście tysięcy Polaków, trzynaście tysięcy Niemców i... sześćdziesiąt tysięcy Rosjan!

Ruscy zajmowali sporą część mojego miasta, należało do nich trzydzieści procent zabudowań. Zabrali wszystkie najlepsze dzielnice, a przede wszystkim najbogatszą i najpiękniejszą – Tarninów. Otoczony dwumetrowym murem stwarzał wrażenie innego świata, w którym jak królowie żyli rosyjscy generałowie i oficerowie. Nazywaliśmy tę część Małej Moskwy Kwadratem, a wstępu do niego strzegli uzbrojeni strażnicy. Podczas gdy większość Polaków żyła w poniemieckich kamienicach i blokach z wielkiej płyty, najwyżsi rangą żołnierze radzieccy zajmowali ekskluzywne wille, które jeszcze na początku XX wieku należały do legnickich adwokatów i lekarzy. Kwadrat można by odciąć od świata, a i tak by sobie poradził. Był samowystarczalny. Sklepy, kina, kawiarnie i banki to tylko ułamek tego, co można było tam zobaczyć. Mieszkałem w ostatniej polskiej kamienicy, za którą rozciągał się już tylko mur rosyjskich domów i koszar – enklawa dla wybranych, tych z przepustkami i w mundurze. Nikt nie mógł tam wejść bez specjalnego pozwolenia, ale nam, dzieciom, udawało się przechytryć strażników i niezauważenie wtopić w rzeczywistość za murami radzieckiej bazy. Znałem trochę język rosyjski i z powodzeniem mogłem wcielić się w dziecko żołnierza bratniej armii. Nauczyłem się przeskakiwać na czerwoną stronę, gdzie kupowałem mięso, czekoladę i inne rarytasy, których poza murami nie można było uświadczyc. Ekspedientki musiały zdawać sobie

sprawę, że do lady podchodzi polskie dziecko. Mimo że znałem podstawy rosyjskiego, to przecież mówiłem z akcentem i każdy rodowity Rosjanin musiał to słyszeć. Ale może dla nich nie było wówczas istotne, kto płacił, tylko czy płacił. Nielegalny ruch towarów odbywał się w obu kierunkach. Czasami przemykałem na ruską stronę dachami budynków, które przylegały do jednego ze sklepów. Na przykład dachem naszej szkoły, która sąsiadowała z Kwadratem, a której boczna ściana przylegała do ściany pawilonu handlowego. Po zakupy wysyłali mnie nie tylko rodzice, ale również sąsiedzi, którzy nie mieli dzieci albo których dzieci były zbyt małe na takie eskapady. Wybierałem moment, kiedy ruch po drugiej stronie muru był na tyle mały, że można było niepostrzeżenie przeskoczyć na drugą stronę i bez skrępowania, pewnym krokiem, szedłem w stronę dużego domu handlowego, przypominającego dzisiejsze galerie handlowe. Było w nim mnóstwo różnego rodzaju sklepów porzucanych na kilku piętrach: mięsny, spożywczy, przemysłowy, z meblami i dywanami, osobny sklep ze słodyczami, gdzie spędzałem najwięcej czasu, choćby tylko po to, aby na wszystko patrzeć godzinami. Tam można było się poczuć jak w innym świecie. Dla mnie, wtedy kilkuletniego dziecka, był to świat jak z bajki. Nie rozumiałem, dlaczego za murem mogło być tak dobrze, a po naszej stronie wszyscy klepali biedę. Zdarzało się, że po zakupach wychodziłem głównym wejściem, mijałem strażników z towarem w ręku i uśmiechałem się od ucha do ucha, jakbym właśnie dostał rower na Gwiazdkę. Pilnowali, kto wchodził, ale zupełnie nie przejmowali się tym, kto wychodził z Kwadratu. Czasami dla niepoznaki podłączałem się do jakiegoś małżeństwa i z siatką pełną zakupów maszerowałem dziarsko obok nich. Nikt, patrząc z boku, nie miał wątpliwości, czym jestem dzieckiem. Ale jednego razu omal nie wpadłem w ręce wartowników. Przeskakiwałem przez mur od strony naszej szkoły i jeden ze strażników to zauważył. Zaczął mnie wołać. Kiedy udałem, że go nie słyszę i pobiegłem przed siebie, zaczął mnie gonić. Uciekłem do domu handlowego i wmieszałem się w tłum klientów. Włóczyłem się długo po sklepach, zanim zdecydowałem się ponownie wyjść na zewnątrz. Tamtego dnia niczego już nie kupiłem. Bałem się, że mundurowi tylko czekają na sygnał od ekspedientek, że przy ladzie pojawił się podejrzany dzieciak. Wróciłem do domu, przeskakując przez mur w zupełnie innym miejscu. Może niepotrzebnie spanikowałem, bo co takiego mogliby zrobić rosyjscy żołnierze, gdyby mnie złapali? Przecież nie wsadziliby mnie do więzienia. Pewnie groźnie pokiwaliby palcem i odesłali na drugą stronę muru. Byliśmy na siebie skazani, choć pod koniec lat osiemdziesiątych zaostriżyły się protesty mieszkańców Legnicy, którzy nie życzyli sobie obecności obcego wojska w mieście. Widziałem, jak wiele razy w ciągu roku protestowano, i słyszałem, jak narzekano, że Ruscy zabrali nam wszystko, co najlepsze. Wielu mieszkańców, przede wszystkim ci, którzy żyli z handlu, popierało obecność Rosjan. Twierdzili, że dzięki temu mają za co żyć. Jako dziecko nie uczestniczyłem w tych dyskusjach i protestach, niewiele też wówczas z tego wszystkiego rozumiałem. Później, kiedy byłem na tyle dorosły, żeby pojąć geopolityczne zawiłości, też niewiele mnie to obchodziło. Za bardzo pochłaniało mnie ćpanie.

Byłem bardzo energicznym dzieckiem. Wszędzie było mnie pełno. Kochałem gimnastykę i tenis stołowy. Obok mojej kamienicy był klub Legmet, w którym organizowano tak zwane fajfy. Grała wtedy kapela na dwie gitary i perkusję, ale to zafascynowało mnie zdecydowanie później. O wiele ciekawsze było to, że stał tam stół do ping-ponga, przy którym mogłem grać. Wykorzystywałem każdą okazję, żeby wyrwać się chociaż na pół godziny. Mówiłem matce, że

idę wyrzucić śmieci, po czym znikalem, aby rozegrać jednego seta. Byłem tam jednym z najmłodszych, ale nie traktowano mnie jak gówniarza, bo byłem odważny. Ja imponowałem im, a oni mnie. Takich miejsc, w których poznawałem starszych od siebie chłopaków i chłonałem ich styl życia, było wiele.

Moja mama była piękną kobietą. Uganiały się za nią tabuny mężczyzn. Bili się o nią cepami, tak była atrakcyjna. Mojego ojca poznała już jako mężatka na jakimś weselu i uciekła z nim prosto z zabawy. Kilka lat po zakończeniu wojny wyjechali z podradomskiej wsi i wraz z przesiedleńcami ze wschodu, szukając swojego miejsca na Ziemi, zawędrowali na drugi koniec Polski do Legnicy. Mama nie była wykształcona. Ukończyła jedynie pięć klas szkoły podstawowej, co w czasach II wojny światowej i tuż po niej było powszechnym zjawiskiem. Razem z ojcem zarabiali na życie w ryzykowny sposób. Potajemnie garbowali i sprzedawali skóry. Wtedy było to zakazane, a kiedy w 1958 roku milicja złapała moich rodziców na nielegalnym handlu, mama wzięła winę na siebie i poszła siedzieć. Ja wylądowałem na dwa lata w domu dziecka u sióstr zakonnych. Nosilem jeszcze wtedy nazwisko Zawadzki – rodowe mojej matki, Antoniny Kasprzyk, która nie miała przecież formalnego rozwodu z pierwszym mężem. Nazwisko po ojcu przyjąłem dopiero po ukończeniu szkoły podstawowej. Matka chwyciła się każdego zajęcia – sprzątała w prywatnych domach, ośrodkach kultury i szkołach. Zabierała mnie czasami ze sobą i, jeśli tylko była ku temu okazja, bawiłem się razem z innymi dziećmi, często dużo starszymi od siebie. Tak było między innymi w popularnym Empiku, czyli miejscu, w którym organizowano dla młodzieży zajęcia pozalekcyjne i kółka zainteresowań. Mama zapisała mnie nawet na lekcje rysunku, ale niewiele z tego pamiętam. Nie wiem nawet, czy przejawiałem jakiegokolwiek zdolności artystyczne w tym kierunku. Zdecydowanie wolałem aktywność fizyczną. Zakochałem się w gimnastyce. Miałem wszelkie fizyczne predyspozycje do tego sportu. Byłem niezbyt wysoki, dość drobny, ale zwinny. W szkole podstawowej trenowałem na dobrym poziomie i zajmowałem wysokie miejsca na podium nawet w zawodach wojewódzkich. Moją specjalnością były ćwiczenia na drążku, ale startowałem również w skoku przez konia i ćwiczeniach wolnych. Tuż przed końcem szkoły podstawowej, kiedy trzeba było podjąć decyzję o wyborze szkoły średniej, wiedziałem, że chcę iść tam, gdzie będę miał czas na trenowanie, a nie tylko na naukę. Poważny sport, o jakim myślałem, wymagał poświęcenia, a ja tylko czekałem na ostatni szkolny dzwonek, aby jak najszybciej dostać się do klubu i rozpocząć trening. Miałem wspaniałego trenera gimnastyki, który doprowadził mnie do pierwszego dużego sukcesu – zdobycia mistrzostwa Legnicy. Najważniejsza była sala gimnastyczna. Niestety, nie dla moich rodziców, a szczególnie nie dla ojca, który chciał, żebym został mechanikiem samochodowym i w przyszłości otworzył warsztat. Nie dogadywaliśmy się. Mieliśmy inne cele i dążenia. Ojciec twierdził, żebym przestał zajmować się głupotami, bo ze skakania przez konia nie wyżyję. Nalegał, abym po ukończeniu podstawówki wybrał szkołę z zawodem, który da mi pieniądze, ja odpowiadałem, że nie interesuje mnie motoryzacja, a już na pewno nie grzebanie w silnikach samochodów. Niewiele jednak miałem do gadania i koniec końców wylądowałem w samochodówce. Ale w proteście olewałem szkołę jak tylko mogłem. Wykorzystywałem każdy pretekst, żeby zamiast na lekcję pójść na trening. Dostałem się do sekcji akrobatyki i na ćwiczenia poświęcałem nawet cztery godziny dziennie, pięć razy w tygodniu. Niestety, nikt w domu nie rozumiał i nie akceptował mojej pasji. Ojciec coraz częściej dawał mi do zrozumienia, że czas najwyższy dać sobie spokój z popisami w krótkich gaciach i zająć się poważnymi rzeczami. Szukając zrozumienia i ucieczki od problemów w domu, poszedłem swoją drogą, która po kilku latach doprowadziła mnie do piekła.

Jak w większości takich przypadków zaczęło się niewinnie, od palenia papierosów. Pierwszego macha zaliczyłem już w piątej klasie szkoły podstawowej. Kilkaset metrów od mojej kamienicy, na terenie należącym do Rosjan, znajdował się wojskowy tor przeszkód, na którym żołnierze ćwiczyli, jak zawojować Zachód. To tam, pod ogrodzeniem, znalazłem peta, pozostałość po niedopalonym przez rosyjskiego żołnierza papierosie, którym zaciągnąłem się po raz pierwszy. Były to specyficzne papierosy, w niczym niepodobne do tych, które paliłem później. Nazywały się Biełomorkanał, a ich nazwa, jak się później dowiedziałem, pochodziła od kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Na opakowaniu narysowana była mapa Związku Radzieckiego. Zaznaczono na niej kanały wodne zbudowane za czasów Stalina, które łączyły rzeki wpadające do mórz: Białego, Bałtyckiego, Azowskiego, Czarnego i Kaspijskiego. Była to uboga ilustracja hasła, które miało świadczyć o potędze ZSRR nawet w takiej dziedzinie jak gospodarka morska: „Moskwa portem pięciu mórz”. Wówczas nie rozumieliśmy nic a nic z radzieckiej propagandy, ale z młodzieńczą naiwnością docenialiśmy potęgę ZSRR, która nawet na paczkach śmierdzących fajek potrafiła chwalić się swoją siłą.

Żeby zapalić biełomorkanała, trzeba było ścisnąć zębami pusty kartonowy ustnik najpierw z jednej, potem z drugiej strony, dzięki czemu tworzyła się płaska końcówka. Wkładaliśmy ją do kącika ust i pociągaliśmy, udając dorosłych. Za pierwszym razem myślałem, że się porzygam. Nie potrafię przyrównać tego, co poczułem, do żadnego znanego mi, odrzucającego smaku, ale było to tak okropne, że przez kilka minut powstrzymywałem odruchy wymiotne. Potrzeba imponowania kolegom i koleżankom była jednak na tyle silna, że nauczyłem się czerpać z tego świństwa przyjemność. I to do tego stopnia, że po kilku latach musiałem sięgać po papierosy już niemal sto razy dziennie! Nawet narkotyki nie uzależniły mnie tak mocno jak nikotyna. Paliłem także wtedy, kiedy trenowałem gimnastykę. Ubrany w sportowe szorty i białą koszulkę na ramiączkach, potrafiłem wybiegać z sali gimnastycznej, wykorzystując każdą najkrótszą przerwę, i za budynkiem sali gimnastycznej puszczałem dymka z kolegami. Najczęściej paliliśmy sporty, najbardziej popularne w tamtym okresie papierosy. Zresztą później właśnie tak je nazwano – Popularne. Chodziło o zerwanie semantycznego powiązania między sportem a paleniem papierosów. My jednak i tak nazywaliśmy je po swojemu: gwoździe, popularesy albo jeszcze chętniej killersy, co chyba najlepiej oddawało ich moc. Były bez filtra. Ilość nikotyny i substancji smolistych w jednym papierosie z powodzeniem mogłaby wystarczyć na kilka. Później trafiły nam się nawet kubańskie partagasy, choć ten gatunek wymagał od palacza nie byle jakiej odwagi i odporności na moc nikotyny. Tak mocnych papierosów nigdy później już nie paliłem. Sprzedawano je po dziesięć lub dwadzieścia sztuk w opakowaniu, ale nikt z nas nie był w stanie wypalić samodzielnie całego. Już jako nastolatek w zasadzie nie rozstawałem się z papierosem, a kiedy skończyłem osiemnaście lat, przestałem się z tym kryć nawet w domu. Jurek Górski bez papierosa? Niemożliwe! Zdarzało się, że zasypiałem i budziłem się z papierosem w zębach, a czasami matka wyciągała mi niedopałek z ust podczas snu. Do kibla zawsze chodziłem z paczką fajek, leżała na stole nawet podczas niedzielnego obiadu... Zresztą to był już czas, kiedy niedzielny obiad i rodzinne relacje gównem dla mnie znaczyły. Liczyła się jedynie czysta przyjemność, której dostarczała mi nikotyna. Przerywała ją tylko inna, silniejsza przyjemność – najpierw seks, a później heroina.

W szkole... bywałem. Tak najkrócej i najdobitniej mogę opisać mój stosunek do zdobywania

wiedzy. Odkąd pamiętam, zawsze miałem problemy z przejściem z klasy do klasy, brałem korepetycje, za które płaciła albo moja matka sweterkami robionymi na drutach, albo ja, odwiedzając co jakiś czas Kwadrat i kupując u Ruskich mięso dla nauczycieli. Rzadko dostawałem oceny wyższe niż trója. O ile moi rodzice mogli pomagać mi w nauce prostych czytanek albo we wkuwaniu tabliczki mnożenia, o tyle rozwiązywanie funkcji matematycznych było dla nich czarną magią. Ale ja nie byłem bez winy. Nie chciało mi się uczyć. Nie mam pretensji do rodziców, że nie zdobyłem wystarczająco wcześnie wykształcenia, które mogłoby mi dać lepszy start w życiu. Szczególnie matka starała się jak mogła, a wiedząc, że sama nie ma odpowiedniego wykształcenia, aby mi pomóc, co rusz załatwiała korepetycje, a później zarywała noce, robiąc na drutach ubrania, którymi płaciła za moje doksztalcenie. Bezskutecznie. W piątej klasie szkoły podstawowej, mimo korepetycji i wełnianych sweterków dla polonistki, musiałem powtarzać rok. Mój język ojczysty okazał się trudniejszy niż język wroga spod czerwonej gwiazdy, ale rosyjski doskonaliłem przecież w praktyce, wtapiając się co jakiś czas w świat stworzony w moim mieście przez przyjaciół z za wschodniej granicy. To w zupełności wystarczało do otrzymania oceny dostatecznej. Czwórki lub piątki kupowałem sobie za kawałek wołowiny przyniesionej z Kwadratu. Na polskim nie kończyło się na mówieniu i łapówkach – trzeba było czytać i pisać, zachowując przynajmniej podstawowe zasady ortografii i interpunkcji, a z tym miałem najwięcej problemów. Polski i historię pokochałem później, ale nie dlatego że interesowała mnie poezja czy ostatni rozbiór Polski. W technikum samochodowym wszyscy mieli świadomość, że w tym miejscu kształcą się przyszłych mechaników, nie poetów, i na obu tych przedmiotach mogłem odsypiać nocne imprezy. Kłopoty w szkole były jedną z przyczyn uciekania w towarzystwo, które w przeciwieństwie do języka nauki doskonale rozumiałem. Moi znajomi byli nieskomplikowani, a spotkania z nimi pełne przyjemności i akceptacji, która dawała mi poczucie wartości i przynależności. Ten mało złożony świat rozumiałem. Tego, co proponowała szkoła, nie – i nikt nie był w stanie mi pomóc. Ba! Jeżeli coś w szkole zawałiłem, obrywałem od rodziców i nauczycieli. Kurwa! Obrywałem od dorosłych za to, że czegoś nie rozumiałem. Na lekcjach bito za złe zachowanie albo postawienie iksa w miejscu, gdzie powinien być igrek! W szkole mogłem liczyć na adrenalinę związaną wyłącznie ze strachem. Pojebany, PRL-owski świat. To dlatego uciekałem tam, gdzie mogłem zaimponować rówieśnikom bez narażania się na śmieszność. Moi kumple cierpliwie tłumaczyli każde zagadnienie, aż pojąłem nawet najbardziej złożony mechanizm produkcji narkotyków. A robili to z takim zaangażowaniem i przychylnością, że zamiast strachu czułem podniecenie, którego tak bardzo brakowało mi na lekcjach fizyki, podczas których nauczyciel lał nas wielkim, drewnianym cyrklem.

Młodzi ludzie zawsze chcą mieć coś swojego, coś, czym się wyróżnią i zapiszą na kartach historii, albo co najmniej stworzą sobie świat, w którym żaden dorosły nie będzie wtykać nosa w ich sprawy. Niestety, naszym problemem było to, że stworzyliśmy sobie świat zabójczy, świat, w którym do pewnego momentu z uśmiechem na ustach nieświadomie się zabijaliśmy.

PIERWSZY STRZAŁ (Legnica, 1969)

Dorastałem w domu, w którym nie było dobrych warunków do rozwoju. Mieszkaliśmy w starej ponemieckiej kamienicy, z drewnianymi schodami i podłogami. Gnieździliśmy się w jednym małym pokoju, razem z ojcem i matką, co było wystarczającym powodem do ucieczki z domu przy każdej nadarzającej się okazji. Do piętnastego roku życia spałem na jednym łóżku z matką, podczas gdy ojciec zajmował mniejsze pod ścianą. Do dzisiaj nie mogę tego zrozumieć. Najgorszą rzeczą dla młodego człowieka w wieku dojrzewania jest brak własnych czterech kątów, schronu, do którego inni członkowie rodziny mogą wejść tylko na specjalne hasło. Wszystko mieliśmy wspólne: szafę na ubrania, komodę, stół i tapczan. Czułem się, jakbym był pod stałą obserwacją, odarty z intymności i pod wieczną presją. Nie lubiłem wracać do domu. Wolałem godzinami włóczyć się po ulicach miasta, spędzać czas w klubach i u kolegów, niż siedzieć w jednym, ciasnym pokoju z rodzicami, co, kiedy wkroczyłem w wiek dojrzewania, stało się nie do zniesienia. Pomieszczenie, w którym szykowaliśmy śniadania, obiady i kolacje, trudno było nazwać kuchnią. Toaletę mieliśmy na korytarzu, na półpiętrze kamienicy. Całe szczęście była tylko dla nas i sąsiadów zza ściany. Nie musieliśmy jej dzielić z mieszkańcami całego budynku, a i takie sytuacje się zdarzały. Szczególnie w weekendy, kiedy wolnego czasu było aż nadto, nie spędzałem w pokoju ani minuty dłużej, niż było to konieczne. Tak jak tamtej niedzieli, kiedy po raz kolejny próbowałem wymknąć się do świata dzieci kwiatów – hipisowskiego ruchu, który w Polsce rozwinął się na niewielką skalę, w przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych. Imponowało mi to, że hipisi negowali świat, którego ja też tak bardzo nienawidziłem – świat dorosłych, szkołę, rodziców, wojnę. Tak jak oni, nie wierzyłem nikomu po trzydziestce i sprzeciwiałem się wszelkim zakazom. Tego dnia czekałem tylko, aż skończy się śniadanie.

– Na dziesiątą idziemy do kościoła. Nigdzie się teraz nie szwendaj. Zrozumiałeś? – Usłyszałem głos mojego ojca, który w każdą niedzielę starał się grać przykładowego katolika.

Śniadania spożywane tuż przed wyjściem były jak największa tortura.

– A po kościele mogę? Do Andrzeja – spytałem nieśmiało.

Raczej odgrywałem strach, niż faktycznie go czułem. Jak najszybciej chciałem się wyrwać z domu.

– Po co? – zapytał ojciec po chwili milczenia.

– Aaaa, tak se, posiedzieć, pogadać, muzyki posłuchać...

Zapadła niezręczna cisza. Zawsze, kiedy po moim pytaniu długo milczał, wiedziałem, że za chwilę powie „tak”. Wreszcie, po kilku minutach ciszy, w czasie których ani ja, ani matka nie śmialiśmy się odezwać, ojciec wstał od stołu i wychodząc do kuchni, rzucił:

– Przed dwudziestą chcę cię widzieć w domu.

Odetchnąłem z ulgą. Wyrwanie się na kilka godzin z tej klitki było moim marzeniem. Ostatnie kęsy śniadania raczej połknąłem, niż pogryzłem, i szybko skierowałem się do wyjścia. Przechodząc obok kuchni, zerknąłem jeszcze na ojca, który stał przy oknie i palił papierosa. Mimo że przed chwilą wyraził zgodę na moje wyjście, przemknąłem obok niego tak cicho, jak

tylko potrafiłem, w obawie, że może zmienić zdanie, zatrzymać mnie i wymyślić coś, co zajmie mi całe popołudnie. Wszedłem na półpiętro klatki schodowej, gdzie mieliśmy kibel. Wszedłem do środka. Stałem na muszli klozetowej. Jedną nogę oparłem na rurze kanalizacyjnej, a drugą na ścianie, dzięki czemu mogłem ręką sięgnąć do wentylatora w rogu pomieszczenia, tuż pod sufitem. Wymacałem foliowy worek, w którym upchnąłem zwinięte w nieładzie ubrania – kolorową koszulę w kwiaty i dżinsy. Schowałem wszystko za pazuchę i ostrożnie, rozglądając się na boki, wyszedłem na korytarz. Toaleta na półpiętrze była moim schronem, moim własnym pokojem, jedynym pomieszczeniem, do którego ktokolwiek pukał. Ponieważ bywało, że sikaliśmy z ojcem do zlewu w kuchni – szczególnie w nocy żadnemu z nas nie chciało się wychodzić na zewnątrz – częstotliwość korzystania z przybytku spadła na tyle, że mogłem przesiadywać w kiblu godzinami. Mój ojciec nie interesował się mną do tego stopnia, że kłamstwa o rozwolnieniu przyjmował w ciemno. Zanim zacząłem chować w toalecie morfinę, kokainę i inne narkotyki, upychałem tam wszystko, co mogło wywołać jego wściekłość. Zabiłby mnie, gdyby odkrył te hipisowskie ciuchy. To był mój mundur. Zewnętrzna oznaka przynależności do armii wyzwolenia *make peace, not war*. Zdobycie kwiecistej koszuli i kolorowych spodni było trudniejsze niż zrobienie w chuja ruskich żołnierzy i przedostanie się na ich stronę po mięso i czekoladę. W tym stroju, z papierosami w ustach, byliśmy panami świata, biskupami kościoła urojen i wiecznego haju. Choć do tej pory wachaliśmy tylko płyn Tri i łykaliśmy lekarstwa, wiedzieliśmy, że dzień uniesienia nadejdzie lada moment. Czekanie na pierwszy strzał z morfiny było równie ekscytujące jak czekanie na pierwszy seks. Narkotyzując się tanimi chemikaliami, marzyliśmy o czymś, co było dostępne tylko dla wtajemniczonych. Ale w podstawówce wachanie rozpuszczalnika, który wchodził w skład środków do prania chemicznego i tak było szczytem odwagi. Na małe szmatki nalewaliśmy trochę płynu Tri, przykładaliśmy je do ust i nosa, i przez kilka minut oddychaliśmy tylko oparami. To była najprostsza forma wprawiania się w stan odurzenia. Tri był tani, dostępny w każdym sklepie chemicznym, a co najważniejsze – legalny, więc nikt nie mógł nam zarzucić łamania prawa. Poza tym, kiedy mieliśmy mało czasu i trzeba było się spieszyć z powrotem do domu, klejenie się – jak nazywaliśmy tę czynność – było szybkie i krótkotrwałe. Już po kilku minutach pojawiały się urojenia, zamroczenie i to, na co czekaliśmy najbardziej – euforia i oszołomienie. Miałem dziwnie przyjemne uczucie, jakby rozpuszczał mi się mózg, a w głowie huczało od dźwięków, które po uderzeniu w wielki dzwon rozchodzą się rytmicznie echem i zanikają w oddali: „ła-ła-ła, ła-ła...” . Kiedy do zabawy w urojenia dołączyliśmy narkotyzowanie się klejem Butapren, czasami któryś z nas zaczynał bełkotać, co dla pozostałych, którzy jeszcze nie osiągnęli tego stanu, było doskonałą rozrywką i okazją do pośmiania się z kolegów. Taki stan trwał krótko, po czym mogliśmy wrócić do domu, jak gdyby nigdy nic. Czasami pojawiały się objawy świadczące, że z naszym organizmem dzieje się coś niepokojącego – zapalenie spojówek, kaszel, katar lub kompletny brak apetytu, ale były to jednak na tyle zwyczajne przypadłości, że spowodować je mogło cokolwiek – od przeziębienia po alergię.

Systematyczne wizyty w klubie Legmet i cierpliwe oczekiwanie na akceptację starszych kolegów wreszcie przyniosło efekt. Pewnego dnia otworzyłem drzwi do świata twardych narkotyków. Zatrzasnęły się za mną na wiele lat, jak wielkie wrota zamku, których samemu nie sposób otworzyć.

Naszym guru, mistrzem ceremonii i punktem odniesienia był Chrabąszcz. Chrabąszcz był kimś. Był uosobieniem hipisa i każdy legnicki hipis chciał być taki jak on. Nie tylko wyglądał jak Jezus, co przy naszym stosunku do wiary i stylu życia było pożądanym kontrastem, ale

przede wszystkim wiedział, skąd zdobyć nowe płyty Janis Joplin i świeże teksty Timothy'ego Leary'ego. To właśnie od tego harwardzkiego profesora Chrabąszcz zaczerpnął swoje życiowe motto: „Włącz się, dostrój i odpadnij”. Niestety, jak wielu hipisów, rozumiał te słowa niezgodnie z intencjami autora i powoli ze świata dzieci kwiatów wpadał w świat twardych narkotyków. Zresztą jak wielu, którzy w połowie lat siedemdziesiątych porzucili kolorowe idee dla morfiny, a później heroiny.

To Chrabąszcz pokazał nam, jak zrobić pierwszy krok w stronę prawdziwych narkotyków.

– Klejenie się to pikus – mawiał. – Majka to jest dopiero towar! Morfina daje takiego kopa, że... To jak niekończący się orgazm.

Niekończący się orgazm! Nikt nie śmiał prosić o więcej. O tym, że jednak kończy się boleśnie, mieliśmy przekonać się po latach, ale wówczas, w 1969 roku, nikt nie chciał słuchać o czymś, co miało perspektywę dłuższą niż jeden dzień. *Carpe diem* – to była nasza dewiza. Nawet Chrabąszcz nie był na tyle bystry, aby przewidzieć, jakie skutki wywoła podanie zbyt dużej dawki morfiny. Jedyłą miarą, jaką stosowaliśmy, było pragnienie, jedynym narzędziem do wyznaczania dawki narkotyku – ludzkie oko. Rzyganie było ceną, jaką płaciliśmy za chwilę przyjemności. Kilka lat później oddałbym wszystko, żeby tylko tym płacić za świństwa, które brałem.

Wyszedłem przed dom. Była gorąca, czerwcową niedzielą. Słońce powoli opalało już kamienice po jednej stronie ulicy. Budynek po drugiej rzucały cień, który sięgał do połowy jezdnii, dając mieszkańcom trochę ulgi. Ktoś wystawił magnetofon na parapet i puszczał piosenki. Leciała Halina Kunicka. „*Czumbalalajka...* Kurwa, co to za tytuł?!” – myślałem, szybkim krokiem obierając kierunek na swój świat – z Hendriksem, Janis Joplin, Black Sabbath i Deep Purple. Przez dobrą minutę, zanim skryłem się za rogami kamienicy, dobiegał mnie głos Kunickiej:

*Czumbala, czumbala, czumbalalajka,
nic nie mów, bo słowa zabiera wiatr.
Choć może szczerze – ja ci nie wierzę,
już tyle bajek wymyślił świat.*

Kilkoro dzieciaków bawiło się na chodniku, a z mieszkań wydobywał się na ulice zapach szykowanych obiadów. Rosół, kotlet schabowy i ziemniaki – niedzielny standard na godzinę dwunastą, czyli zaraz po kościele. Nie byłem głodny. Chciało mi się palić. Musiałem z tym poczekać, aż schowam się za kamienicę na końcu ulicy. Moi rodzice pewnie zdawali sobie sprawę z tego, że popalam, ale nigdy jeszcze nie złapali mnie na gorącym uczynku. Gdyby stary zobaczył mnie z petem w ustach, stłukłby na kwaśne jabłko. Byłem przecież nieletni, za młody. Nawet nie chodziło o to, że nikotyna to trucizna. Problemem było to, że wchodzę do świata, który zarezerwowany jest wyłącznie dla dorosłych.

Kiedy tylko minąłem róg ostatniej kamienicy, szybko wyjąłem zza pazuchy kolorowe ubrania i wymacałem wszystkie kieszenie w nadziei, że znajdę jeszcze pozostałości papierosów. Nie było żadnego. Schowałem wszystko i pobiegłem w stronę bloku, w którym mieszkał Andrzej – mój najlepszy przyjaciel. Jak zwykle umówiliśmy się na spotkanie tuż obok radzieckich koszar, za murkiem okalającym teren do ćwiczeń. Tam zawsze można było znaleźć jakiegoś peta. Rusczy, którzy ćwiczyli na torze przeszkód, chętnie nas częstowali. Oczywiście przychodziliśmy tam patrzeć, jak trenują, ale o wiele bardziej interesowało nas to, co znajdziemy pod płótnem tuż

po zakończeniu musztry. Kiedy wpatrywałem się w ziemię w poszukiwaniu niedopałków, usłyszałem Andrzeja.

– Cześć!

– Cześć – rzuciłem szybko i wróciłem do szukania. – Kurwa, jak mi się chce palić!

Andrzej bez słowa wyjął z kieszeni napoczętą paczkę sportów, sprawnym ruchem dłoni potrząsnął zawartością, a z okienka na górze wysunął się papieros. Dorwałem się do niego tak szybko, jakby Andrzej zamierzał za chwilę cofnąć rękę. Już wtedy, jako kilkunastoletni chłopak, uzależniłem się od nikotyny tak skutecznie, że jeden, dwa dni bez papierosa powodowały u mnie napady złości. Wytworzyłem w swojej głowie silne skojarzenie przyjemności z paleniem, nie mogłem się bez tego obejść, a przyjemniejsze było tylko onanizowanie się.

– Wstawaj, idziemy. Czekają na nas. – Andrzej powiedział to tonem, który dawał do zrozumienia, że ma się wydarzyć coś wyjątkowego. – Tylko zmień te ciuchy, bo nas nie wpuszczą – dodał.

– Nie mogę. Ojciec kazał mi iść do kościoła. Muszę się tam pokazać.

Nie odczuwałem potrzeby chodzenia do kościoła. Nie modliłem się, unikałem spowiedzi i rzadko chodziłem do komunii świętej. Wkurwiała mnie hipokryzja ludzi, którzy w każdą niedzielę udawali świętych, a w ciągu tygodnia widziałem i słyszałem, jak ich domy huczały od pijackich libacji, rozrób, a nawet prób gwałtu. Jakby mieli schizofrenię, jakby żyli równolegle w dwóch wykluczających się światach. Widząc to, czułem wewnętrzny konflikt między tym, co oficjalne, a tym, co prawdziwe.

Uzgodniliśmy z Andrzejem, że staniemy przed drzwiami świątyni na kilka minut przed rozpoczęciem mszy, zanim jeszcze ludzie wejdą do środka, tak aby każdy wierny wchodzący do kościoła mógł nas zobaczyć. Należało się pokazać jak największej liczbie osób, które później mogłyby poświadczyć, że nas widziały. Dzięki temu różni znajomi naszych rodziców mogli chwalić, jakie to porządne dzieci udało im się wychować. Oczywiście musieliśmy być na miejscu na tyle wcześnie, aby moi rodzice, wchodząc do kościoła, również widzieli, że jestem i godnie reprezentuję rodzinę na cotygodniowym obrzędzie liturgicznym. Kiedy tylko ksiądz rozpoczynał mszę, ulatnialiśmy się możliwie dyskretnie i zaczynaliśmy swoje zajęcia. W tamtych czasach nikt nie miał pojęcia, że niewinnie wyglądające wachanie tri i butaprenu może w konsekwencji doprowadzić do uzależnienia od narkotyków. Nikomu nie przyszło do głowy, że przyjemność, jaką wywoływały substancje chemiczne zawarte w kleju i rozpuszczalniku, za chwilę osiągnie swoje maksimum i aby wejść na wyższy poziom, potrzebna będzie morfina, a później solidny narkotyk – heroina.

Po odstawieniu tego całego cyrku z obecnością w kościele czym prędzej udaliśmy się w kierunku domu Chrabąszcza, gdzie często spotykaliśmy się całą paczką hipisów i słuchaliśmy muzyki. Kiedy przyszliśmy z Andrzejem na miejsce, zza drzwi mieszkania dochodziły rockowe dźwięki i słychać było śmiech dziewczyn. Weszliśmy do środka, pukając wcześniej w umówiony sposób, i zobaczyliśmy, że na łóżku, w hipisowskich strojach, leżą rozbawione Ewka i Krysia. Tak jak my miały wtedy po piętnaście lat i były zachłyśnięte kolorowym życiem dzieci kwiatów. Na stoliku obok łóżka stała dopiero co rozpoczęta butelka alpagi. Kupowaliśmy to tanie wino za dwadzieścia jeden złotych i dziewiętnaście groszy, często zrzucając się w kilka osób na jedną butelkę. Kilka lat później Grzegorz Markowski z zespołu Perfect śpiewał w *Autobiografii* „alpagi łyk i dyskusje po świt, niecierpliwy w nas ciskał się duch”, a my uśmiechaliśmy się wtedy do siebie i przypominaliśmy czasy, w których raczyliśmy się tylko tym trunkiem, umilając sobie wieczory. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Perfect robił w Polsce zawrotną karierę,

byliśmy już w głębokim stadium uzależnienia heroiną, a alpaga nie robiła na nas żadnego wrażenia. Tamtego wieczoru była jednak rozgrzewką przed czymś, co rozpoczęło moją kilkunastoletnią degrengoladę i wyniszczenie, a gdyby nie łut szczęścia, doprowadziłoby mnie do grobu w wieku dwudziestu kilku lat.

Chrabąszcz zmieniał szpule na swoim magnetofonie ZK120. Doskonale czuł się w roli gospodarza i przewodnika po kolorowym świecie. Puszczal Jimiego Hendriksa, Led Zeppelin i Janis Joplin. Dziewczyny nie tylko zasłoniły okna kocami, lecz także zadbały o kolorowe światła i świece, które stwarzały mistyczną atmosferę, oraz o kadzidełka, które pobudzały zmysły i przenosiły nas w magiczny świat przyjemności, jakże inny od szarej i nudnej rzeczywistości za oknem. Papierosowy dym rozpląwał się w fioletowo-czerwono-żółtych światłach, które uzyskaliśmy przez nałożenie na zwykłe żarówki kolorowych folii. Mimo że Ewka i Krysia były niezwykle atrakcyjnymi dziewczynami, nikt z nas nie myślał wtedy o seksie. Czuliśmy napięcie związane z tym, co ma za chwilę nastąpić, a słowo „morfina”, choć jeszcze niewypowiedziane, kołatało nam się w głowie od momentu przekroczenia progu mieszkania Chrabąszcza. Kilka tygodni wcześniej na jednej z półek w jego pokoju zauważyłem strzykawkę i pięć ampułek z przezroczystym płynem i wiedziałem, że wkrótce dowiem się, jak smakuje morfina. Czekaliśmy na ten dzień bardzo długo. Trzeba było najpierw zdobyć zaufanie odpowiednich ludzi, którzy mogli cię wpuścić do swojego środowiska, zaakceptować, przekonać się, że jesteś swój, a nie kapuś, który za chwilę doniesie wszystko milicji lub będzie rozpowiadać na mieście niestworzone rzeczy, plotkować i zdradzać tajemnice.

Spśród pięciu osób, które znajdowały się w pokoju, tylko ja i Andrzej nie braliśmy jeszcze morfiny. Wiele razy widziałem zaprawionych narkomanów, którzy na naszych oczach odlatywali na tak zwaną drugą stronę tęczy, ale dziś mieliśmy przekonać się sami, co to znaczy poczuć w żyłach wszechogarniające ciepło i przyjemny odlot w krainę snów na jawie. Mieliśmy jedną strzykawkę, ale kto by się wtedy przejmował takimi drobiazgami? Przechodziła z rąk do rąk jak fajka pokoju. Później bywało nawet tak, że kiedy jeden z nas przyjął strzał i powoli odlatywał, drugi płukał strzykawkę w kałuży, nabierał kolejną porcję narkotyku i ładował w żyłę. Nie mieliśmy świadomości zagrożenia jakimikolwiek chorobami, ale trzeba zaznaczyć, że czasy, kiedy narkomani zaczęli być nosicielami wirusa HIV, to zupełnie inna epoka.

Chrabąszcz podgłośnił muzykę, zdjął z półki strzykawkę oraz ampułki z morfiną i położył je na tapczanie. Usiedliśmy wszyscy wokół, jak przy garści rozsypanego złota, którym za chwilę będziemy się dzielić. Ewka podała mi gumkę, którą mieliśmy kolejno przewiązywać sobie ramię, spojrzała na mnie wymownie i z szelmowskim uśmiechem, biorąc do ręki strzykawkę, powiedziała:

– Ty pierwszy.

Podwinąłem rękaw koszuli, oparłem się wygodnie o poduszki i położyłem przedramię na tapczanie. Serce waliło mi jak młot pneumatyczny. Strach mieszał się z ekscytacją, a głowa starała się uspokoić mięśnie, które drgały nerwowo w oczekiwaniu na ukłucie i nieznaną dotąd płyn. Słyszałem wiele opowieści o braniu narkotyków – nie wszystkie kończyły się happy endem.

– Będzie dobrze – uspokajała mnie Ewa. – Zaraz poczujesz ciepło.

Chrabąszcz odpiłował końcówkę ampułki małym nożykiem, podsunął Ewie, która płynnym ruchem wciągnęła morfinę do strzykawki. Oboje zerkali co jakiś czas na mnie i na siebie, wymieniali się spojrzeniami pełnymi pewności i doświadczenia, jakby chcieli mi powiedzieć: „Luz! Znamy się na tym!”.

Zauważyłem, że w strzykawce było sporo morfiny, Ewka wciągnęła całą ampulkę. Miała do wyboru dwie – „jedynekę” i „dwójkę”, ale wybrała tę, w której znajdował się płyn o wyższym stężeniu. Intuicja podpowiadała mi, że to za dużo, ale widziałem pewność w oczach dziewczyn i Chrabąszcza, więc nie protestowałem. Pokornie czekałem na ukłucie, którego bałem się chyba bardziej niż reakcji organizmu na narkotyk. Szumiało mi w głowie od emocji i zastanawiałem się, co będzie po wstrzyknięciu płynu. Ewa poklepała moje przedramię, żeby uwydatnić żyły, ale zrobiła to chyba z przyzwyczajenia i dla stworzenia atmosfery, którą znaliśmy z opowiadań, bo moje szczupłe i wysportowane ciało było jak żyłasta wołowina – widać było dziesiątki żył i żyłek na skórze, a problemem było tylko to, którą wybrać. Nie chciałem widzieć, jak wbija igłę w moją skórę, więc lekko odwróciłem głowę. Poczulem nieprzyjemnie ukłucie i dopiero wtedy spojrzałem na przedramię. Ewka delikatnie wciskała tłok strzykawki, patrząc mi w oczy i uśmiechając się zalotnie. Było w tym tyle samo podniecenia, ile podczas gry wstępnej. To zdumiewające, jak szybko poczułem działanie morfiny. Niewidzialna fala gorąca rozchodziła się od miejsca, gdzie wstrzyknięto mi narkotyk, przez całe ciało, aż do głowy, gdzie wybuchała, jak fajerwerki. Po chwili zacząłem tracić kontrolę nad swoim ciałem, jakbym stał obok. Jakbym przestawał istnieć, patrząc na wszystko z oddali. Chciałem coś powiedzieć, ale czułem, że nie mogę. Jak przez mgłę widziałem, że dokładnie te same czynności wykonują teraz pozostali. Na końcu w żyłę władował Chrabąszcz. Leżeliśmy tak zaprawieni, trzymaliśmy się za ręce i słuchaliśmy muzyki, patrząc w kolorowe światełka, które potęgowały odłot.

Po jakimś czasie wszystko puściło i zaczęło się coś, czego nie przewidziałem. Nawet po wódce nie miałem takich akcji. Klęczałem nad kibelem i rzygałem jak kot. Wiedziałem, że jak na pierwszy raz dałem sobie wstrzyknąć zbyt dużo morfiny. Starłem się zaimponować dziewczynom, pokazać, że mimo fatalnej reakcji organizmu na narkotyk walczę, nie poddaję się... Zawsze chciałem być najlepszy – nawet w takich momentach! Tam, gdzie inni by się poddali i wołali o pomoc, ja walczyłem. Byłem typem, który mimo bólu i beznadziejnej sytuacji nigdy nie wywieszał białej flagi. Kilkanaście lat później to właśnie ta cecha uratowała mi życie i pchnęła do życiowego sukcesu. Zanim jednak to się stało, byłem najlepszy w tym, czym zwykle nikt się nie chwalił. Paliłem i nikt tak jak ja nie dobijał do kilkudziesięciu papierosów dziennie. Nielegalnie handlowałem z Ruskimi i nikt tak jak ja nie wynosił z Kwadratu tyłu specjalów. Biłem się i nigdy nie przegrywałem. Podrywałem i nigdy nie dostawałem kosza.

Pierwszy strzał z morfiny był jak pierwszy seks – za krótko, za szybko i bez pewności, czy aby na pewno o to Stwórcy chodziło. Kilka godzin po narkotykowej inicjacji wróciłem do domu. Było jeszcze jasno, ale już wieczór. Na dzień dobry dostałem w pysk. Siła uderzenia była tak duża, że walnąłem głową o futrynę i o mało nie straciłem przytomności. Ojciec katolik, lekko wstawiony, zauważył, że dawno już minęła dwudziesta, a przecież obiecałem wrócić punktualnie. Jedno uderzenie wystarczyło jako pokaz siły. Sygnał dominacji w stadzie został wysłany szybko, sprawnie i bez uprzedzenia. Bez słowa położyłem się do łóżka obok matki, zasysając kroplę krwi, która sączyła się z ust. Gdybym tylko zaczął ocierać ranę, pokazałbym słabość i dał znak do dobicia ofiary, a wtedy skończyłoby się niezłym laniem. Matka pogłaskała mnie po głowie i zaczęła płakać za mnie.

Obudziłem się wcześniej rano. Chciało mi się pić, bolała mnie szczęka i napierdałała głowa. Nie miałem pojęcia, czy to od morfiny, czy od uderzenia o framugę drzwi. Wstałem, ubrałem się, chwyciłem śniadanie przygotowane przez matkę i wyszedłem do szkoły. Pierwszy był polski. Zasnąłem. Obudził mnie Andrzej, którego też napierdałała głowa i któremu chciało się pić. Mnie akurat w tym momencie bardziej chciało się palić, więc doszliśmy do kompromisu,

który zakładał, że uciekamy z fizy i matmy, idziemy w miasto szukać papierosów i towaru. Przed domem handlowym, gdzie zwykle spotykaliśmy się z resztą paczki, wpadliśmy na Chrabąszcza, Ewę i Krysę. Godzinę później siedzieliśmy znowu na tej samej kanapie co wczoraj, a ja coraz intensywniej wpatrywałem się w oczy Ewy. Do podniecenia związanego z kolejną dawką morfiny doszedł zachwyty nad jej pięknym ciałem, długimi, rozpuszczonymi włosami z przepaską na czole, kolorową sukienką, która – choć zakrywała więcej, niż męskie oko akceptuje w takich momentach – bardzo rozbudzała zmysły. Te oszalały już zupełnie kilka minut później, kiedy do krwi dostał się zaledwie centymetr morfiny. Boże, ile bym dał, gdyby moje życie zatrzymało się na tym centymetrze... Wtedy, w pierwszym roku ćpania, nie zdawałem sobie sprawy z tego, że czeka mnie aż czternaście lat jazdy po równi pochyłej, w każdym momencie mogącej skończyć się śmiercią. Nie tylko dlatego że każdy strzał w żyłę mógł okazać się złotym strzałem, ale również dlatego że mogłem zginąć podczas ucieczki przed milicją, w więzieniu, uciekając z psychiatryka, wieszając się, podcinając żyły. Cała ta dramatycznie wyglądająca wyliczanka była ciągiem zdarzeń, które nabrały przyspieszenia w jedną noc.

GŁÓD

(Legnica, 1969–1970)

Obudziłem się o drugiej. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Byłem spocony jak po zażyciu aspiryny. Źle się czułem, ale było to uczucie inne niż wszystkie dotąd mi znane. Nie przypominało złego samopoczucia jak po zbyt dużej dawce alkoholu albo przy zatruciu pokarmowym. Jeżeli masz ból brzucha, to potrafisz niemal od razu go zidentyfikować: kłopoty żołądkowe, grypa żołądkowa albo po prostu chce ci się rzygać, bo masz potwornego kaca – to wszystko. Uczucie, którego właśnie doświadczałem, było najbardziej nieprzyjemnym stanem, jaki kiedykolwiek przechodziłem. Intensywny, falowy ból wszystkich mięśni, w szczególności nóg i rąk, przechodził przez całe ciało. Z góry na dół nakładały się na siebie zimne dreszcze. Nie mogłem opanować ziewania, od którego aż bolała mnie szczęka. Naprężyłem całe ciało i zastygłem. Chciałem tym samym zablokować ból, który momentami był jak impuls elektryczny skaczący po poplątanych kablach. Przemieszczał się po całym ciele, to tu, to tam, coś zabolowało, coś zakłuło, gdzieś zakręciło się nieprzyjemnie w trzewiach. Nie miałem wątpliwości, że czeka mnie wizyta w kiblu, ale bałem się ruszyć. Leżałem na wznak i czekałem, co będzie. Patrzyłem w sufit i wsłuchiwałem się w ciężki oddech mojego ojca leżącego na łóżku pod ścianą. Matka jak zwykle spała bezszelestnie obok mnie. „Co jest grane?” – pomyślałem, kiedy przyszła kolejna fala bólu. Skręciło mnie tak bardzo, że niemal spadłem z łóżka. Usiadłem i wtedy zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze. Wróciłem do pozycji horyzontalnej, chwyciłem za brzeg kołdry i podciągnąłem ją pod samą szyję. Przestraszyłem się. Byłem jak dziecko, które boi się nocy i próbuje schować tam, gdzie jest jeszcze ciemniej. Czasami w życiu zdarzają się odczucia i stany, których nigdy nie doświadczyłeś, ale wiesz od razu, że nie może to być zwykła choroba lub przeziębienie. Po kilkudziesięciu minutach, kiedy ból mięśni i dziwne uczucie rozrywania nasiliły się, zacząłem to wszystko kojarzyć z narkotykowym głodem, o którym zdążyłem się już nasłuchać od kolegów. Tak, to mogło być tylko to. Zaczęło się. Mój pierwszy narkotykowy głód. Atak w środku nocy, wołanie o morfinę, która podawana od kilku tygodni niemal codziennie, wykształciła w komórkach mojego ciała schemat, bez którego nie mogły normalnie funkcjonować, buntowały się, domagały się paliwa. Byłem jak samochód, który nie dość, że jedzie na rezerwach, co powoduje nieustanne szarpanie, to jeszcze w serwisie zapomnieli dolać do niego oleju i każdy ruch tłokiem to bolesne tarcie, które za chwilę zatrze silnik. Znowu usiadłem. Tym razem chciałem przetrzymać kolejną fazę bólu właśnie w tej pozycji. Była trzecia nad ranem. Wytrzymałem tak do czwartej trzydzieści. Trzęsąc się z zimna, wystrzeliłem na zewnątrz jak torpeda. Wiedziałem, gdzie mam biec. Najbliżej miałem do Jacka, którego rodzice bardzo wcześnie wychodzili do pracy. Jacek dołączył do narkotykowej bandy kilka miesięcy wcześniej niż ja i był już starym wyjadaczem. Potrafił zdobyć narkotyki w każdej sytuacji, a morfiny miał w domu tyle, że wystarczyłoby na otwarcie apteki. Jego blok był tylko dwie przecznice od mojej kamienicy. Biegłem, zataczając się jak pijany. Trzymałem ręce splecione na brzuchu i wyglądałem jak ranny żołnierz na polu bitwy, uciekający zygzakami przed kulami snajpera. Co kilkadziesiąt metrów przystawałem pod murami jakiejś kamienicy, opierałem się o nią plecami i ciężko oddychałem, trzęsąc się jak galareta. Minąłem kilku

przechodniów, którzy albo dopiero wracali z nocki, albo szli na poranną zmianę do fabryki kabli, fortepianów czy huty miedzi. Nie wzbudzałem żadnej sensacji. W PRL-u pijaństwo było na porządku dziennym, a wszyscy ci ludzie sądzili, że wracałem do domu po jakiejś nocnej libacji. Jedyne, czego się bałem, to rozpoznania przez znajomych moich rodziców. Naciągnąłem na głowę kaptur bluzy i tak starałem się ukryć swoją tożsamość. Było jeszcze ciemno, kiedy dotarłem pod blok Jacka. Schowałem się za róg budynku i niecierpliwie wyglądałem jego starych. Kurwa, dlaczego zawsze, kiedy na kogoś bardzo czekamy, trwa to wieczność? Jest dokładnie tak jak z wyprzedzaniem samochodów – lewa strona jest wolna najczęściej na zakrętach albo w miejscach, w których obowiązuje zakaz wyprzedzania. Kiedy wychodzisz wreszcie na prostą, znikąd pojawia się cały sznur aut i ciągnie aż do następnego zakrętu z podwójną ciągłą, uniemożliwiając wyprzedzenie wlokącej się furmanki. Tak było i teraz. Stałem naprzeciwko klatki schodowej do mieszkania Jacka i czekałem.

Poranki były zimne, jesień tego roku zaczęła się gwałtownym spadkiem temperatury i deszczem. Narkotykowy głód był jednak na tyle silny, że mogłem marznąć godzinami w oczekiwaniu na upragnioną dawkę morfiny. Wreszcie, chwilę po piątej, zobaczyłem rodziców Jacka wychodzących z klatki schodowej kilkupiętrowego bloku. Kiedy tylko zniknęli za rogiem, wystrzeliłem jak z procy. Już nie pamiętam, czy zdążyłem zapukać do drzwi, ale kiedy zobaczyłem Jacka, niemal jak wariat wykrzyczałem:

– Jacek! Dawaj, bo już nie wytrzymam. Coś dziwnego się ze mną dzieje!

Jacek wiedział, o co chodzi. Bez słowa, jeszcze lekko zaspany, podszedł do biurka i ze schowka wyciągnął małe blaszane pudełko. W środku było kilkanaście ampulek z morfiną. Łup po ostatnim włamaniu do apteki.

W początkowym okresie narkomanii wszyscy dzieliliśmy się zdobyczą i nikomu nie przychodziło na myśl, aby sprzedawać towar. Nikt z nas albo nie był jeszcze uzależniony, albo nie czuł takiego głodu, który zmuszałby go do ukrywania działki na czarną godzinę. Wędrowaliśmy po miasteczkach Dolnego Śląska i dzieliliśmy się szczęściem. Każdy z nas miał swoje ulubione lokalizacje, do których lubił wracać. Ja kursowałem między Legnicą a Głogowem, gdzie wszyscy mnie znali i wiedzieli, że kiedy przyjeżdża Górski, zawsze jest szansa na świeży towar. Tak budowałem swój prestiż. Byłem kimś. Zawsze zbierała się wokół mnie grupka wygłodniałych dzieciaków, a ja stawałem się królem imprezy. Wyciągałem z plecaka ampulki z morfiną, strzykawkę i zaczynaliśmy świętować. Szanowali mnie, podziwiali i zazdrościli. Właśnie tego brakowało mi w domu i w szkole. Wreszcie byłem w czymś najlepszy. Tego pragnąłem i o to walczyłem w każdym momencie swojego życia. W Głogowie wręcz krążyły o mnie legendy, byłem tam „królem narkotyków”. Przywoziłem dobry towar i byłem za to noszony na rękach, a ci, którzy ode mnie brali, wiedzieli, że Górski nie kabluje milicji. Czuli się ze mną bezpiecznie.

Teraz miałem załadować kolejny raz, tym razem na pierwszym w życiu narkotykowym głodzie, który wyrwał mnie ze snu w środku nocy. Nabierałem strzykawką przezroczysty płyn i nie zastanawiałem się, dokąd właśnie zmierzam, ani że wpadam w gówno aż po same uszy. Liczyło się tu i teraz. Chęć uśmierzenia bólu i pragnienie uczucia błęgiego spokoju były silniejsze niż zdroworozsądkowe myślenie. Gdyby ktoś w tamtym momencie puścił mi film z przyszłości, pokazujący Górskiego za dziesięć lat, błagałbym ze łzami w oczach, żeby matka przywiązała mnie do łóżka i nie pozwoliła tamtej nocy wyjść z domu. Niestety, nie miałem żadnego anioła stróża, a moje sumienie było uśpione bajkami o cudownym życiu dzieci kwiatów. Nikt z naszej paczki nie tylko nie miał świadomości, co znaczy wyniszczające

uzależnienie od narkotyków, ale też nigdy nie widział umierającego narkomana. Byliśmy pierwsi. Najgorsze miało nadejść. Dopiero my, najmłodsze dzieci rodzącego się buntu wobec peerelowskiej rzeczywistości, mieliśmy doświadczać śmierci na własne życzenie, zabijając się powoli na oczach przyjaciół i rodziny, patrzeć na wychudzone i zmaltretowane niczym padlina ciała, siedzieć w więzieniach za włamania do aptek i marnować szansę na piękne życie, patrzeć na przyjaciół umierających nam na rękach, płakać z rozpacz, że nic nie możemy dla nich zrobić. Ale to było dopiero przed nami. Wtedy, siedząc u Jacka na kanapie i czekając, aż odpiłuje szklaną końcówkę ampułki z morfiną, nie zdawałem sobie z tego sprawy. Moja wyobraźnia nie sięgała aż tak daleko, chociaż tysiące razy wyobrażałem sobie inne obrazy, do których podświadomie tęskniłem. Jak mogłoby wyglądać moje życie, gdyby... No właśnie, gdyby co? Gdybym miał normalną rodzinę? Gdybym miał swój pokój, swój magnetofon i swoje łóżko, do którego pod nieobecność rodziców mógłbym zapraszać dziewczyny i kochać się tam z nimi kilka razy dziennie? Gdybym mógł zjeść śniadanie, a nie połykać je, żeby jak najszybciej spierdolić z toksycznego miejsca w legnickiej kamienicy sąsiadującej z ruskimi koszarami? Gdybym...

Oparłem się wygodnie o fotel, położyłem przedramię na oparciu i pozwoliłem Jackowi wcisnąć tłok strzykawki. Spod na wpół przymkniętych oczu spoglądałem na znikającą w krwiobieg morfinę. Wyobrażałem sobie, jak bezbarwny płyn miesza się z krwią i rozpląwa po całym ciele, dociera do każdej komórki szarpanej przed chwilą bólem, otacza ją swoim ciepłem i – wbrew temu, co śpiewał Breakout – przenosi mnie na chwilę na drugą stronę tęczy nie wtedy, kiedy zapadał zmrok, a kiedy wstawał świt. To był jasny sygnał, że wkraczam w inną dolinę bólu. Skończyła się czysta i niewinna przyjemność dostarczana organizmowi na wieczornych popijawach z koleżankami i kolegami. Zacząłem za nią płacić cierpieniem – swoim i najbliższych.

MILICYJNY DOŁEK (Legnica, 1970–1973)

*Przychodzisz zawsze do mnie
gdy zapada zmrok
zapalasz rzekę tęczy
i przerywasz noc.*

*Nie pytasz nigdy o nic
a jednak wiesz co chcę:
przepłynąć poprzez tęczę
na jej nieznany drugi brzeg.*

*Zobaczyć słońce w nocy
zobaczyć latem śnieg
królika trzymać w dłoniach
i głaskać dłonią jego sierść.*

*Breakout,
Na drugim brzegu tęczy*

Bez względu na to, co autor miał na myśli, dla nas żaden inny utwór nie oddawał istoty ładowania sobie w żyłę tak dobrze jak *Na drugim brzegu tęczy* Breakoutu. Hipnotyzujący dźwięk saksofonu i głos Miry Kubasińskiej przenosiły nas w inny świat. Uciekaliśmy od szarej rzeczywistości Małej Moskwy. Niestety byliśmy mało przewidujący. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że ta rzeczywistość może być czarna, a szarość wyda nam się paletą kolorów, którą można malować cudowne obrazy...

Początkowo szukaliśmy w miarę bezstresowego sposobu na zdobycie morfiny. Takim rozwiązaniem były recepty. Najczęściej zdobywałem je od kumpla, którego ojciec był lekarzem. Tak, ćpali wszyscy, dzieci z rodzin patologicznych i te z dobrych domów. Prawdę mówiąc, tych drugich było więcej. Od nich wszystko się zaczęło. Miały większe możliwości zdobycia każdego świństwa, jakie wymyśliła ówczesna farmacja. Skradzione albo podrobione recepty wystarczały na krótko. Z czasem zabrakło aptek, w których można było realizować je anonimowo i farmaceuci rozpoznawali nas już po sposobie chwytania za klamkę. Bywało, że odmawiali, jednak częściej dostawaliśmy to, co chcieliśmy, ale chwilę później ni stąd, ni zowąd dopadała nas na ulicy milicja. Tak jak w pewien czerwcowy dzień, kilkanaście dni przed końcem roku szkolnego.

To był piątek, dzień, w którym najczęściej samowolnie skracaliśmy sobie lekcje. Szczególnie w ciepłe letnie dni nikomu nie chciało się siedzieć w ławkach. Uciekaliśmy wtedy ze szkoły, zaszywaliśmy się w domu któregoś z kumpli, włóczyliśmy się po mieście albo zwyczajnie siedzieliśmy na jakimś murku lub w kawiarni, paląc papierosy i biorąc narkotyki. Milicja znała

nas wszystkich lepiej niż nasze własne matki. Funkcjonariusze wiedzieli, gdzie nas szukać, znali każdą naszą dziuplę i jeżeli tylko dotarła do nich informacja, że właśnie ktoś obrobił aptekę albo zrealizował fałszywą receptę, robili zmasowany nalot na wszystkie potencjalne lokalizacje. Czasami sprawdzali nas na ulicy, zatrzymywali niby do rutynowej kontroli, tak jak tamtego dnia, kiedy wracałem samotnie od Andrzeja, tuż po tym jak doszedłem do siebie po zastrzyku z morfiny. Trzymało mnie jeszcze trochę, ale byłem na tyle w formie, że mogłem iść o własnych siłach i nie wyglądało to zbyt podejrzanie. Szedłem zaprawiony ulicą i w pewnym momencie zauważyłem radiowóz stojący po drugiej stronie. Mijałem go spokojnie, aby siedzący w środku gliniarze nie mieli pretekstu do zatrzymania mnie. Ale w PRL-u pretekst nie był potrzebny. Mogli zatrzymać, kogo chcieli i kiedy chcieli. Zgodnie z popularnym wtedy powiedzeniem prokuratora czasów stalinowskich w ZSRR, Andrieja Wyszyńskiego, „dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”, władza mogła zrobić z obywatelami wszystko, co chciała. Mieliśmy się jej bać.

Spojrzałem spod byka w stronę samochodu, żeby sprawdzić, który z gliniarzy ma tego dnia służbę. W środku siedziało dwóch milicjantów. Oni znali mnie, ja znałem ich. Uśmiechnąłem się. Błąd. Odczytali to jako prowokację, a nie komunikat: „Panowie, spokojnie, ja tu tylko spaceruję”. Natychmiast ruszyli w moim kierunku. Zrównali się ze mną, przez chwilę jechali obok w milczeniu i patrzyli na mnie badawczo. W milicyjnej suce siedział Pies albo – jak nazywaliśmy go częściej – Ten, Który Nigdy Nie Odchodzi Od Drzwi. Jego ksywa wzięła się stąd, że kiedy milicja robiła nalot na meliny narkomanów, on zawsze musiał wejść do środka, nigdy nie odchodził od drzwi, nawet wtedy gdy jakaś sprzymierzona z nami osoba, niebędąca narkomanem, zapewniała, że nikogo z ćpających tam nie ma. Nie wierzył. Zawsze znalazł fortel, który pozwolił mu wejść – jeśli nie przez drzwi, to przez okno. Miał szpicli, którzy mówili mu nawet, jak pukać na umówione hasło. Ale zawsze dawał szansę. Nigdy nie wsadzał do pudła za pierwszym razem. Później nie miał już litości.

– Podwieźć? – usłyszałem, jak Pies pyta drwiącym głosem.

Mimo że wiedziałem, jak cała sytuacja za chwilę się skończy, ani myślałem ułatwiać im zadania. Nigdy nie ułatwiałem. Walczyłem do końca.

– Nie, chorobę lokomocyjną mam. Jeszcze radiowóz zarzygam, będzie kłopot. Przejdę się.

Suka gwałtownie się zatrzymała i z wozu wyskoczyli obaj gliniarze. Jeden złapał mnie za dzinsową kurtkę i przycisnął mocno do radiowozu. Zaczęli mnie przeszukiwać.

– Skąd to masz? – zapytał Pies, wyciągając z bocznej kieszeni kurtki strzykawkę i igłę.

Patrzył na mnie pewnie i tak natarczywie, jakby chciał zajrzeć mi do środka głowy. „Skąd?” – zahuczało w niej jak echo pytanie gliniarza. „Jak to, kurwa, skąd?! Naprawdę tego nie wiesz?” – dyskutowałem z Psem na razie tylko w myślach. „Obaj wiemy skąd. Ojebałem tę aptekę na rogu i mam, kurwa!” – krzyczałem dalej niemo, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jego oczu. Zawsze tak robiłem. To była moja mała demonstracja siły. Oni mieli pałki i gaz. Ja miałem nieustępliwy wzrok i pięści.

– Jak to skąd?! Ze szkoły. Do eksperymentów, na kółko techniczne – na głos grałem niewiniątko, chociaż robiło się już coraz bardziej gorąco.

Czułem, że za chwilę może dojść do rękoczynów. Spałują mnie, ale jak znam życie, będę się bronił i pewnie trafię do aresztu, skąd znowu będzie musiała zabierać mnie matka. Ale Pies wydawał się rozbawiony całą sytuacją:

– Zobacz go, kurwa. Konstruktor się znalazł. Do eksperymentów...

Przez chwilę sytuacja wydawała się patowa. Milicjanci nie wiedzieli, jak się zachować.

Teoretycznie mogło tak być. Strzykawka nie musiała być od razu dowodem, że miałem morfinę. Gliniarze szukali dalej. Sprawdzili każdą kieszeń, ale na szczęście nie miałem przy sobie żadnego narkotyku. Zrezygnowani, ale pewni, że sprzęt posłużył mi przed chwilą do wstrzyknięcia w żyłę jakiegoś świństwa, pozwolili mi iść do domu.

– Spierdalaj. Jeszcze cię dorwę, gówniarzu – powiedział Pies.

Z milicją walczyliśmy jak z największym wrogiem. Większość z nas nigdy nie puszczała pary, nie sprzedawała kumpli, ale zdarzali się tacy, którzy nie wytrzymywali presji i szantażu. Funkcjonariusze mieli swoje sposoby, czasami bezlitosne, które słabych psychicznie narkomanów wykańczały – decydowali się sypać za obietnicę najmniejszej dawki morfiny. Roztrzęsieni, na głodzie, nie wytrzymywali, kiedy otwierano przed nimi szafkę z narkotykami, które właśnie skonfiskowano ćpunom. To była ich taktyka – ułożyć ampułki równo obok siebie w szafkach na komendzie i pokazać wygłodniałym narkomanom, którzy sypali wtedy kogo popadnie, byle tylko dostać działkę. I zawsze wpadali w te same sidła – milicja po uzyskaniu potrzebnych informacji zamykała morfinę na klucz, a narkomana wsadzała do aresztu.

Gliniarze próbowali wydobywać z nas przeróżne informacje. Nie tylko na temat tego, kto bierze, ale także ile, gdzie i z kim się spotyka. Jeśli tylko gdzieś w mieście doszło do obrabowania apteki, obligatoryjnie zatrzymywali wszystkich. Mieli całą listę narkomanów, ich adresy zamieszkania i sprawdzali nas po kolei, a potem przesłuchiwali: „Gdzie byłeś tego wieczoru? Z kim? O której godzinie? Gdzie w tym czasie był twój kolega?”

Na początku lat siedemdziesiątych włamanie do aptek były dla nas niczym zabawa, mało skomplikowana czynność, która pozostawiała po sobie stosunkowo niewiele śladów. Apteki nie miały żadnych zabezpieczeń. Trzymano tam tylko leki i nikomu wówczas nie przyszło do głowy, że mogą one stać się celem rabunkowym. Gdyby pokusić się o wskazanie miejsc na mapie Polski, które zapoczątkowały narkomanię w naszym kraju, to w czołówce takich miast znalazłyby się między innymi Legnica, Nowa Sól, Głogów. Pięćdziesiąt procent włamań do aptek na terenie całego kraju miało miejsce właśnie w naszym regionie. Byliśmy nie tylko miedziovym, ale też narkotykowym zagłębiem Polski. Osiedla i kamienice były zamieszkałe przez przesiedleńców – bez więzi, tradycji i zbudowanej wspólnoty. Nierzadko z dziećmi zostawionymi pod opieką „ulicy”, bo starzy od rana do nocy, sześć dni w tygodniu spędzali w pracy. Syndrom dziecka z kluczem na szyi dotyczył większości moich kumpli i koleżanek. Mnie również. W niedzielę, jedynym dniem w tygodniu wolnym od pracy, nie udawało się już tego posklejać. Znaleźliśmy sobie zajęcie, które dostarczało nie tylko adrenaliny, ale również chwilowej przyjemności. Nic nie było ważniejsze od niej. Dla chwili uniesienia byliśmy w stanie zrobić prawie wszystko. Na początku mieliśmy jeszcze kodeks, który mówił, że jak wchodzimy do apteki albo do czyjegoś domu, to kradniemy tylko narkotyki. Mówiliśmy, że nie jesteśmy pospolitymi złodziejami, nie zabieramy pieniędzy, biżuterii ani żadnych wartościowych rzeczy. „Narkomani to nie złodzieje” – powtarzaliśmy jak mantrę. Robiliśmy tak między innymi dlatego, że istniała ograniczona odpowiedzialność za zarzucany czyn. Jeżeli narkoman włamywał się do apteki na głodzie, to sędziowie stosowali czasami jeden z zapisów Kodeksu karnego, w myśl którego sąd mógł wydać niższy wyrok, uzasadniając, że czyn karalny był spowodowany potrzebą poprawienia stanu zdrowia w danym momencie, a pozwany był ubezwłasnowolniony przez chorobę, która go dopadła – lekomanię, bo o narkomanii nikt wtedy nie mówił. Tylko dzieci

kwiaty na kapitalistycznym Zachodzie brały narkotyki. W Polsce brano co najwyżej leki. Ten nieprawdziwy obraz lansowany był w PRL-u nie tylko przez medialną propagandę, lecz także nieformalny zakaz mówienia w Polsce o narkomanii. Do pewnego momentu mieliśmy w oczach sądu taryfę ulgową. Jeżeli z mieszkania, apteki, szpitala lub komendy milicji zniknęły tylko narkotyki, a reszta pozostawała nienaruszona, sąd traktował nas łagodniej. Z biegiem czasu ten przepis się zmienił i zwijali nas już wyłącznie za sam fakt włamania. Poza tym narkomani, popadając w coraz większe uzależnienie, zaczęli kraść na potęgę, a za biżuterię i pieniądze kupowali narkotyki. Głód zmuszał nas do robienia rzeczy, których do dziś się wstydzimy – okradaliśmy rodzinę i siebie nawzajem. Byłbym w stanie zjeść własne dyplomy i medale z zawodów gimnastycznych, jeśli miałyby to pomóc w zdobyciu działki narkotyku, w zaspokojeniu głodu, od którego spocone i poskręcane ciało wyło z bólu. Kradliśmy wszystko: leki uspokajające, kodeinę, kokainę i morfinę, ale to przede wszystkim dla tej ostatniej zacząłem regularnie odwiedzać dolnośląskie apteki.

– Nie pękaj! Znam to miejsce, uwiniemy się w piętnaście minut – przekonywałem Andrzeja, któremu zaproponowałem udział w obrobieniu apteki znajdującej się dwieście metrów od mojego domu.

– A jak nas złapią? – pytał podenerwowany Andrzej.

– To nas złapią... i chuj. Co ci zrobią? Zabiorą na dołek na czterdzieści osiem godzin i tyle – przekonywałem Andrzeja.

Tak naprawdę nie mieliśmy nic do stracenia, bo milicyjna izba zatrzymań, która w przestępczym slangu nazywana była dołkiem, i tak wpisana była w życie każdego narkomana. Przynajmniej można było zaimponować dziewczynom. Koniec końców każdy z nas chciał się popisać opowieścią z gatunku „Jak walczyłem z milicją i nie sypnąłem chłopaków”.

Spotkaliśmy się o północy niedaleko klubu Legmet. Apteka mieściła się tuż za rogiem, w starej poniemieckiej kamienicy. Okna były co prawda zabezpieczone kratami, ale w taki sposób, że dało się odgiąć pręty. Konstrukcja miała raczej funkcję odstraszącą i zniechęcającą niż antywłamaniową. W dwie poziome, metalowe poprzeczki z kulistymi otworami, które przymocowane były do bocznych betonowych ścian wnęki okiennej, wchodziło pionowo kilka prętów. Żaden z nich nie łączył się jednak z jej górną i dolną ścianą, więc z łatwością można było je powyginać i zrobić szeroką lukę, przez którą dostawaliśmy się do okna. Zwykle łomem podważaliśmy framugę w miejscu, gdzie łączyło się ze sobą prawe i lewe skrzydło, a gdy to nie pomagało, wybijaliśmy szybę. Andrzej stanął na czatach. Przytulił się plecami do ceglanej ściany tak mocno, jakby chciał ją przewrócić. Nerwowo rozglądał się na prawo i lewo, co kilka sekund wychylając głowę zza rogu kamienicy. Do obstawienia były trzy kierunki, z których mogła nadjechać milicyjna suka. Było tak cicho, że słyszeliśmy własne oddechy. Ten Andrzej nerwowy, lekko przestraszony. Słyszałem bicie swojego serca i czułem się tak, jakbym po raz pierwszy robił coś niesamowitego, tajemniczego, jakbyśmy grali w filmie przygodowym i właśnie mieli zamiar wejść do jaskini pełnej skarbów, gdzie przed dotarciem do celu trzeba uniknąć śmiertelnych pułapek, a na końcu zmierzyć się ze strażnikami Świętego Graala.

Andrzej porozumiewawczo kiwnął głową, bez słowa dając znak do rozpoczęcia akcji. Poszło gładko. Odgięliśmy łomem metalowe pręty, wybiliśmy szybę i wskoczyliśmy do środka. Mieliśmy ze sobą małą latarkę, która pomogła odnaleźć morfinę. Zwykle ampułki trzymane były w zamykanej na klucz szafce albo nawet sejfie. Tym razem trafiliśmy na to pierwsze i z łatwością dobraliśmy się do zdobyczy, zgarniając z półki wszystkie ampułki z morfiną wprost do torby. Z apteki wyszliśmy tą samą drogą, którą weszliśmy. Schowaliśmy się w bezpiecznym

miejscu, kilkaset metrów dalej i podzieliliśmy łup na pół. Każdy poszedł w swoją stronę. Później zdarzało się, że pierwszy strzał z morfiny aplikowaliśmy sobie jeszcze w aptece. Byliśmy w ciągu narkotykowym, więc chwilę po tym, jak dorwaliśmy się do ampulek, siadaliśmy na podłodze, wyciągaliśmy sprzęt i ładowaliśmy w żyłę. Tamtego dnia postanowiłem jednak zrobić to dopiero w domu, a w zasadzie w toalecie na półpiętrze. Resztę narkotyku schowałem w szybie wentylacyjnym nad kibelem.

Rano obudziło mnie mocne walenie do drzwi. Musiało być bardzo wcześnie, bo za oknem było jeszcze ciemno. Jesienią robiło się jasno dopiero około siódmej. Matka z ojcem byli już w kuchni, czyli pewnie było tuż po szóstej. Przez chwilę myślałem, że to któryś z moich kumpli – naćpany albo pijany. Pomylił drzwi, godzinę, urwał mu się film, starzy wygonili go z domu? W sekundę zrodziło mi się w głowie mnóstwo scenariuszy. Zerwałem się z łóżka przestraszony, kiedy usłyszałem głos Psa. Milicja! „Andrzej mnie sypnął? Niemożliwe!?” Zacząłem szukać alibi, układać odpowiedzi na dociekliwe pytania, które za chwilę miały paść na komendzie. Z korytarza dochodziły do mnie tylko strzępki rozmowy, słyszałem słowa: morfina, apteka, przesłuchać. Ojciec wściekły wpadł do pokoju. Złapał mnie za kark.

– Gdzie to masz?! – krzyknął.

– Co mam mieć? Ja nic nie wiem, zostaw – jęknąłem, próbując wyrwać się z uścisku.

– Morfina. Gdzie trzymasz to gówno? – dopytywał ojciec.

Nagle pchnął mnie na łóżko, obrócił się i podszedł do szafy. Wyrzucił z niej wszystkie moje rzeczy. Nerwowo przeszukiwał każde spodnie, każdą koszulę. Po chwili do pokoju wszedł milicjant. Spojrzał na mnie wymownie, z lekkim kpiącym uśmiechem.

– Konstruktor, idziemy – rzucił krótko.

Od godziny siedziałem na drewnianym krześle, w małym pomieszczeniu komendy Milicji Obywatelskiej w Legnicy. Staralem się trzymać pion, ale powoli zaczynał dopadać mnie narkotykowy głód. Czułem ból mięśni. Chciało mi się palić. Boże! Ile bym dał za jednego macha. Marzyłem, żeby się zaciągnąć. Nie wiem, co było silniejsze – głód narkotykowy czy nikotynowy? Moje cierpienia przerwało gwałtowne wejście Psa. Razem z nim był drugi glina, którego nazywaliśmy Pistoletem. Pies usiadł na biurku, sięgnął do kieszeni po paczkę fajek, lekko nią potrząsnął, wysuwając jednego papierosa. Popatrzył na mnie i wyciągnął rękę:

– Masz. Zapal sobie.

Bez słowa odwróciłem głowę. Zero kompromisów z gliniarzami. Nigdy. Byłem honorowy. Mogliby mnie przypalać, torturować, ale nigdy nie zgodziłbym się na współpracę z milicją, o sypaniu kumpli nie wspominając. Pies to wiedział, ale mimo to zawsze próbował. Sięgnął po papierosa, którego odmówiłem, zapalił i mocno się zaciągnął, pokazowo delektując się pierwszym machem. Chwilę wstrzymał oddech i powoli zaczął wypuszczać dym w moją stronę. Podszedł do szafy, przy której stał Pistolet. Otworzył ją.

– Tego też nie chcesz? – zapytał.

Odsłonił półki w szafie zastawione ampułkami z morfiną – wszystko, co udało im się skonfiskować po kilku ostatnich porannych nalotach na mieszkania narkomanów. „Ciekawe, czy jest tam towar Andrzeja, który wczoraj zgarnęliśmy” – zastanawiałem się, przez chwilę wpatrując się w morfinę. Musieli zauważyć, że na moment straciłem czujność, a w moich oczach pojawiła się iskra, sygnał, że uderzyli w czuły punkt. Narkoman na głodzie był w stanie zrobić

niemal wszystko dla jednej działki, która zaspokoi jego głód. Ale nie w tym przypadku. Nigdy nie było żadnych układów z gliniarzami, żadnych.

Nagle sprawy zaczęły przybierać zły obrót. Pies musiał się nieźle wkurzyć, że go tak olewam. Nie wytrzymali. Pistolet podszedł do mnie z nienacką, chwycił za głowę i mocno obrócił w stronę morfiny.

– Chcesz jeść?! No chcesz?! Najpierw nazwiska i miejsca. Gdzie trzymacie resztę towaru? – syczał mi do ucha.

– Nie mam żadnego towaru – odpowiedziałem spokojnie.

Pies włączył się do przesłuchania.

– Twój koleżka mówił co innego. Przecież wiem, że jesteś na głodzie. Zobacz, ile tego mamy. To wszystko było u twoich kumpli... U Andrzeja również.

„To niemożliwe!” – pomyślałem. „Przecież Andrzej nie sypie. Nie mógł mnie sypnąć! Wkręcają mnie. Podpuszczają, żebym to ja podał nazwiska innych, którzy tej samej nocy obrobili jeszcze kilka innych aptek w mieście i okolicach”. Milczałem. Ignorowałem każdą ich zaczepkę.

– Chcesz działkę? – Pistolet podszedł do szafy, chwycił jedną ampułkę z morfiną i postawił na stole. – Masz. Zniknie jedna, nikt nie zauważy. Mamy tego setki.

Zapadła cisza. Wpatrywałem się tępym wzrokiem w ampułkę. Nagle Pistolet wyjął z kieszeni strzykawkę i bardzo powoli położył ją na stole obok. Zrobił to płynnym ruchem, ale tak wolno jak tylko potrafił. Nachylił się do mojego ucha i szepnął:

– Nikt się nie dowie... Nazwiska...

Uśmiechnąłem się. Poczułem się lekko na myśl o tym, co za chwilę zrobię. Nachyliłem się do ucha gliniarza i tym samym, spokojnym szeptem, którym Pistolet nakłaniał mnie do zdrady, powiedziałem:

– Spierdalaj. Nie jestem narkomanem. Nigdy nie brałem narkotyków.

Pistolet złapał mnie za ramię i mocnym ruchem zrzucił z krzesła. Zamachnął się nogą i już prawie czułem jego kopnięcie na nerkach, ale w tym momencie do akcji wkroczył Pies.

– Zostaw – rzucił krótko, powstrzymał swojego kolegę od zadania ciosów i chwycił mnie za kłapy dżinsowej kurtki, podniósł i przycisnął do ściany.

– To po jakiego chuja włamywałeś się do apteki?

– Nie włamałem się. Wszedłem przez otwarte okno. Ktoś świecił latarką i myślałem, że to złodzieje...

Tym razem Pistolet nie wytrzymał. Poczułem jego pięść na żołądku. Zaczęła się szarpanina. Oddałem. Raz, drugi, trzeci...

Na dołku spędziłem czterdzieści osiem godzin. Takich momentów w swojej „karierze” miałem mnóstwo. Pogrywaliśmy z milicją, jak tylko się dało. Kłamaliśmy, manipulowaliśmy, szliśmy w zaparte nawet wówczas, kiedy dowodów na nasze występki było aż nadto. Większość potyczek kończyła się właśnie tak jak ta ostatnia – konfiskata narkotyków, dołek, szarpanina, parę siniaków wyniesionych z komendy i kilka dodatkowych z domu, po powrocie z zatrzymania. Kilka dni po tym zdarzeniu przyszło wezwanie do sądu na rozprawę. Tym razem sprawa była o tyle poważna, że tego samego dnia, w którym ja włamałem się do apteki, jakaś grupa narkomanów okradła komendę Milicji Obywatelskiej. Wiedzieli, że gliniarze skonfiskowali ampułki z morfiną, i postanowili uderzyć tam, gdzie nikt się ich nie spodziewał. Taki przypadek zdarzył się po raz pierwszy i milicja na serio się wkurzyła. Okazało się, że w tym samym czasie, kiedy zapukali do drzwi mojego mieszkania, zrobili dokładnie to samo

w kilkudziesięciu innych lokalizacjach. Przetrzepali całe miasto i okolice, a ja byłem jednym z podejrzanych. Odpowiadałem z wolnej stopy, ale nic mi nie udowodniono. Prokurator i milicja skupili się na włamaniu do komendy MO, kiedy ja w rzeczywistości obrobiłem aptekę. Upiekło mi się, ale nie zawsze włamania do aptek kończyły się dla mnie tak łagodnie. Czasami na wniosek prokuratury, która stawiała konkretne zarzuty, zamykano mnie w areszcie śledczym, gdzie oczekiwałem na proces. Sędziowie, widząc stan, w jakim się znajdowałem, kierowali mnie na badania do szpitala psychiatrycznego, gdzie diagnozowano u mnie lekomanię i uzależnienie od opiatów. I tak właśnie zaczął się kolejny etap mojego staczania się – zakład karny i psychiatryk.

NA DRUGIM BRZEGU RZEKI (Szpital psychiatryczny, Lubiąż, 1972)

*Człowiek, który cierpi, nie mówi już nic,
albo prawie nic, a na pewno nie krzyczy.*

*Ty zaraziłeś ich narkomanią,
Marek Kotański*

Większość mojej paczki za punkt honoru stawiała sobie choć raz trafić na oddział dla narkomanów w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu. To było pierwsze takie miejsce w Polsce, gdzie podejmowano próby leczenia narkomanów, a w zasadzie eksperymentowania z leczeniem. Oddział stworzył psychiatra Zbigniew Thille, który był jednym z najlepszych w Polsce specjalistów od toksykomanii.

Lubiąż był dla nas tym, czym dla muzułmanów jest Mekka. Jeżeli ktoś ćpał, rabował apteki, siedział w więzieniu i robił w chuja wszystkich mundurowych – od milicjantów po klawiszki, do tej kolekcji musiał jeszcze dorzucić psychiatryk. Oczywiście była różnica, czy trafialiśmy na oddział dla narkomanów na własne życzenie, czy z sądowego nakazu. W tym pierwszym przypadku zgłaszaliśmy się osobiście, żeby uciec przed milicją, udając chęć podjęcia leczenia. W tym drugim – sąd chciał uzyskać opinię biegłych.

Tak czy inaczej Lubiąż to był Lubiąż. Nadaliśmy mu naszą własną nazwę – Na Drugim Brzegu. Nie tylko z powodu oczywistych analogii do piosenki Breakoutu, ale również dlatego że budynki szpitala mieściły się po drugiej stronie Odry. Wcześniej czy później trafiali tam najbardziej krnąbrni narkomani z Legnicy i okolic. Byłem jednym z nich. Przebywałem tam aż siedmiokrotnie, między innymi uciekając przed milicją w 1972 roku. Włamaliśmy się wtedy razem z kumplami do kolejnej już apteki w Legnicy. Ten, Który Nigdy Nie Odchodzi Od Drzwi wiedział doskonale, że byłem w to zamieszany. Niestety, nie miałem pewności, czy policja dysponuje twardymi dowodami, ale wolałem dmuchać na zimne. Postanowiłem, że pod pretekstem chęci rozpoczęcia leczenia z uzależnienia załatwię sobie pobyt na oddziale dla narkomanów Na Drugim Brzegu. Poszedłem na wizytę do psychiatry w Legnicy, a ten, kiedy zobaczył, w jakim jestem stanie, zaprawiony, z licznymi śladami kłucia igłą na przedramieniu, natychmiast wypisał mi skierowanie do Lubiąża.

Było to legendarne miejsce, owiane tajemnicą, przez lata związane z klasztorem Cystersów, którego główna siedziba mieściła się zaledwie dwa kilometry od budynków szpitala psychiatrycznego. Do dziś wiele historii związanych z Lubiążem pozostaje niewyjaśnionych, utrzymują się wątpliwości i kontrowersje. Jednak poza legendami, krążyły o tym miejscu również przerażające, prawdziwe historie jak ta z roku 1940. W czasie wojny chorych psychicznie przyjmowano dziesiątkami z innych szpitali: Leśnicy, Lubina czy Bolesławca. Niemcy zdecydowali, że pacjentów niemieckich trzeba odizolować od Żydów, których chcieli poddać eutanazji. Z Lubiąża do obozu koncentracyjnego wywieziono w dwóch transportach prawie stu pięćdziesięciu chorych pochodzenia żydowskiego. W 1945 roku, kiedy na Dolny

Śląsk dotarła Armia Czerwona, klasztor i kościół służyły jej jako obóz przejściowy dla jeńców i robotników przymusowych powracających z Trzeciej Rzeszy, ale to, co robili czerwonoarmiści z zabytkami, przechodziło ludzkie pojęcie. Jako drewno na opał wykorzystywali niemal wszystko. Radzieccy żołnierze spalili wszystkie z dwudziestu pięciu ołtarzy, a w poszukiwaniu skarbów otwierali trumny i wyciągali ciała opatów. W jednym z budynków szpitala psychiatrycznego, tak zwanej lekarzówce, zamieszkał na jakiś czas marszałek Konstanty Rokossowski.

Czułem się, jakbym przyjechał do jakiegoś dziwnego ośrodka odizolowanego od świata, owianego tajemnicą, gdzie przeprowadza się doświadczenia na zwierzętach, a może i ludziach. Dookoła pola i lasy, bezkresna pustka, cisza i potężne zabudowania klasztorne Ojców Cystersów – to wszystko robiło piorunujące wrażenie. Jakby ktoś przeniósł mnie w czasie. Poczułem się nieswojo. Na Drugim Brzegu było niemal całe okratowane. Prawie w każdym oknie zamontowano grube pręty lub metalowe siatki na wypadek, gdyby jakiś wariat chciał uciec lub popełnić samobójstwo. Nasz oddział był odizolowany od pacjentów psychicznie i nerwowo chorych. Znajdował się na pierwszym piętrze i był pozbawiony wszystkich tych zabezpieczeń, które ratowały życie wariatom. Personel szpitala wiedział, że w większości nie mieliśmy problemów psychicznych, a targało nami przede wszystkim fizyczne uzależnienie od narkotyków. I powiedzmy sobie szczerze – byliśmy przystojni, młodzi i atrakcyjni. Siostrzyczki, które zwykle spędzały dwadzieścia cztery godziny na dobę w otoczeniu wariatów, w naszym szalonym towarzystwie mogły poczuć się jak na niezłej imprezie. Odwiedzaliśmy je często wieczorami na dyżurce, czasami podrywaliśmy i uprawialiśmy seks, gadaliśmy do rana. Mimo że siedzieliśmy na oddziale, który miał leczyć ćpunów, ładowaliśmy równo w żyłę, bo dzięki kolegom, którzy nas odwiedzali, mieliśmy morfinę, a czasami nawet heroinę. Lubiąż miał być moim azylem, schronem, w którym ukryję się przed milicją, i wcale nie myślałem o konsekwencjach swojego zachowania. Przyszedł jednak moment, w którym zużyłem zapasy morfiny i wpadłem w głód. Telepało mną jak na mrozie. Ból mięśni mieszał się z zimnem, drgawki były tak mocne, a głód tak potężny, że musieli mnie przypinać pasami, żebym nie zrobił sobie krzywdy. Cierpiałem. Z każdym dniem coraz bardziej. Musiałem zdobyć jakiś towar. Marzyłem o działce morfiny. Obmyśliłem przebiegły plan ucieczki ze szpitala tylko na jedną noc. Chciałem dotrzeć do Legnicy, załatwić od Andrzeja działkę narkotyku, wrócić do psychiatryka i tutaj załadować w żyłę. Rano nikt nie domyśliłby się, co się wydarzyło. Mogłem na własne życzenie opuścić Lubiąż, ale bałem się, że wtedy milicja na pewno dobierze mi się do skóry. Teraz miałem ochronę w postaci lekarzy, którzy nie mieli wątpliwości, że jestem narkomanem, nie wierzyli jednak, że chcę się leczyć. Tylko ten, kto był uzależniony, może zrozumieć narkomana, który chce zerwać z uzależnieniem, ale jednocześnie marzy o ćpaniu. Rozdwojenie jaźni. Marzyłem, żeby mieć kogoś, kto mi pomoże, zrobi za mnie te najtrudniejsze kroki.

Zacząłem przygotowania do ucieczki, ale kompletnie nie analizowałem potencjalnych zagrożeń związanych z powrotem do Lubiąży. Nie zadałem sobie prostego pytania, czy to w ogóle możliwe w jedną noc pokonać dystans kilkudziesięciu kilometrów w obie strony. Problemem była też ograniczona liczba kierunków, w których mogłem uciekać. W promieniu kilku kilometrów była tylko jedna przeprawa promowa, którą mogłem przedostać się na drugą stronę Odry w kierunku Legnicy. Ale przecież nie w środku nocy! Do swojego rodzinnego miasta miałem stąd nieco ponad trzydzieści kilometrów. Jednak gdybym wybrał tę trasę nawet za dnia, musiałbym się liczyć z tym, że ktoś mnie zatrzyma, rozpozna, doniesie służbom, że widział

wariata, który ucieka z Lubiąża. Niestety, był listopad, co uniemożliwiało przeprawę wpływ przez Odrę, zresztą... nie umiałem dobrze pływać, co najwyżej popularną żabką. Innym, bezpieczniejszym, ale dużo trudniejszym rozwiązaniem była ucieczka w przeciwną stronę, do Brzegu Dolnego. Dwadzieścia jeden kilometrów przez pola i lasy, tam przekroczenie Odry i powrót drugą stroną rzeki do Legnicy. To w sumie dawało jakieś siedemdziesiąt parę kilometrów. W jedną stronę! Było zimno, padał już śnieg, mimo że mieliśmy dopiero początek listopada. Jak pokonać taki szmat drogi w samym szpitalnym ubraniu? Miałem to w dupie. Narkotykowy głód był silniejszy niż racjonalnie myślenie. Po sprawdzeniu niemal wszystkich pomieszczeń, jakie znajdowały się w budynku, stwierdziłem, że najlepiej będzie uciec przez okno na pierwszym piętrze. Zdobycie kilku prześcieradeł, które związałem razem końcami, nie było trudne. Dwa udało mi się zabrać z wózka z brudnymi rzeczami, jedno miałem swoje, a jedno zwinąłem jakiemś choremu, który był na tyle nieświadomy i pochłonięty swoim światem, że było mu zupełnie wszystko jedno, czy śpi na podłodze, czy na posłanym łóżku. Wieczorem, kiedy na oddziale zrobiło się spokojniej, a część pacjentów poszła do swoich sal, otworzyłem okno i po prześcieradłach zszedłem do wysokości okna na parterze. Byłem słaby i otepiały po ostatniej walce z głodem. Ręce bolały już po kilku niezdarnych ruchach i chyba tylko siłą woli wisiałem prawie dwa metry nad ziemią. Szukałem nogami oparcia na kratkach okna, ale były za daleko. W końcu z hukiem zleciałem na ziemię. Leżałem chwilę w ciszy, upewniając się, że nikt mnie nie zauważył. Podniosłem się i skulony w pół zacząłem oddalać się od budynków szpitala.

Było niemilosiernie zimno. „Kraina wiecznego lodu, kurwa” – przeklinałem w myślach. Życie narkomana to ciągła walka z głodem i zimnem. Od kiedy pamiętam zawsze tak było. Kiedy masz narkotyki, bierzesz, żeby poczuć ciepło. Kiedy ich nie masz, zrobisz wszystko, żeby je zdobyć. Nawet mróz nie powstrzymał mnie przed ucieczką. Podobnie jak nie powstrzymał mnie i Andrzeja, kiedy czekaliśmy prawie trzy godziny w sylwestrową noc, aby włamać się do apteki w Lubiążu. Tak, dokładnie w miejscu, z którego teraz uciekałem. Musieliśmy wybierać inne apteki niż te zlokalizowane w Legnicy. Tam w ciągu kilku lat zdążyliśmy okraść z morfiny aż siedem. Dla bezpieczeństwa szukaliśmy innych miejsc. Stali bywalcy szpitala Na Drugim Brzegu wiedzieli, że jest tam też apteka.

Przyjechaliśmy do Lubiąża około godziny dwudziestej pierwszej. Chcieliśmy się szybko uwinąć i wrócić do Legnicy na zabawę. Niestety, nie spodziewaliśmy się, że na terenie szpitala ktoś zorganizuje bal sylwestrowy! Było sporo ludzi, a do północy kilka godzin. Nie chcieliśmy ryzykować. Zaszyliśmy się w krzakach nieopodal apteki i uzgodniliśmy, że uderzymy tuż po północy, kiedy zaczną strzelać korki od szampana. Wszyscy będą już nieźle wstawieni, a my w tym czasie spokojnie zabierzemy z sejfu morfinę, a może trafią się również inne skarby jak kodeina lub dolargan. Wszystko, co było zamknięte, było wartościowe dla aptekarzy. Wszystko, co wartościowe dla aptekarzy, było ważne dla narkomanów. Od godziny dwudziestej trzeciej siedzieliśmy z Andrzejem w krzakach, z łomem za pazuchą – brechą, czyli wygiętym w kształt litery L prętem, który miał posłużyć do usunięcia krat w oknie. W plecaku mieliśmy butelkę wódki, papierosy, chleb i kilka parówek, co umilało nam czas oczekiwania na zakończenie imprezy sylwestrowej w wariatkowie. Zabawa trwała w najlepsze. Z oddali, przez odsłonięte okna, widzieliśmy, jak ludzie niezdarnie tańczą w rytm muzyki, poruszając się niczym teatralne kukiełki sterowane przez lalkarza, który dopiero uczy się zawodu. Obok pulsowała nam w oczach apteka – miejsce ukrycia skarbu, na który niespodziewanie przyszło nam czekać do północy.

– Kurwa, jak mi zimno – poskarżyłem się Andrzejowi. – Dawaj wódkę.

Andrzej wyciągnął z plecaka flaszkę. Jedną z pół miliarda tych, które pod koniec lat siedemdziesiątych wypijano rocznie w PRL-u. To nie żart. Oficjalne statystyki mówią o rekordowym spożyciu alkoholu na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Popularny żart z tamtych czasów mówił, że łatwiej było w Polsce Ludowej dostać spirytus niż zagrychę. Kilka razy w tygodniu w kraju nad Wisłą upijało się około pięciu milionów Polaków. Nie spożywało alkohol do posiłku. Upijało. Widok zataczającego się na ulicy człowieka nie robił na nikim żadnego wrażenia. Alkohol lał się nawet w pracy, a już szczególnie tam, gdzie tak zwany wielki świat nie docierał. W każdym Państwowym Gospodarstwie Rolnym pijany traktorzysta, kombajnista albo nocny stróż wlewał w gardło rocznie prawie dwanaście litrów czystego alkoholu. Oficjalnie. Nieoficjalnie przyjmowali pewnie dwa razy tyle. Powszechną praktyką było pędzenie bimbrowa i produkcja alkoholu na własną rękę.

Czekaliśmy w krzakach na dogodny moment do rozpoczęcia akcji i rozgrzewaliśmy się wódką, wyjątkowo kontrolując ilość spożywanego alkoholu. Musieliśmy okraść aptekę szybko i skutecznie. Zrobiliśmy to perfekcyjnie. Nikt, nawet znajomi z naszego najbliższego otoczenia, nigdy nie dowiedział się, kto włamał się do apteki szpitala psychiatrycznego w Lubiążu. A huczało o tej akcji na całym Dolnym Śląsku.

Biegłem tak szybko, jak potrafiłem, byle jak najszybciej wydostać się z terenu psychiatryka. Było zadziwiająco spokojnie. Tak naprawdę nikt wtedy nie strzegł zbyt pilnie szpitala – szczególnie zimą, kiedy wiadomo było, że nie ma dokąd uciec, bo dookoła są lasy i pola ze śniegiem po kolana. Kto przy zdrowych zmysłach pokusiłby się o ucieczkę w takich warunkach?! Uśmiechnąłem się do siebie, uświadamiając sobie, o czym właśnie pomyślałem. To właśnie tu powinni byli być gotowi na najbardziej szaleńcze pomysły. Zdrowe zmysły nie miały tutaj pierwszeństwa. Nie przestawałem biec. Buty i spodnie przemokły mi już po kilkuset metrach. Było mi bardzo zimno. Zacząłem powątpiewać w powodzenie tej akcji. W końcu porzuciłem pomysł dostania się do Legnicy i postanowiłem dobiec jedynie do Prochowic, które były oddalone od Lubiąża o dziesięć kilometrów. Tam też znałem dilerów, ale nie miałem pewności, czy będą dysponować towarem akurat w momencie, kiedy bez uprzedzenia zapukam do ich drzwi.

Nachodziły mnie dziwnie racjonalne myśli i argumenty, że przecież to, co właśnie robię, nie ma żadnego sensu. Jeżeli lekarze mają wystawić mi opinię zdrowego na umyśle, ale potwornie uzależnionego fizycznie od morfiny, z koniecznością natychmiastowego leczenia poza więzieniem, jeżeli ich opinia ma uchronić mnie przed zabraniem do aresztu na Kleczkowskiej we Wrocławiu, gdzie trafiała większość narkomanów obrabiająca apteki i tam czekała na rozprawę sądową, to powinienem grzecznie odsiedzieć do końca, poczekać na opinię i wrócić do domu. Walczyłem z myślami, ale nie przerywałem ucieczki. Zaczął padać śnieg. Powoli docierało do mnie, że przede mną jest jeszcze jedno ważne zadanie – obrać właściwy kierunek. Wiedziałem, że powinienem biec dokładnie w linii prostej na zachód. Niby proste, ale nie w pochmurną, zimową noc, kiedy nie ma żadnych punktów odniesienia. Nie miałem pojęcia, jak długo biegłem i szedłem przed siebie. Mróz, mokre ubranie i buty, narkotykowy głód oraz brak sił – to nie mogło się udać. Kilkadziesiąt kilometrów w takich warunkach? To mógł zrobić tylko ktoś, kto szybko biega i ma odpowiedni ubiór, a nie narkoman na głodzie, którego jedynym źródłem

energii są myśli o morfinie.

Kiedy upadłem ze zmęczenia po raz enty, leżałem przez chwilę w śniegu i pomyślałem, że to może się źle skończyć. Odmrożenia i zapalenie płuc byłyby najmniejszym wymiarem kary. Zrobiłem wówczas coś, co w całym moim życiu należało do rzadkości. Poddałem się. Postanowiłem wrócić do szpitala. Wiedziałem, że dalsza ucieczka może się bardzo źle skończyć. Nigdy jeszcze nie stchórzyłem, ale wtedy powoli zaczynałem przekraczać kolejny próg uzależnienia i dojrzywałem jednocześnie do decyzji, którą kiedyś i tak musiałem podjąć, o próbie leczenia. Kiedy ćpasz, oszukujesz, kradniesz, włamujesz się do aptek i szpitali, żebrzesz o centymetr morfiny, wtedy pukasz tam, gdzie normalnie nigdy byś nie zapukał. Tak jak ja wtedy.

Drzwi mojego oddziału, w którym przebywałem na obserwacji, były już zamknięte na klucz. O trzeciej nad ranem cały psychiatryk pogrążony był we śnie, wyjątkiem był jedynie dyżurujący sanitariusz. To on usłyszał walenie do drzwi. Zobaczył mnie, leżącego na ziemi. Podniosłem głowę i w milczeniu spojrzałem mu prosto w oczy.

To zdarzenie udowodniło całemu personelowi i lekarzom, że Górski nie ściemnia. Zobaczyli narkomana w pełnej krasie, upodłonego, zmarnowanego, na głodzie, który był w stanie upokorzyć największego twardziela. Przekonało ich dopiero to, że potrafiłem uciec ze szpitala w środku nocy, wyskakując przez okno z pierwszego piętra, a po kilku kilometrach na mrozie i w śniegu wrócić do psychiatryka i prosić o pomoc. Tak robi tylko ktoś, kto jest postawiony pod ścianą i nie widzi innej możliwości ratunku. Ale w tamtym czasie nie było systemowego programu leczenia uzależnień, a narkomani częściej lądowali na dołku lub w więzieniu. Niestety, tego ostatniego nie udało mi się uniknąć.

– Powiedzcie, że po Górskiego przyjechała milicja. – Usłyszałem kilka dni później głos lekarza, który informował sanitariusza w dyżurce, że jest nakaz zabrania mnie do aresztu śledczego na Kleczkowskiej, gdzie będę oczekiwał na rozprawę sądową.

NA GÓRNEJ PRYCZY

(Zakład karny, Wrocław, 1974)

Nawet nie próbowałem stawiać oporu. Dwóch gliniarzy podeszło do mnie i założyli kajdanki. Zabolęło. Miało zboleć. To była zemsta za to, że robiłem ich w chuja. Przyjechali po mnie pierwszy raz dwa dni wcześniej, ale personel szpitala zdołał mnie obronić, mówiąc, że milicjanci nie mają odpowiedniego dokumentu. Teraz gliniarze machnęli lekarzom przed nosem jakimś papierem z województwa i zaprowadzili mnie skutego do milicyjnej suki, w której podejrzani i skazani przewożeni byli w okratowanych boksach – lodówkach, jak je nazywaliśmy. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem, że w jednym z nich siedzi Magda, piętnastoletnia dziewczyna, z którą nieraz ładowaliśmy w żyłę w Legnicy. I wcale nie była najmłodszą narkomanką, którą znałem...

– Magda?! Co ty tu robisz? – zapytałem, ciesząc się na myśl, że nie będę sam.

– Nie gadać! – warknął milicjant.

– Do izby dziecka mnie wiozą – Magda zdążyła jeszcze odpowiedzieć szeptem.

Bąłem się. Byłem przekonany, że gliniarze będą chcieli spałować mnie za te wszystkie gierki, jakie z nimi prowadziłem. Po niespełna godzinie podróży, w czasie której zajechaliśmy do domu dziecka, gdzie zostawiliśmy Magdę, dotarliśmy do Wrocławia. Kiedy drzwi radiowozu się otworzyły, zobaczyłem potężne mury więzienia, okratowane okna i funkcjonariuszy z bronią. Wysiadłem na dziedzińcu, rozejrzałem się dookoła. To miejsce było straszne i tajemnicze zarazem. Narkomani robili wszystko, żeby tam nie trafić, ale jeżeli już któryś z nas spędził na Kleczkowskiej kilka miesięcy, chwalił się tym na prawo i lewo, jakby zdobył właśnie kolejną ważną odznakę harcerską. Areszt na Kleczkowskiej był legendarny choćby z uwagi na najsłynniejszego więźnia, którego tam przetrzymywano – Różę Luksemburg. W murach wrocławskiego więzienia wykonywano w przeszłości wyroki śmierci przez ścięcie gilotyną, a po wojnie komunistyczna władza więziła i mordowała tu działaczy niepodległościowych oraz żołnierzy Armii Krajowej. Jednym z tych, którego rozstrzelano przy Kleczkowskiej, był żołnierz AK, Jan Klamut, pseudonim... „Górski”. W takim oto miejscu mieścił się teraz zakład zamknięty z oddziałami dla uzależnionych od alkoholu i środków odurzających.

Po kilkunastu minutach od chwili opuszczenia milicyjnej suki odpowiadałem już na pytania Służby Więziennej. Bąłem się chwili, w której otworzą się drzwi celi i poznam współwięźniów. Wielokrotnie, siedząc na dołku w Legnicy, słyshałem ostrzeżenia kumpli, którzy areszt i więzienie mieli już za sobą: „Pamiętaj, jeżeli kiedykolwiek cię posadzą, od razu musisz wejść do grupy. Musisz pokazać, że jesteś jednym z nich, bo inaczej będziesz frajerem, będą cię gnoić na każdym kroku. Nie możesz okazać słabości”.

Zanim wszedłem do celi, dostałem przydział: aluminiową miskę, płytki talerz, aluminiowy widelec i łyżkę, dwa prześcieradła i jeden koc.

W celi siedziało już pięciu facetów. Kiedy klawisz zamknął drzwi, stałem jeszcze przez chwilę w milczeniu, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Grypsujesz? – usłyszałem pytanie najstarszego z więźniów.

– Grypsuję – odpowiedziałem natychmiast z taką pewnością w głosie, że reszta więźniów

podniosła się z łóżek, opierając na łokciach i patrząc w moim kierunku uważnie.

– Za co siedzisz?

– Artykuł dwieście ósmy. Apteki.

– Narkoman, kurwa, jesteś!

– No i co z tego?! Grypsuję, kurwa mać, i nie układam się z klawiszami, jasne?

– Wskakuj – kiwnął głową ten sam, który zagadnął mnie na początku, wskazując jedyne wolne miejsce na piętrowym łóżku.

Lubiłem spać na górnej pryczy. Była bliżej okna, a to w każdym momencie pobytu w areszcie kojarzyło mi się z wolnością. Za każdym razem, kiedy wchodziłem do celi, modliłem się, żeby zobaczyć wolną górną pryczę. Jako grypsujący miałem prawo, żeby odebrać łóżko młodszym i tym, którzy nie grypsowali – tak zwanym frajerom. Nigdy tego nie robiłem. Ci, z którymi trzymałem w więzieniu, uczyli mnie takich zasad, ale to była jedna z tych, których unikałem. Aż tak głęboko w więzienne grupy nie wchodziłem. Byłem sobą. Robiłem to, co uważałem za słuszne i dobre dla mnie, a nie dla innych. Obracałem się w świecie młodych ludzi, którzy mieli od osiemnastu do dwudziestu kilku lat i chcieli pokazać, że są silni, a tak naprawdę wielu z nich było słabych, miało problemy, które próbowali ukryć stwarzaniem pozorów i przemocą wobec innych.

Położyłem się i jeszcze przez chwilę odpowiadałem na pytania współwięźniów, którzy chcieli mnie dokładnie prześwietlić, zbadać, czy mogą mi zaufać i rozmawiać w celi swobodnie, czy jednak klawisze przysłali kapusia na przeszeptęgi.

Mnie również próbowali podejść na różne sposoby. Szantażowali, prowokowali i podsyłali mi konfidentów – innych skazanych lub oskarżonych, którzy donosząc na współwięźniów, pracowali na wcześniejsze zwolnienia lub mniejszy wyrok. Na szczęście byłem na nich wyczulony. Jeszcze na wolności dostałem informacje od stałych bywalców więzienia na Kleczkowskiej, że mogą mnie posadzić w celi, gdzie siedzi kapuś, który znalazł się razem ze mną tylko w jednym celu – miał wyciągnąć informacje na temat włamania, o które zostałem oskarżony. Przez kilka tygodni konfident starał się ze mną zaprzyjaźnić, zdobyć moje zaufanie, aby w pewnym momencie zadać pytanie o ostatnią kradzież morfiny. Nie udało się ani jemu, ani nikomu innemu.

Czasami demaskowałem kapusia. Kiedy miałem tylko najmniejsze podejrzenia, że siedzę z konfidentem, który zadał właśnie podejrzone pytanie, odpowiadałem na nie, wymyślając kompletną bzdurę, kreując sytuację, która nigdy nie miała miejsca. Relacjonowałem na przykład swój dzień, kiedy doszło do włamania do apteki. Wymyślałem historyjkę, że pokłóciłem się z kolegą i dałem mu w pysk. Kiedy podczas przesłuchania prokurator pytał o ten fakt, wiedziałem, że musiał mu o tym donieść ten, któremu to opowiedziałem, bo nikt inny nie znał tej opowieści. Za kratami nigdy nie ufałem.

Wieczorem kalifaktorzy, czyli funkcyjni więźniowie, zaczęli roznosić jedzenie. O dwudziestą drugą zgasło światło, słychać było szcęk zamykanych krat na oddziale, echo roznosiło okrzyki Służby Więziennej, z którą kłócili się więźniowie. Zamknąłem oczy. Zastanawiałem się, ile wiedzą, czy któryś z kumpli mnie sypnął i czy mają jakieś twarde dowody, że włamałem się do apteki. Pierwszy raz wylądowałem w prawdziwym areszcie, za kratami, w zasadzie w więzieniu, ale jeszcze nie skazany prawomocnym wyrokiem. Czekałem na proces, a najgorsze było to, że

nie wiedziałem, jak dużo czasu tu spędzę. Dziękowałem losowi, że najgorszy głód już minął, bo nie wiem, jak zniósłbym go tutaj, zamknięty w więziennej celi z pięcioma przestępcami. Siedzieli za jakieś kradzieże, pobicia i rabunki, ale żaden z nich nie był narkomanem.

Jeżeli chciałem przetrwać, musiałem natychmiast przystosować się do miejsca, w którym się znalazłem. Był tylko jeden sposób, żeby to przeżyć bez szwanku – grypsować i na stałe wyrobić sobie mocną pozycję w grupie. Dlatego kolejne tygodnie i miesiące upłynęły mi na intensywnym doskonaleniu grypsowania. Szybko opanowałem metodę migania, czyli pisania na rękach, dzięki czemu mogłem porozumieć się z kumplami poza murami więzienia. Niektóre z okien były wysoko nad murami aresztu i ci, którzy byli na wolności, widzieli nas w oknach celi. Wiele razy rozmawiałem na migi z Andrzejem, który przychodził pod mury więzienia i przekazywał informacje na temat tego, co słychać w naszej bandzie. Wiele razy prosiłem go o przekazanie informacji mojej matce, która przemyślała mi do więzienia rzeczy, o które prosiłem – nieświadomie nawet narkotyki. Mimo w miarę przyjaznego przyjęcia przez współwięźniów w celi wcale nie miałem w więzieniu łatwo. Ciągłe musiałem walczyć o swoje, udowadniając, że Górski nie da się łatwo stłamsić.

Kolejny bolesny test miał nadejść lada moment. Raz w tygodniu pozwalano nam brać prysznic. Kilkudziesięciu facetów rozebranych do naga w jednym pomieszczeniu z kilkoma rurami, z których lała się woda – poniżająca procedura, podczas której nieraz dochodziło do bójek i gwałtów. Wystarczyło jedno niezrozumiałe spojrzenie, jeden uśmiech, który nie spodobał się jakiemuś fakirowi, i można było oberwać w zęby. Fakirami nazywaliśmy więźniów, którym lepiej było nie podpadać. Byli silni i znani z różnych akcji, doświadczeni, z długim stażem odsiadki. Nie wiedziałem, że spoglądam właśnie na takiego. Zanim się odezwał, wziął zamach i uderzył mnie prosto w twarz.

– No i co się, kurwa, gapisz?! Pozwoliłem? – zapytał, kiedy podnosiłem się z posadzki.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, ale zdążyłem oddać. Mocno. Prosto w szczękę, dokładnie w ten sam sposób, w jaki oberwałem. Fakir, z którym właśnie podjąłem próbę sił, był ode mnie większy, silniejszy i gdyby nie to, że do akcji wkroczyli klawisze, pewnie nie mógłbym pozbierać się przez następne tygodnie. Szarpanina trwała zaledwie kilkadziesiąt sekund, ale i ja, i on mieliśmy już farbę na wargach i nosie. Po celach rozniosło się, że Górski potrafi oddać i lepiej z nim nie zaczynać. Narkoman, ale inny niż wszyscy. Grypsuje i daje w mordę.

Procesu się nie doczekałem. Któregoś dnia przyszło dwóch strażników, kazali mi spakować, co miałem, i zabrali do radiowozu. Sędzia nakazał przeprowadzenie badań psychiatrycznych. Było tylko jedno miejsce, gdzie mogłem trafić na obserwację.

HALOPOPIERDOL

(Szpital psychiatryczny, Lubiąż, 1974)

Nie miejsce tu na krytykę studiów pedagogicznych i ich rozmijanie się z rzeczywistością. Chciałem jedynie zasygnalizować, że gorąco protestuję przeciwko produkowaniu magistrów psychologii, pedagogiki, resocjalizacji itp., których nie próbuje się nawet nauczyć tego, co będzie im przydatne w ich późniejszym życiu, np. szacunku dla ludzi, których pozwolono nam nazywać pacjentami, a którzy różnią się od nas tylko tym, że inaczej wyrażają swoje myśli i uczucia, nie mieszcząc się w ustalonych przez nas zdrowych normach.

*Ty zaraziłeś ich narkomanią,
Marek Kotański*

Szedłem długim korytarzem szpitala psychiatrycznego w Lubiążu. Tym razem nie na pierwsze piętro, gdzie mieścił się oddział dla narkomanów, ale wprost do części dla nerwowo i psychicznie chorych. Uzależnieni, których sąd kierował na badania psychiatryczne, trafiali do wariatkowa. Mijaliśmy pokoje, w których siedzieli schizofrenicy i obłąkani, ktoś bujał się na krześle, mamroczał coś pod nosem, niektórzy leżeli na żelaznych łózkach, tępo wpatrując się w sufit, wyglądali na półżywych. Wokół panowała przerażająca cisza, przerywana jakimś krzykami, roznoszącymi się echem po budynku, po których znowu następowała cisza. I znowu, i znowu... W kółko to samo. Gdzieś ktoś czymś uderzył, komuś coś spadło. Szpital psychiatryczny sprawiał wrażenie opuszczonego budynku, do którego weszli właśnie jego dawni lokatorzy i po cichu przeszukiwali pomieszczenia, trafiając co chwilę na kogoś, kto przez wiele miesięcy ukrywał się w piwnicy, zawadzając od czasu do czasu nieopatrnie o jakiś przedmiot, który z hukiem spadał na podłogę.

– Jeeezuuuu, Jeeezuuuu... – ktoś przerażającym głosem wołał z pokoju, który mijaliśmy.

Przeszły mnie ciarki. Po raz pierwszy na serio przestraszyłem się tego miejsca. Wszystkie nasze opowieści i młodzieńcza chęć zaimponowania innym, pochwalenia się, że spędziło się Na Drugim Brzegu chociaż kilka dni, przestały mieć znaczenie. Modliłem się, żebym nie zwariował.

Obserwacja psychiatryczna miała dla mnie tylko jedną zaletę, której jeszcze wtedy sobie nie uświadamiałem, ślepo zapatrzony w moich przewodników po narkoświecie. Areszty śledcze, więzienie, szpital psychiatryczny – wszystko to ratowało mi życie. Killkudniowe lub kilkutygodniowe przerwy w ćpaniu, dawały organizmowi chwilę wytchnienia. Oczywiście głód powodował bolesne reakcje, ale gdyby nie ten przymusowy odwyk, już dawno wylądowałbym w trumnie. Mimo że w więzieniu i szpitalu psychiatrycznym mogłem przemycać narkotyki, to okresy bez ćpania były na tyle długie, że ratowały mnie od śmierci.

Mój kolejny pobyt w Lubiążu również nie oznaczał całkowitej abstynencji od narkotyków. Wystarczyło dać cynk kolegom, a w czasie odwiedzin dostarczali mi towar, jakiego chciałem. Tylko udawałem, że się leczę. Byłem tam sam. Ja i kilkudziesięciu wariatów, z których część wyglądała tak, jakby za chwilę miała się spotkać z Bogiem – dosłownie i w przenośni. Pewnego dnia stanąłem w obronie jednego z nich, co skończyło się dla mnie bardzo boleśnie.

Oglądaliśmy jakiś film. Nie wszyscy, bo część pacjentów nie była w stanie świadomie w tym uczestniczyć. Byli zamknięci w swoim własnym świecie. Zdążyłem się już do tego przyzwyczaić i z biegiem czasu przestałem zwracać uwagę na nietypowe zachowania niektórych z nich. Ale tego dnia stało się coś bardzo dziwnego. W sali siedziało kilka osób beznamytnie wpatrujących się w ekran telewizora, który stał na szafce. Porządku pilnowały dwie pielęgniarki. Nieco dalej od nas, przy ścianie, siedział mężczyzna w średnim wieku, bardzo szczupły, miał długie włosy i twarz pełną zmarszczek, które wyglądały jak wielkie bruzdy. Kiwał się na krześle w przód i w tył, od czasu do czasu nerwowo potrząsał głową na prawo i lewo, machając ręką, jakby coś odganiał sprzed twarzy. Oglądałem telewizję, ale co jakiś czas zerkałem w jego stronę. Był jedną z tych osób, których bałem się od początku najbardziej – nieprzewidywalny, groźnie wyglądający, jak mroczny typ z horroru. Nagle, w najmniej spodziewanym momencie, zerwał się z krzesła, zaczął krzyczeć coś o Bogu i rzucił się biegiem w stronę okna. Przestraszyłem się tak bardzo, że obracając się za siebie, spadłem z krzesła. Przez chwilę siedziałem na podłodze i patrzyłem na niego w osłupieniu. Mężczyzna zdążył już dobiec do okna i z całych sił odbił się z jednej nogi, rozłożył szeroko ręce i rzucił się na metalową siatkę, chroniącą szybę. Zaczął potrząsać nią tak mocno, jakby chciał ją wyrwać ze ściany. Krzyczał, a wręcz wydierał się w tak niezrozumiały sposób, że nikt, nawet ci, którzy siedzieli z nim w psychiatryku od wielu miesięcy, nie potrafił powiedzieć, o co chodzi. Część pacjentów zaczęła się śmiać, niektórzy nerwowo, jakby sami nie wiedzieli, czy to, co widzą, jest niebezpieczne, czy to jednak część jakiegoś przedstawienia. Jeden z chorych schował się pod stół, jeszcze inny zaczął nerwowo biegać w miejscu i powtarzać w kółko: „Niedobrze, niedobrze, niedobrze...”. Wszystko zaczęło przypominać jakąś surrealistyczną scenę z teatralnego przedstawienia, gdzie bohaterowie pochodzą ze świata snu i fantazji. To wydawało się tak nierealne, że zacząłem się zastanawiać, czy nie jestem właśnie poddawany jakiemuś badaniu, a ci wszyscy ludzie nie są przypadkiem aktorami podstawionymi specjalnie po to, aby odegrać scenę, która miała sprowokować moją reakcję. Krzyknąłem do pielęgniarek:

– Zróbcie coś!

Po chwili zjawiała się ekipa sanitariuszy. Chwycili chorego, obezwładnili i z wielką siłą rzucili na łóżko. Wydawało mi się, że działają z nieuzasadnioną agresją. Zaczęli spinać go w pasy. Po chwili z dyżurki wróciły siostry z lekami i zrobiły mu zastrzyk. Normalna procedura, która mnie doprowadziła do szału. Wkurwiłem się, że tak traktują pacjenta. Kląłem na nich jak szewc i atakowałem za to, że użyli tak dużej siły i agresji.

– Górski, wracaj do siebie! – głos sanitariusza był stanowczy.

– Spierdalaj, co wy mi możecie zrobić? Nie jestem chory. Wiesz, dlaczego tu jestem? Chuja wiesz – klóciłem się jak zwykle.

Sanitariusz porozumiewawczo spojrział w kierunku swojego kolegi i pielęgniarki. Wiedzieli, co mają robić. Jak na zawołanie chwycili mnie pod ręce i przewrócili na podłogę. Ten, którego zwyzywałem, zaczął ubierać mnie w kaftan, ale ja nie zamierzałem mu tego ułatwiać. Rzucąłem się jak szalony po podłodze, kopałem i wyrywałem z całych sił, nie mogłem jednak wygrać z postawnymi sanitariuszami, którzy nie takich pacjentów jak ja unieszkodliwiali w kilkanaście sekund. Wiedzieli, jak wykręcić ręce, żebym zawył z bólu. Szybko założyli mi kaftan bezpieczeństwa i związali z tyłu. Odsłonili mi pośladek i dostałem jeden z najboleśniejszych zastrzyków w życiu. To był fenactil, lek uspokajający o silnym działaniu przeciwpsychotycznym. Leczyli nim schizofreników. Miał silne skutki uboczne, a na mnie, człowieka uzależnionego od narkotyków, alkoholu i papierosów, działał chyba podwójnie źle.

To, co się ze mną stało w tamtym momencie, medycyna nazywa reakcją paradoksalną. Tak zachowuje się organizm na głodzie, kiedy w żyłach zamiast narkotyku płynie lek.

Moja twarz przybrała wyraz, jakbym był sparaliżowany, z ust zaczęła wydobywać się piana, mówiłem w zwolnionym tempie, cały wykręcałem się z bólu. Miałem wrażenie, że ktoś łapie poszczególne partie moich mięśni i wykręca jak ręcznik po praniu. Po chwili poczułem w ustach potworną suchość, chciało mi się pić, jak po wielogodzinnym marszu w słońcu. Nie mogłem nic zrobić. Świadomość tego, co się dzieje, została ta sama, ale fizycznie byłem unieszkodliwiony. Czulem się tak, jakby ktoś zamknął mnie w klatce obok ciała i kazał patrzeć na zwijający się z bólu kawał mięsa.

To nie była ani pierwsza, ani ostatnia taka sytuacja. Czasami narkomanom podawano inny lek o nazwie Haloperidol. Tak jak w przypadku fenactilu stosowano go w leczeniu schizofrenii, psychozy paranoidalnej, manii i hipomanii. Wołaliśmy na ten lek halopopierdol, bo ta nazwa najlepiej oddawała reakcję organizmu po sporej jego dawce. Podawano go zwykle naprawdę mocnym świrom, którzy byli zagrożeniem dla siebie i otoczenia. Mięśnie wiotczały po nim w kilka minut, pacjenci srali i sikali pod siebie, bezbronne leżąc na łóżku lub podłodze z wywieszonym językiem. Trzecim lekiem, który pamiętam, był hemiton – teoretycznie podawano go na obniżenie ciśnienia, ale tak jak w przypadku fenactilu, reakcja organizmu mogła być różna. W najbardziej skrajnej człowiek wpadał w szal. Uzależniony organizm w niespotykany i nieprzewidywalny sposób domagał się heroiny, nie leków. Bywały przypadki, że niewinnie wyglądające, cherlawe dziewczuszki po dużej dawce tego leku rzucały meblami po ścianach, a postawnych sanitariuszy przestawiały jak pionki na szachownicy. Tak nas właśnie wtedy leczono – wyłącznie farmakologicznie, eksperymentując na wszelkie możliwe sposoby. Zanim pojawiły się prawdziwe ośrodki leczenia narkomanii, wszystkich ćpunów wysyłano do psychiatryka. Ale trafiali tam zgodnie z medycznymi wskazaniem, bo diagnozowano u nich zaburzenia kontroli impulsów, a takie przypadłości leczyło się właśnie w szpitalu psychiatrycznym. Niestety, w większości był tylko jeden prosty sposób na buntującego się narkomana – spacyfikować i unieszkodliwić wszelkimi możliwymi środkami. Nie bardzo wiedziałem, jak sobie z tym poradzić. Raz, że nie było komu się poskarżyć, bo przecież według władz narkomanii w Polsce nie było. Dwa, że przed wejściem na oddział podpisywałem zgodę, w której treść nie bardzo się wczytywałem, a która pozwalała lekarzom niemal na wszystko: „Zgadzam się na leczenie takimi metodami, jakie lekarze uznają za celowe, i na zabiegi uznane przez lekarzy za potrzebne”.

Starano się o nas nie mówić wcale, a jeśli już, to zamiast narkomanami nazywano nas lekomanami. Przecież w państwie socjalistycznym, w którym obowiązywała propaganda sukcesu, nie istniało coś takiego jak narkomania, ona była tylko na zgniłym, kapitalistycznym Zachodzie. Przywódcy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ze swoim pierwszym sekretarzem Edwardem Gierkiem, ignorowali narkomanię na wszelkie możliwe sposoby, twierdząc, że to zjawisko marginalne, niegroźne dla zdrowej tkanki socjalistycznego społeczeństwa, mimo że wielu ekspertów z dziedziny psychiatrii i terapeutów alarmowało, że jest nas coraz więcej. Gierek i jego świta twierdzili, że być może tak jest, ale nie w państwie ludowym, które jest przecież tworem idealnym, bez patologii społecznych. Kilka lat później, kiedy ja i wielu moich kolegów znajdziemy się w najgorszym stadium ćpania, a uzależnionych od narkotyków według oficjalnych statystyk Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej będzie sto tysięcy, Gierek stwierdzi na plenum KC PZPR latem 1980 roku, że problem narkomanii został całkowicie opanowany. Komuna chciała społeczeństwa wiecznie szczęśliwego,

zadowolonego z działań partii, więc uciekanie od szarej rzeczywistości w narkotyki nijak się miało do definicji państwa idealnego. To, że rozpijano społeczeństwo, podlegało nieco innej kategorii – między innymi tradycji.

Po wstrzyknięciu fenactilu po raz kolejny wylądowałem w izolatce. Leżałem na gołej podłodze w ciemnym pomieszczeniu i wyłem z bólu. Co kilka godzin ktoś uchylał drzwi i sprawdzał, czy żyję. Jeżeli tylko przejawiałem najmniejsze objawy agresji, drzwi z hukiem się zamykały. Bywało, że spędzałem tak dwadzieścia cztery godziny, po których zmęczony organizm nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek walki. Łagodniałem. Ale tylko na chwilę. Nie mieli ze mną łatwo. Zawsze się buntowałem, zawsze się stawiałem. Po tym, co zobaczyłem w psychiatryku, moje nastawienie do lekarzy w białych kitlach jeszcze bardziej się radykalizowało. Ja ich po prostu znienawidziłem. Przez pierwsze kilka dni pobytu w szpitalu nie mogłem pozbyć się uczucia strachu, niepewności, bałem się, że jakiś wariat biegający po korytarzu może zrobić mi krzywdę. W pokoju spałem przytulony plecami do ściany, tak żeby mieć pewność, że nikt nie rzuci się na mnie od tyłu, a spacerując korytarzami psychiatryka, zawsze oglądałem się za siebie. Nieraz widziałem, jak sanitariusze wynoszą do izolatki kogoś związanego kaftanem bezpieczeństwa, wydzierającego się wniebogłosy lub jęczącego w dziwnym stanie obłąkania.

Spędzałem z chorymi psychicznie całe dni. Nie miałem wyjścia, nie było gdzie się przed nimi schować. Jedliśmy razem śniadania, kolacje i obiady, oglądaliśmy razem telewizję, spędzaliśmy wolny czas, chociaż to „spędzaliśmy” brzmi nieco na wyrost. Ja po prostu siedziałem w tych samych pomieszczeniach co oni, w szarym świecie, w którym od czasu do czasu coś oprócz narkotyków dostarczało mi przyjemności. Tak jak w czerwcu 1974 roku, kiedy patrząc w telewizor z grupą wariatów, nie mogliśmy się nacieszyć, kiedy z wielkiej piłki na stadionie w Monachium wyskoczyła Maryla Rodowicz i zaśpiewała na otwarcie mundialu piosenkę *Futbol*.

*Futbol, futbol, futbol,
Przeżyjmy to jeszcze raz
Gdy piłka w grze wyjdzie na strzał,
Śledzi jej lot cały świat
Piłka jest okrągła jak
Ziemski glob, ziemski glob
Na świecie tym są takie dni,
Gdy niebo drży, bo padł gol
To był strzał, to jest szal,
To jest sport, to sport*

Wers, w którym Maryla śpiewała „To był strzał, to jest szal”, stał się moim ulubionym. Śpiewałem go, spacerując po korytarzach szpitala psychiatrycznego, kiedy niecierpliwie czekałem na odwiedziny kolegów z towarem.

Mistrzostwa świata, w których polska reprezentacja zajęła trzecie miejsce, wygrywając 1:0 z Brazylią, a Grzegorz Lato zdobył tytuł króla strzelców, trafiając do siatki aż siedem razy,

zapamiętam do końca życia. To był ogromny sukces ekipy... Górskiego. Ja też miałem swoje „orły” – demony, wieczne naćpane, pokłute igłami, powoli staczające się w kierunku grobu. Zawsze wtedy, kiedy do głowy przychodziła mi myśl o leczeniu, odzywał się diabeł – Jurek Górski, na którego nie chciałem patrzeć w lustrze, a który namawiał mnie do złego.

Nie sposób było zapomnieć mundialu z jeszcze jednego powodu – okoliczności, w jakich go oglądałem. Leczyłem się w szpitalu psychiatrycznym z narkomanii, ale przebywałem na oddziale specjalnym z chorymi umysłowo i ludźmi w depresji. Razem z nimi patrzyłem, jak Andrzej Szarmach, Kazimierz Deyna i Grzegorz Lato rozmontowują najlepsze ekipy świata. Dla nas to oni byli najlepsi.

Po dwóch miesiącach leczenia wypuszczono mnie na wolność. Wróciłem do domu, a raczej do miejsca, gdzie spałem i od czasu do czasu coś jadłem. Byłem już dorosły, nikt się mną nie interesował, nikt nie pytał o to, co zamierzam robić, jak żyć, gdzie pracować. Miałem dwadzieścia dwa lata i nie ukończyłem żadnej szkoły, która dałaby mi przyzwoitą pracę. Całe dni spędzałem w towarzystwie kumpli i koleżanek od narkotyków. Miałem za sobą siedem lat brania różnego rodzaju leków, morfiny, kodeiny, narkotyzowania się klejem. Za chwilę miało przyjść najgorsze. Coś, przez co kilkakrotnie otarłem się o śmierć.

JAK MAKIEM ZASIAŁ (Legnica, 1977–1979)

Wiele razy byłem bliski śmierci, chociaż niektóre z moich doświadczeń mogły czasem wydawać się zabawne. Jak wtedy, latem 1977 roku. To było tuż przed etapem rozpoczęcia domowej produkcji heroiny i chwilę po wyjściu ze szpitala psychiatrycznego w Lubiążu. Niewiele jeszcze wtedy wiedzieliśmy o produkcji tak zwanej polskiej heroiny, ale mieliśmy świadomość, że w maku ukryte są substancje, o które nam chodziło. Ich pozyskiwanie w kilkugodzinnym procesie obróbki chemicznej było jednak wtedy zarezerwowane dla niewielu. Poza tym krążyło mnóstwo opowieści na temat tego, w jaki sposób pozyskiwać heroinę z maku – nie wszystkie były prawdziwe i bezpieczne.

Tego dnia obudziłem się z potwornym bólem głowy po ostatniej libacji alkoholowej. Byłem już w ciągu od kilku dni, morfina otrzymana w prezencie od Chrabąszcza wystarczyła na krócej, niż przypuszczałem, nikt ze znajomych nie miał zapasów narkotyku i nie bardzo wiedzieliśmy, jak sobie z tym poradzić. Andrzej rzucił pomysł, żeby wybrać się za miasto, na pole i tam urządzić grzanie. To był czas mlecza makowego, dla nas niestety krótki, bo obejmował tylko okres letni, kiedy mak dojrzewał. Na przełomie września i października zaczynaliśmy głodować i stan ten trwał aż do wiosny. Szukaliśmy wtedy substytutów i odurzaliśmy się również makiwarą – wywarem ze słomy makowej, do której dorzucaliśmy różne psychotropy. Bałem się jednak, bo za dużo zaczęliśmy eksperymentować i każde takie nowe doświadczenie mogło skończyć się śmiercią. Pierwszego z kumpli straciłem już w 1972 roku. Mieszkał pięćset metrów ode mnie i właśnie wyszedł z więzienia, gdzie nie miał możliwości brania narkotyków. Z tęsknoty za morfiną przyładował w żyłę taką dawkę, że był to jego ostatni strzał. Kolejni odchodzili po cichu – na przystanku autobusowym, pod murem ruskich koszar, w ramionach swoich dziewczyn. Niestety strach, jaki nas dopadał w takich sytuacjach, trwał bardzo krótko. Po chwili wracaliśmy do starych zwyczajów.

Pojechaliśmy z Andrzejem za miasto z samego rana, tuż po wschodzie słońca. Chcieliśmy mieć wystarczająco dużo czasu na przygotowanie mlecza makowego. Gdyby nam się nie udało, mieliśmy plan powrotu do starej metody zdobywania narkotyków – włamywania się po morfinę do apteki. Był przepiękny sierpniowy dzień. Już od rana słońce grzało bardzo mocno. Gorąco było zresztą już od kilku tygodni, a my cieszyliśmy się jak dzieci, bo to oznaczało, że mleczo makowe będzie miało dobrą konsystencję. Dla nas dojrzałe było to, co zielone, rolnicy czekali aż mak stanie się brązowy i suchy. Wsiadliśmy na pożyczony motocykl WSK, nazywany wueską. Popularne były jeszcze wufemki. Różnym modelom nadawano różne nazwy: Bąk, Lelek, Gil. Podobały nam się. Już sam motor kojarzył nam się z wolnością, a imiona ptaków dodawały jeszcze symbolicznego znaczenia.

Ruszyliśmy z Andrzejem na wcześniej wyszukane pole makowe. Wypatrzyliśmy je w czasie podróży pociągiem. To był jeden z naszych sposobów na lokalizowanie upraw. Wsiadaliśmy w pociąg lub autobus i jechaliśmy przed siebie, wyglądając przez okna. Wybieraliśmy pola zlokalizowane blisko Legnicy, żeby można było się tam szybko dostać, ale takie, wokół których nie było zbyt dużo zabudowań. Sprzedaż maku, a nawet słomy makowej była dla rolników

jednym z legalnych źródeł dochodu, a największym odbiorcą były zakłady farmaceutyczne Polfa. Dopóki nie wprowadzono zakazu, a wcześniej ograniczeń w jego uprawie, państwo skupowało od rolników słomę, a gospodarze przeganiali nas z pól, strasząc kosami, i choć może to brzmieć zabawnie, to wcale takie nie było. Ocieraliśmy się o śmierć. Nieraz dochodziło do pobić narkomanów. Bano się nas. Nie tylko tego, że kradliśmy, ale też tego, jak wyglądaliśmy i jakie choroby mogliśmy przenosić. Końcówka lat siedemdziesiątych i lata osiemdziesiąte były dla nas najtrudniejsze.

Prowadziłem. Miałem długie, gęste włosy sięgające do ramion, które powiewały na wietrze – nikt z nas nie jeździł wtedy w kasku. Chudy jak szczapa, ubrany w dzinsy dzwony, wąskie w udach i rozszerzające się u dołu, batikową wielobarwną koszulę, wyglądałem na szczęśliwego człowieka. Jechaliśmy motocyklem przez pola i lasy, a świeże powietrze mieszało się z zapachami sztucznej skóry, którą pokryta była kanapa, i benzyny, której ślady widać było wokół korka na górze baku. Uwielbiałem to. Im było bliżej makowego pola, tym większe czułem podniecenie, choć nie miałem pojęcia, jak Andrzej chce przygotować narkotyk. Zaparkowaliśmy motocykl między drzewami w jakimś zagajniku przylegającym do pola. Wiedzieliśmy, że jeżeli pierwszy strzał wprowadzi nas w stan otępienia, to trochę czasu tu spędzimy, leżąc na kocu między łodygami maku. Gdyby ktoś przejeżdżał, mógłby zauważyć stojący przy polu motocykl, a my nie chcieliśmy zwracać na siebie uwagi.

Weszliśmy kilkadziesiąt metrów w głąb pola, rozłożyliśmy koc i staraliśmy się schować wśród niewysokich, maksymalnie może metrowych łodyg maku i zielska, które rosło wokół.

– Nacinaj – rozkazał Andrzej.

Złapałem zieloną główkę maku i jednym pociągnięciem żyletki, którą nazywaliśmy mojką, naciąłem ją od góry do dołu. Później kolejną i kolejną, aż dookoła nas kiwało się na wietrze kilkanaście naciętych główek maku. Po kilku minutach, kiedy na zielonej główce wykwitła biała gęsta ciecz o konsystencji kauczuku, zacząłem zgarniać ją żyletką do buteleczki po lekach. Kiedy była już prawie pełna, schowałem ją do plecaka, żeby zabrać ze sobą do domu i tam wyprażyć plon, jak nazywaliśmy enigmatycznie naszą zdobycz. Następnie znów skupiłem się na nacinaniu, ale tym razem zgarniałem już mleczko na łyżeczkę, żeby przyćpać na polu. W ziemię wbiliśmy świeczkę. Nad nią podgrzaliśmy mleczko, aż odparowało, a biała ciecz zamieniła się w twardą, brązową skorupę. Następnie ją zeszkrobaliśmy i jeszcze raz podgrzaliśmy, dodając jakichś chemikaliów, które zabrał ze sobą Andrzej. Nie miałem pojęcia, co tym razem wymyślił. Nie wiedziałem, od kogo zdobył przepis, ale skoro nie padło imię Chrabąszcza, wiedziałem, że nie jest to sprawdzone źródło. Gdyby to był Chrabąszcz, Andrzej pochwaliłby się tym natychmiast. Wiedział, że rekomendacja największego guru narkotykowego w naszym mieście zrobiłaby na mnie wrażenie. Okręciłem wata wlot do strzykawki, tworząc w ten sposób prowizoryczny filtr, przez który wciągnąłem płyn. Andrzej przewiązał przedramię gumką, kilkakrotnie zacisnął i otworzył pięść, pompując krew w żyłach. Nagle usłyszałem, jak coś przedziera się przez zarośla. Szybko, gwałtownie, jakby za chwilę miało zaatakować z ukrycia. Pomyślałem, że to stado dzików albo jakaś inna zwierzyna, ale okrzyk: „Zajebać ich, kurwa!!” rozwiął wątpliwości. Zanim zdążyłem zerwać się na nogi, poczułem na plecach pierwsze kopnięcie. Było tak mocne, że natychmiast padłem na twarz, i wtedy poczułem drugie uderzenie, tym razem prosto w zęby. Dostrzegłem Andrzeja, który zdążył wstać. Uciekał, ale za nim biegł z kosą w ręku cham, jak nazywaliśmy w tamtych czasach rolników, którzy przeganiali nas z pól.

Właściciel razem z synem jakimś cudem dostrzegli, że dwóch narkomanów wchodzi im na plantację. Byłem osłabiony narkotykowym głodem, ale kiedy poczułem zagrożenie, przypływu

adrenaliny zrobił swoje. Byłem dobry w biciu. Najlepszy. Przyjąłem kilka mocnych ciosów, ale zdołałem obrócić się na plecy i mocnym kopnięciem odepchnąłem napastnika. Wstałem, chwyciłem żyletkę, którą nacinałem główki maku, i machnąłem nią tuż przed twarzą chłopaka. Był w moim wieku. Dobrze zbudowany, większy ode mnie, ale chyba nie miał żadnych doświadczeń z ulicznych bijatyk, bo agresji wystarczyło mu tylko na kilka pierwszych ciosów zadanych zniemacka. Kiedy poczuł opór i zobaczył moją wściekłość, przestraszył się. Wiedziałem, że już go mam. Nagle usłyszałem ten sam gwałtowny szelest w zaroślach, który zakłócił nam grzanie na początku. Nie było czasu na zastanawianie się, kto tym razem wyłoni się z krzaków. Zacząłem uciekać. Biegłem przed siebie do końca pola, które z makowego przeszło w kukurydziane. I dobrze, i źle. Łatwo można było się w nim ukryć z uwagi na szerokie, długie i grube liście oraz wysokie łodygi, ale z drugiej strony była to jedna z najbardziej bolesnych kryjówek, w jakich przyszło mi się chować. Liście kukurydzy cięły jak brzytwa. Po kilkunastu metrach biegu byłem cały w czerwonych szramach. Skóra pokaleczona ostrymi brzegami liści wyglądała jak po biczowaniu. Spalone na słońcu ciało, dręczone narkotykowym głodem, dostało jeszcze jeden rodzaj bólu. Słony pot działał na pociętą skórę jak ogień, piekło jak cholera. Nie wiem, ile godzin spędziłem w polu kukurydzy, ale nie chciałem ryzykować. Czekałem w ciszy, słysząc tylko pokrzykiwania rolników, którzy jeszcze przez jakiś czas szukali mnie między łodygami. Po tym doświadczeniu zaczęliśmy rozważniej korzystać z dobrodziejstw natury. Nieudana wyprawa za miasto poskutkowała dwiema rzeczami. Po pierwsze, włamaliśmy się do apteki, bo narkotykowy głód nie przyjął do wiadomości, że rolnikom nie spodobała się nasza miłość do maku. Po drugie, farmaceutom i milicji nie spodobało się, że zrobiliśmy włam do apteki. Znowu mnie zamknęli.

Rok 1976 nie był oczywiście żadną cezurą czasową wskazującą na pojawienie się twardych narkotyków w Polsce. Od zawsze w kraju nad Wisłą je brano, ale wcześniej ograniczało się to wyłącznie do wąskich grup społecznych, między innymi artystycznej bohemy albo lekarzy, którzy mieli ułatwiony dostęp do różnych specyfików, a także substancji syntetycznych o działaniu narkotyzującym. Przyszedł jednak czas, kiedy twarde narkotyki trafiły pod strzechy.

– Ci z Gdańska to Nobla powinni dostać, wiesz – zachwyciłem się informacjami, które przekazał mi Andrzej. – Zobacz, kurwa, kto by pomyślał, heroina z maku. A my przez tyle lat włamy robiliśmy, zimą po nocach kraty wyginaliśmy, żeby trochę morfiny zdobyć – cieszyłem się jak dziecko.

W 1976 roku dwóch studentów chemii z Gdańska (choć później mówiło się również o studentach z Krakowa, którzy już rok wcześniej mieli wpaść na ten sam pomysł) opracowało metodę produkcji tak zwanej polskiej heroiny, popularnie nazywanej kompotem. Już wcześniej docierały do nas opowieści o tym, że jacyś studenci pracują nad pozyskaniem w tani i łatwy sposób narkotyku z maku, ale proces jego produkcji nie był jeszcze powszechnie znany, wciąż go doskonalono i tylko po cichu liczyliśmy, że może niedługo będzie dostępny również dla nas. I był. Kiedy tylko przepis na „królową narkotyków” rozszedł się po całym kraju, dziewięćdziesiąt procent narkomanów zaczęło korzystać z maku jako źródła hery. Jeśli nie potrafili zrobić jej samodzielnie, kupowali u dilerów. Jeden centymetr towaru kosztował około dwudziestu złotych. Bochenek chleba kupowaliśmy wtedy za cztery złote.

Tak naprawdę wraz z przepisem na polską heroinę skończyła się era panowania nad

czymkolwiek. Mogliśmy produkować narkotyki we własnej kuchni niemal za darmo. W konsekwencji tylko w jednym roku straciliśmy trzech kolegów. Ale nawet wizyta na ich grobach nie skłoniła nas do powiedzenia sobie dość. Zanim ksiądz skończył odmawiać ostatnią modlitwę, wracaliśmy do „spożywania” śmiertelnie niebezpiecznego kompotu. Już dawno przestaliśmy słuchać Hendriksa i czytać hipisowskie teksty. Mieliśmy to w dupie. Prawdziwy ruch hipisowski w naszym kraju ograniczał się do bardzo wąskiej grupy młodych ludzi, a ci, którzy zaczęli brać coś więcej niż tak zwane poszerzacze świadomości, weszli na drogę śmiertelnie niebezpiecznego uzależnienia. Nie każdy hipis był narkomanem i niewielu narkomanów fascynowało się hipisowską ideologią. Byliśmy ćpunami, którzy wchodzili właśnie w ostatni etap życia. Mieliśmy swoje żniwa śmierci. Była z nich tylko jedna droga ucieczki – terapia i całkowite wyleczenie. Ale nikt z nas nie miał wtedy tak silnej woli lub jeszcze nie dotarł do granic upodlenia. To ono wyznaczało moment, w którym skóra i kości były jedynym dowodem fizycznego istnienia.

Marek Kotański, o którym jeszcze wtedy nie miałem pojęcia, powtarzał: „Rok dla narkomana, który bierze, jest dalszym kopaniem grobu o kilka metrów głębszego. Istnieje potworny mechanizm, który – niestety – funkcjonuje u narkomanów. Trzeba odbić się kolejny raz od dna, doświadczyć nieprawdopodobnych cierpień i upodleń, aby dojrzeć do chęci prawdziwej, podkreślam prawdziwej, walki z nałogiem”².

Każdego dnia ocieraliśmy się o śmierć, a każdy strzał mógł okazać się złotym strzałem – samobójstwem z przedawkowania. Szczególnie niebezpiecznie zrobiło się wtedy, gdy niemal każdy z nas wszedł w posiadanie przepisu na polską heroinę. Nie pamiętam już, jak poznałem recepturę, ale wcale nie była prosta.

Ze słomy przygotowaliśmy wywar – makiwarę, czyli zupę. Tak ją nazywaliśmy, chociaż prawdziwa makiwara nie miała przecież źródła w narkomanii. Nazywano tak z pozoru niewinnie wyglądający wywar, który w XIX wieku, szczególnie na wsiach w rodzinach rolniczych, podawano dzieciom na uspokojenie. Czasami dodawano do niego miód, zawijano w kawałek materiału w formie rożka i podawano dziecku do ssania. Po latach rozmawiałem ze swoją dziewięćdziesięcioletnią ciotką, która opiekowała się mną pod nieobecność matki, i dowiedziałem się, że ona również karmiła mnie taką mieszką. Można powiedzieć, że narkomanii i miłość do heroiny wyssałem już jako dziecko.

Oprócz słomy makowej do produkcji heroiny potrzebowaliśmy acetonu, bezwodnika kwasu octowego, amoniaku, octu i kationitu. Sporo tego było. Nie rozumiałem procesów chemicznych zachodzących w czasie obróbki makiwary, ale wiedziałem, co, w jakich proporcjach i w jakiej kolejności zrobić. Słomę makową zawsze podgrzewałem w emaliowanym garnku przez półtorej godziny i w ten sposób otrzymywałem oleistą ciecz, ciemnobrązową, jak mocno zaparzona herbata. Przepuszczałem ją przez gazę i za pomocą wszystkich wymienionych wcześniej substancji, w wyniku kilkietapowych czynności, doprowadzałem do powstania heroiny. Cały proces wymagał precyzji i zachowania szczególnej ostrożności, zwłaszcza że jeden z etapów był wręcz niebezpieczny i groził wybuchem lub pożarem. Nic też tak nie śmierdziało jak opary powstające w procesie przygotowywania polskiej heroiny. To był smród nie do wytrzymania, który miał jeszcze jedną wadę – zdradzał miejsce produkcji narkotyku. Sąsiedzi zachodzili w głowę, pytając, co tak potwornie śmierdzi. Każdy, kto wąchał kiedyś amoniak, może sobie wyobrazić jeszcze kilka innych smrodliwych substancji, które były używane do produkcji, a które wchodziły w reakcję z makiwarą i pod wpływem temperatury parowały. Samą makiwarę można było wypić. Ale żeby poczuć porządnego kopa, musieliśmy wlewać ją w siebie litrami.

Na zaawansowanych narkomanów, będących w heroinowym ciągu, już nie działała, a nawet jeśli, to przez bardzo krótki czas, po którym głód wracał ze zdwojoną siłą. Poza tym zupa była ohydna, gorzka, ale dla nas liczył się efekt końcowy. Niestety, ten po wypiciu oleistej, ciemnobrązowej cieczy nie był tak spektakularny jak po dożylnym podaniu heroiny, więc w większości przypadków skupialiśmy się na produkcji docelowego narkotyku. Tyle że był to proces żmudny i skutkujący niewyobrażalnym wręcz smrodem. Walczyłem z nim, jak tylko mogłem. Na początku uszczelniałem drzwi i okna wychodzące na ulicę mokrymi szmatami i kocami. Pozwalałem oparom wydostawać się tylko przez okno w kuchni, dodatkowo włączając wiatrak, żeby jak najszybciej wydmuchać smród na zewnątrz. Ale to nie pomagało.

– Co tak kapustą śmierdzi u was? – zapytała któregoś dnia sąsiadka.

– Kapustą? To nie u nas – odpowiedziałem zdziwiony. – Na obiad kotlety mamy – dodałem oschle i nagle omal nie rzuciłem się w podziękowaniu na szyję staruszce, która nieświadomie podsunęła mi pomysł na walkę ze smrodem.

– Tak! Będę gotował kapustę! – krzyczałem, wbiegając do kuchni.

Od tego dnia kilka razy w miesiącu jadłem na obiad kapustę. Gotowałem tego, ile się dało. Śmierdziało w całej kamienicy, ale przynajmniej mieszały się zapachy i trudniej było poznać, że znów szykują heroinę. Nikt z sąsiadów nie donosił na milicję, że u Górskich robią kompot. W jednym garnku kilogramy kapusty, w drugim słoma makowa. Przez jakiś czas działało. Produkcja polskiej heroiny była tania, bo większość składników można było dostać za grosze, ale cały proces dla kogoś, kto był na bakier z chemią, nie był zrozumiały. Ja po prostu wykonywałem pewien ciąg czynności, o których powiedzieli mi koledzy. Od pewnego momentu musieliśmy już płacić za słomę makową. Kiedy rolnicy uświadomili sobie, że mogą zrobić biznes na czymś, co do tej pory wyrzucali albo oddawali za bezcen, nie było już tak łatwo.

– Kurwa, tak drogo?! – oburzałem się, odbierając worek.

– Słoma jest za darmo. Płacisz za moje milczenie, dzieciaku – usłyszałem odpowiedź.

Płaciłem, czym tylko się dało. Kwitł handel wymienny. Nie miałem pracy i coraz trudniej było mi poruszać się w dorosłym świecie. Widziałem zmiany na swoim ciele, poddawany nieustannemu truci alkoholu, papierosami i heroiną. Byłem wiecznie pijany albo naćpany. Codziennie życie było podporządkowane zdobyciu działki narkotyków, choćby centa, jak mówiliśmy na centymetrową działkę.

Kompot miał w sobie wszystko, za czym tęsknili narkomani, a co niektórych doprowadziło do śmierci już na początku przygody z tym narkotykiem. Ponad tysiąc różnego rodzaju związków chemicznych, w tym morfina, heroina i kodeina, było niebezpieczną mieszanką. Nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, że stąpamy po bardzo cienkim lodzie. Narkotyzowanie się polską heroiną produkowaną w warunkach domowych stwarzało niebezpieczeństwo uzależnienia się już po pierwszym strzale, a w najgorszym wypadku natychmiastowej śmierci z powodu przedawkowania. Nikt nie potrafił przecież ustalić, ile psychoaktywnych, a także toksycznych związków znajduje się w jednej dawce. Nie mierzyliśmy tego w żaden sposób. Poza tym produkowane przez nas narkotyki były potwornie zanieczyszczone. Tym, którzy wpadli w sidła polskiej heroiny, dawało się maksymalnie kilka lat życia, może dwa, trzy, ale dla nikogo nie było zaskoczeniem, kiedy heroiniści umierali po niespełna roku. Tylko jednostki wybitnie silne potrafiły przeżyć dłużej. Polska heroina królowała na rynku przez kilkanaście lat. Od połowy lat siedemdziesiątych do początku lat dziewięćdziesiątych nie było popularniejszego narkotyku, ale to właśnie wtedy zacząłem też tracić przyjaciół. O przedawkowanie nie było w takiej sytuacji trudno.

Heroina wstrzyknięta dożylnie zaczynała działać błyskawicznie. Już po kilku sekundach czułem jej wpływ na organizm i układ nerwowy. Euforia, zanik bólu, przyjemność i wewnętrzny spokój były tym, na co czekałem, o co walczyłem, dla czego byłem gotów narażać swoje zdrowie i życie. Po heroinie czułem się wolny i beztroski. Ona zabierała moje problemy, nudne i biedne życie bez perspektyw, pomagała uciec od szarego świata, w którym się wychowałem. Niestety, tylko na kilka godzin. Tak naprawdę ta największa przyjemność trwała zaledwie kilka minut. Po pięciu godzinach powoli zaczynaliśmy wracać do rzeczywistości i zaczynało się najgorsze. Narkotykowy głód był uczuciem, którego baliśmy się najbardziej. Heroina uzależniała niemal od razu, była piekielnie mocnym, twardym narkotykiem, który zabijał – jednych natychmiast, innych, którzy mieli przerwy na detoks lub więzienie – powoli, stopniowo, przez wiele lat. Detoksykacja i rozpoczęcie terapii nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać. Nie tylko należało mieć silną wolę i chęć leczenia, ale powodzenie terapii zależało również od wsparcia otoczenia, rodziny oraz odpowiedniego programu leczenia. Tego w połowie lat siedemdziesiątych jeszcze nie było. Kiedy byłem w stanie największego uzależnienia, było mi już wszystko jedno. Odszedł od nas ojciec i nie musiałem kryć się z produkcją narkotyków. O tym, że znalazł sobie inną kobietę, dowiedziałem się podczas odsiadki w areszcie, nie pamiętam już której z rzędu. W zasadzie nie zrobiło to na mnie żadnego wrażenia, nie miałem z nim zbudowanych żadnych relacji i nawet przez chwilę nie poczułem, że będzie mi czegoś brakować. Pamiętam tylko ten moment, w którym mama przyszła do mnie na widzenie i przekazała suchy komunikat:

– Ojciec się wyprowadził.

– Damy sobie radę – odpowiedziałem i spojrzałem na jej zmęczoną, zatroskaną twarz.

Współczucie, które budziło się we mnie w takich momentach, było chwilowe, ale prawdziwe. Kiedy zacząłem brać narkotyki, matka chroniła mnie przed gniewem ojca. Często do późnej nocy siedziała w oknie, paliła papierosa i wypatrywała mnie na ulicy, ostrzegając przed nim, jeśli była taka potrzeba. Nie zamykała drzwi na klucz, abym mógł bezszelestnie wejść do domu i położyć się do łóżka. Kiedy byłem już dorastającym nastolatkiem i miałem swój rozkładany fotel w kuchni, gdzie nocowałem, było mi łatwiej.

Odejście ojca nie zakończyło cierpienia matki, która musiała od tego momentu patrzeć, jak zabijam się narkotykami nawet przy niej. Terroryzowałem i szantażowałem ją na każdym kroku. Mówiłem, że jeśli nie pozwoli mi robić kompotu w domu, pójdę w miasto i będę robił gorsze rzeczy. Wówczas liczył się strzał w żyłę, a to, jak osiągnę ten cel, nie miało już znaczenia. Strzykawka, popularna „piątka”, do której wchodziło pięć centymetrów heroiny, przestała mi wystarczać. Dziennie musiałem ładować trzy do czterech takich porcji. Narkotyk miał różną moc, w zależności od tego, jak przygotowaliśmy kompot. Eksperymentowaliśmy. Raz kopały zaledwie dwa centymetry, innym razem trzeba było załadować aż pięć na raz. Gdybym mógł, heroinowy okres wymazałbym z pamięci. Nawet kilkadziesiąt lat później na myśl o gorzkawym smaku makiwary i niewyobrażalnym wprost smrodzie, jaki powstawał podczas produkcji kompotu, robi mi się niedobrze, wzdrygam się i mam odruchy wymiotne. Kiedy przypominam sobie zapach i smak tego świństwa, każda komórka mojego ciała reaguje odrzuceniem niemal natychmiast, czuję ten smród w mózgu, w nosie i na języku.

„URA BURA, CIOTKA ZIELIŃSKA”

(Zakłady karne w Jeleniej Górze, Lubaniu i Brzegu, 1978–1981)

Kolejna apteka na koncie. Straciłem już rachubę, która z kolei. Nie było miasta w zagłębiu miedziowym, którego nie odwiedziłbym z zamiarem włamania do apteki. Nie wszystkie włamy kończyły się tak, jak chciałem. Był 16 października 1978 roku. Dzień wyboru Karola Wojtyły na papieża przywitałem w celi aresztu w Jeleniej Górze. Nie byłem praktykującym katolikiem, ale jak większość ludzi trzymających się z dala od Kościoła, postrzegaliśmy Jana Pawła II jako wielkiego człowieka, walczącego o wolność. Cieszyliśmy się jak dzieci, że komuniści dostaną teraz po dupie, bo społeczeństwo dzięki wsparciu papieża Polaka stanie się odważniejsze i trudniej będzie je tłamsić. Kolejne wspaniałe wydarzenie zapisywało się na kartach polskiej historii, a ja zamiast celebrować takie momenty w domu z rodziną lub znajomymi, siedziałem w małej, czteroosobowej celi przestarzałego aresztu, w którym nie mieliśmy nawet kibla. Dwa razy dziennie wynosiliśmy tak zwane bomby. W celi o wielkości około dwunastu metrów kwadratowych, z dwoma piętrowymi łózkami, mieliśmy jedno metalowe naczynie, stojące w rogu, przypominające wysoki kocioł, przykrywany szczelnie pokrywką, która z założenia miała nie przepuszczać zapachu. Nie było żadnej kotary, żadnej przesłony, która dawałaby choć minimum intymności podczas wypróżniania się. Sikaliśmy i sraliśmy do bomby, a każda taka czynność poprzedzona była ostrzeżeniem skierowanym do współwięźniów, że najlepiej w tym momencie nie sięgać po jedzenie. Mieliśmy zresztą niepisaną zasadę – zakaz srania, kiedy do celi wchodził kalifaktorzy z obiadem. Oprócz poniżających warunków sanitarnych drugim dużym problemem była nuda i brak możliwości aktywnego spędzania czasu. Ile można leżeć na pryczy, gadać lub czytać? Po wąskim, kilkumetrowym przejściu między pryczami, od drzwi do okna, chodziliśmy na zmianę. Żeby nie oszaleć, każdy miał godzinę na spacer w tę i z powrotem. Ja znalazłem sobie jeszcze jedną rozrywkę, której przez kilka lat przebywania w aresztach i więzieniu oddawałem się bez reszty – szachy.

Po raz pierwszy ruszyłem pionkiem, kiedy z Jeleniej Góry przeniesiono mnie do zakładu karnego w Lubaniu. Oszalałem na punkcie szachów. Chyba właśnie wtedy zaczął się okres, w którym powoli, podświadomie zacząłem szukać alternatywy dla ćpania. Rzucanie narkotyków nigdy nie było w moim przypadku procesem nagłym. Momentami czułem się, jakbym miał rozdwojenie jaźni. W latach największego upodlenia ćpałem heroinę, ale jednocześnie szukałem i pragnąłem uzdrowienia. Problem polegał wtedy na tym, że chciałem, aby ktoś zrobił to za mnie. Nie rozumiałem, że rzucanie nałogu muszę zacząć od decyzji we własnej głowie, że nikt za mnie tego nie zrobi. Grałem i byłem jednym z najlepszych. Kiedy ograłem już wszystkich w celi, zacząłem szukać możliwości udowodnienia, że jestem w szachach najlepszy w całym więzieniu. Któregoś dnia podszedłem do okna celi, zapukałem w umówiony sposób w ścianę i przytulając się do krat w oknie, zawołałem w prawą stronę.

– Wojtek! Weź tam, kurwa, puknij do Szprychy, czy zagra ze mną partyjkę.

Po chwili usłyszałem stukanie w ścianę, podszedłem do okna i usłyszałem, jak Wojtek przekazuje informację od Szprychy.

– Dawaj konia z B1 na C3.

I tak przez najbliższą godzinę wymienialiśmy się w ten sposób informacjami, gdzie kto ma przestawić jaką figurę. Pośrednikowi płaciłem czasami papierosem albo łyżeczką herbaty, co w więzieniu było najcenniejszym towarem. Ale dzięki temu mogłem grać z więźniami z różnych cel i zabijać nudę, co było łatwiejsze, kiedy do jednego zakładu karnego trafiało nas kilku lub nawet kilkunastu.

Czasami zamykali nas hurtowo, szczególnie po jednej z najbardziej spektakularnych akcji milicji, jaka miała miejsce w 1979 roku. Nadano jej kryptonim MAK79. Był to czas, kiedy przestaliśmy już okradać apteki, choć sporadycznie niektórzy z nas jeszcze w ten sposób pozyskiwali morfinę, ale naszym głównym źródłem była polska heroina robiona ze słomy makowej. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, między innymi dzięki staraniom kilku osób z wydziału kryminalnego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Legnicy, wprowadzono co prawda ograniczony zakaz uprawy maku i konopi indyjskich, ale do tego czasu mieliśmy narkotykowy raj na ziemi. Heroinę przygotowywaliśmy również w domu i pewnego razu to właśnie tam nasza moich kumpli milicja. Z perspektywy czasu tamta sytuacja może wydawać się zabawna, ale wtedy takie najście i skonfiskowanie towaru było dla nas totalną porażką, szczególnie jeśli trafiło na narkomana na głodzie. Rzecz działa się w domku w ogródkach działkowych, w którym od kilku dni imprezował między innymi Chrabąszcz, Andrzej i kilku innych kumpli ze środowiska. Ćpali, pili i zapraszali na seks różne dziewczyny z miasta, które – tak jak oni – zachłysnęły się wolnością i hasłem *make love, not war*. Było jeszcze przedpołudnie, kiedy kilkaset metrów od domku zatrzymała się milicyjna suka. Ten, Który Nigdy Nie Odchodzi Od Drzwi musiał dostać cynk, że u Chrabąszcza od kilku dni imprezują narkomani, bo przyjechał w obstawie kilku gliniarzy. Niezauważenie otoczyli domek, a kiedy Pies podnosił rękę, aby zapukać do drzwi, jeden z jego kolegów dał mu sygnał, że z tyłu budynku narkomani zostawili otwarte okno balkonowe. Pies podszedł z drugiej strony, otworzył je na oścież i, stojąc w progu, zastanawiał się przez chwilę, co zrobić. Przed nim, na podłodze pokoju leżało kilku naćpanych narkomanów, którzy jeszcze nie obudzili się po wczorajszej imprezie, a z kuchni dobiegały odgłosy włączonego radia i krztałania się przy garnkach. Milicjant, stawiając ostrożnie stopy między śpiącymi narkomanami, powoli kroczył w stronę kuchni, a reszta gliniarzy zwijała się ze śmiechu, zakrywając usta dłońmi, aby nikogo nie obudzić. Kiedy Pies doszedł do kuchni, zobaczył Chrabąszcza, który stał przy garnku i mieszał słomę makową, czytając książkę. Był tak pochłonięty lekturą i przygotowywaniem heroiny, że kompletnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się wokół niego. Pies podszedł od tyłu i zaglądając do garnka, zapytał:

– Gotowe?

Chrabąszcz, nie przerywając lektury, odpowiedział od niechcenia:

– Pojechało cię? Dopiero zacząłem.

– Może pomóc? Przytrzymam książkę, a ty mieszaj, co? – dłuższe zdanie wypowiedziane przez Psa spowodowało, że Chrabąszcz rozpoznał głos milicjanta, odskoczył od kuchenki jak oparzony i zaczął uciekać.

Wpadł do pokoju, gdzie spali jego kumple przytuleni do półnagich dziewczyn, i narobił takiego hałasu, że obudził wszystkich, ale nocna impreza musiała być bardzo ostra, bo nikt nie zareagował trzeźwo na to, co właśnie się działo. Niektórzy podnieśli na chwilę głowy,

zmęczonymi oczyma, jak przez mgłę starali się zorientować w sytuacji, po czym z rezygnacją wtulili głowy, w co tam tylko leżało na podłodze. Milicjanci patrzyli na wszystko przez balkonowe okno i nie musieli nawet za nikim gonić. Chrabąszcz, widząc zablokowane wszystkie miejsca ucieczki, przysiadł zrezygnowany na krześle i czekał, aż Pies dokończy dzieła. Czasami gliniarze byli dla nas bezlitośni i decydowali się na publiczne upokorzenie. Tego dnia Chrabąszcz z Andrzejem, trzymając w rękach duży garnek z wywarem ze słomy makowej, maszerowali w asyście milicji ulicami Legnicy i niemal w centrum miasta, przy spacerujących mieszkańcach, musieli wylać wszystko do kanalizacji.

Ten nalot milicji skończył się dla wielu moich kumpli wyłącznie krótkim aresztem, ale bywały takie, po których lądowaliśmy na wiele miesięcy w prawdziwym więzieniu, skazani prawomocnym wyrokiem sądu, od którego nie było już ucieczki.

Najtrudniejsze w odsiadce były chwile, kiedy zapinano mnie w pasy lub zamykano na twardym łożu. To pierwsze polegało na unieruchomieniu rąk. Poruszałem się wtedy po izolatce niezdarnie jak pingwin albo zrezygnowany leżałem na pryczy jak kłoda drewna. Zapinali mnie w pasy zawsze wtedy, gdy groziłem samobójstwem albo łamałem wszelkie zasady, panujące w więzieniu. Nie mam pojęcia, ile było w sumie wniosków o wymierzenie mi kary dyscyplinarnej, ale bardzo często zarzuty się powtarzały: „zakłócał spokój głośnymi rozmowami”, „przemyczał do celi pieniądze”, a nawet „był pod wpływem narkotyków, które wstrzyknął sobie w celi między godziną dwudziestą trzecią a trzecią nad ranem”. Czasami w tym ostatnim przypadku odstępowali od wymierzenia kary, a w papierach pisali mi, że nie byłem świadomy tego, co robiłem. Ale częściej zamykali mnie w izolatce i zakładali na biodra pas, który miał po bokach dwie klamry, w które zapinali mi nadgarstki. Czuję się jak niepełnosprawny bez rąk. Nic nie mogłem zrobić. Podobnie jak w szpitalu psychiatrycznym, tak i teraz, łagodniałem. I znów tylko na moment. Chwilę po zdjęciu pasów wracałem do starych gier. Wtedy sięgali po bardziej restrykcyjny środek i zamykali mnie na twardym łożu. Tak nazywaliśmy izolatkę, w której do spania przygotowano jedną deskę na metalowych obręczach, opuszczaną ze ściany. Trafiałem tam najczęściej za przemyt pieniędzy i narkotyków, niewłaściwy stosunek do Służby Więziennej i po rewizjach w celi, kiedy znajdowano u mnie nielegalny towar. Sporo handlowałem. Można powiedzieć, że w więzieniu stworzyłem sobie sklep. Walutą w areszcie były papierosy, herbata i wszelkiego rodzaju jedzenie. Najwięcej można było dostać za papierosy i herbatę. Pieniądze z wypiski, które przysługiwały wtedy raz w miesiącu, wystarczały na krótko. Kwitł handel wymienny, nielegalne przrzucanie towarów z celi do celi. Ci, którzy mniej palili, wymieniali papierosy na jedzenie i herbatę, czasami na pieniądze. Umiałem się targować. Byłem w stanie sprzedać papierosy za trzy, cztery razy więcej, niż kosztowały. Czasami wpadaliśmy. Pamiętam jeden z bardziej spektakularnych nalotów na naszą celę. Klawisze musieli dostać cynk od strażnika z wieżyczki, który obserwował okna celi od zewnątrz. Były oznaczone numerami, dobrze widocznymi z każdego miejsca, aby w jednej chwili przez krótkofalówkę lub telefon z wieżyczki poinformować strażników wewnątrz, że coś niepokojącego dzieje się w celi. Starano się ucinać w ten sposób przemyt, a on i tak kwitł w najlepsze. Wystarczyło mieć sznurek, do którego przywiązywało się towar – nazywaliśmy to chabetą. Tego dnia próbowałem podać paczkę papierosów kilka cel obok. Wyciągnąłem rękę przez okno, rozkręciłem sznurek z towarem i w odpowiednim momencie puściłem, tak żeby

poleciał trzy okna dalej, gdzie kumpel czekał już z wyciągniętym kijem od szczotki lub wysuniętym przedramieniem. Sznurek owinął się wokół, dzięki czemu można było zdjąć towar i ukryć za kibelem, pod materacem lub umywalką. Nagle usłyszeliśmy głośne tupanie po schodach. Klawisze biegli w kierunku naszych cel i zanim zdążyliśmy cofnąć się od okien, wpadli do środka. Złapali nas na gorącym uczynku. Zrobili kipisz, wyrzucając wszystkie rzeczy na podłogę. Jeden z klawiszy pozbiierał podejrzany towar na kupę na środku celi i zapytał:

– Skąd to macie, Górski?

Zawsze odpowiadałem konkretnie:

– To nie moje. Nie mam pojęcia, skąd się to tutaj wzięło.

Za takie odpowiedzi i stawianie się funkcjonariuszom zawsze dostawałem karę – pokazową dla całego oddziału, ku przestrodze. Na dwa tygodnie zamknięto mnie w izolatce, na twardym łóżu.

Wejście do tego pomieszczenia przerażało mnie, ale oczywiście nie okazywałem strachu, grałem twardziela. Klawisze doprowadzili mnie do izolatki. Otworzyli wielkie, żelazne drzwi, za którymi pokazała się krata, a za nią cela. Była mała, szeroka na dwa metry i długa na trzy. W ścianie było składane łóżko – decha i obok niej również składane, przytwierdzone do ściany krzeselko, które przypominało te z wąskich korytarzy wagonów pociągów PKP. Dostałem jeden koc, gruby na kilka milimetrów. Czekają mnie dwa tygodnie samotności, odcięcia od świata. Na szczęście cela nie była dźwiękoszczelna i docierały do mnie odgłosy z życia więzienia.

Jedną z większych przyjemności podczas pobytu w izolatce było czytanie. Zabijało pustkę i nudę. Ja, który repetowałem piątą klasę podstawówki właśnie z polskiego, czytałem na potęgę. Niestety, jeżeli chciałem czytać coś innego niż socjalistyczną propagandę, musiałem się o to postarać – załatwić w bibliotece, przehandlować dobrą książkę za papierosy lub herbatę. Czytałem Józefa Ignacego Kraszewskiego, a powieść *Hrabina Cosel* była jedną z moich ulubionych, szczególnie fragment o tym, jak siedziała w więzieniu. Można powiedzieć, że hrabina podtrzymywała mnie na duchu. Ją więzili czterdzieści lat, a mnie maksymalnie kilka miesięcy. Odcięli ją od rodziny i przyjaciół – mnie też ich brakowało. Poza tym *Starą baśń, Królewskich synów, Infantkę, Boży gniew*, czyli powieści należące do cyklu *Dzieje Polski*, połykałem jedna za drugą. Lubiłem nawet opisy przyrody i rycerskiego dworu, bo pozwalały mi wyobrazić sobie, jak wyglądał ówczesny świat królów i szlachty. Dziwiłem się sobie, jak to możliwe, że tak bardzo nienawidziłem polskiego, a w areszcie lub w więzieniu pochłaniałem książkę za książką. Żeby zabić nudę, czytałem też Sienkiewicza i Stanisława Grzesiuka. Ten ostatni, autor słynnej piosenki *Nie masz cwaniaka nad warszawiaka*, napisał także *Boso, ale w ostrogach*, którą to książkę przeczytałem w dwa dni. W autobiograficznej powieści o chłopcu z Czerniakowa z czasów tuż przed II wojną światową widziałem siebie i warunki życia, w jakich przyszło mi funkcjonować. *Boso, ale w ostrogach* Grzesiuk uczynił nie tylko tytułem swojej książki, ale również życiowym mottem, z którego wiele czerpałem. To był facet z ulicy. Jak ja. Nigdy nie okazywał strachu i zawsze walczył o swoje. Zachowywałem się dokładnie jak on. Jeżeli trzeba było się bić w więzieniu, potrafiłem oddać silniejszemu i starszemu, a przede wszystkim nie kapowałem! Na Czerniakowie nikt nie donosił na swoich, tak jak w mojej dzielnicy nikt z paczki nigdy nie puścił pary z ust, nie sprzedał milicji. Grzesiuk imponował mi charakterem, zawziętością, był życiowym cwaniakiem, trzymał fason i też miał świadomość, że dorośli nie interesowali się w tamtych czasach młodzieżą. Zakochałem się w nim chyba wówczas, kiedy przeczytałem, że tak jak ja powtarzał klasę w szkole – on szóstą, ja piątą. Ja też od nauczycieli słyszałem niemal te same słowa, które słyszał on: „Siadaj, bałwanie. Jak nie

wiesz, to się nie wygłupiaj”. Takie metody nauczania skutecznie podcinały skrzydła. Utożsamiałem się z nim, kiedy czytałem o libacjach i bijatykach, jakie odchodziły w jego kamienicy. Byłem świadkiem podobnych patologicznych zjawisk w moim otoczeniu, stanowiły dla mnie codzienność. Chyba jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie książka *Pięć lat kacetu*, w której Grzesiuk opisywał swoje doświadczenia z codziennego życia w obozie koncentracyjnym i pracy w kamieniołomie, i mimo że porównanie z moim więziennym życiem nie było w żadnej mierze adekwatne, cieszyłem się jak dziecko, kiedy czytałem, jak oszukiwał Niemców, udając, że pracuje, a tak naprawdę walczył o przeżycie. Robił to również z humorem i można powiedzieć, że brałem z niego przykład, szczególnie w kontaktach z klawiszami, kiedy każdego ranka otwierali ciężkie metalowe drzwi izolatki. O siódmej rano słychać było wkładanie wielkiego klucza w zamek od drzwi. Raz, dwa – mocne przekręcenie klucza, dwa charakterystyczne odgłosy. Chwilę później długie skrzypienie krat. Stałem na baczność przed drzwiami celi, do której wpadał strumień sztucznego światła z korytarza.

– Panie oddziałowy! Cella numer dwieście dwadzieścia dwa, tymczasowo aresztowany Jerzy Górski melduje swoją obecność! – powiedziałem głośno, niemal krzyżąc jak na wojskowym apelu, tylko po to, aby strażnik zobaczył, że kolejny dzień w celi na twardym łożu nie zrobił na mnie żadnego wrażenia.

W izolatce nie miałem z kim rozmawiać i nawet kilka zdań zamienionych z klawiszem dawało mi niezwykłą satysfakcję. Prowokowałem go do tego.

– Dobrze się spało, Górski? – zapytał cynicznym głosem klawisz.

– Zajebiście się wyspałem, panie oddziałowy! – znowu krzyknąłem, grając twardziela.

W ogóle się nie wysypiałem, ale nie zamierzałem im dawać satysfakcji.

– Ale dupa boli, co? – dopytywał.

– Ni chuja, panie oddziałowy! Nie boli! – odpowiadałem krótko, z uśmiechem.

– Pierdolisz. Wiem, że boli.

– To ty pierdolisz. Nie bądź taki... „ura bura ciotka Zielińska” – kończyłem rozmowę swoim dziwnym powiedzeniem, którego genezy i znaczenia za nic nie mogę sobie przypomnieć.

Po takiej odzywce mogłem być pewny, że dostanę za swoje. Albo przedłużali mi o jeden dzień twarde łoże, albo na spacerniku musiałem mieć oczy szeroko otwarte. Pewnego dnia strażnik, któremu powiedziałem, że pierdoli i że jest „ura bura ciotka Zielińska”, wyszedł razem ze mną na spacernik. Kiedy odsiadywałem karę w izolatce, na spacer mogłem wyjść tylko sam. Żadnego więźnia, żadnego świadka. Tylko umówieni strażnicy na wieżyczkach, którzy z chęcią patrzyli na to, co się za chwilę stanie. „Ura bura...” stał przy kratkach, przy wejściu na spacernik. Mierzył mnie wzrokiem i czekał. Po kilku okrążeniach, kiedy po raz kolejny mijałem go przy wejściu, złapał mnie za rękę, rzucił na kraty, docisnął nogą i zaczął okładać pięściami. Przerwał tylko dlatego, że wydzierałem się wniebogłosy:

– Ratunku! Morderca! Mordują mnie!

Krótką lekcją pokory odebrana od strażnika spowodowała, że do bólu od twardego łoża doszedł jeszcze ból od uderzeń w nerki. Nie wiem, który był bardziej dokuczliwy. A bolało bardzo, mimo że po kilku dniach organizm przyzwyczajał się do spania na twardym. Robiłem, co mogłem, aby choć trochę złagodzić skutki leżenia na kawałku deski. Miałem jeden cieniutki koc, którym nie tylko się okrywałem, ale też którego połowa służyła mi za prześcieradło. Drugą częścią starałem się przykryć, ale zawsze jej brakowało. Kiedy tylko bardziej podciągałem koc, uciekał spod ciała i znowu leżałem na gołej desce. Myli się ten, kto sądzi, że mimo zamknięcia w izolatce nie miałem towaru. Opracowaliśmy kilka patentów na zdobywanie papierosów.

Podstawowym była solidarność grypsujących. Ten z nas, który wylądował na twardym łożu, wiedział, jak bardzo pobyt w tamtym miejscu dawał w kość. Doskonale zdawaliśmy sobie sprawę z tego, co przeżywa osadzony, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę zamknięty jest w małym pomieszczeniu, gdzie tylko wieczorem może położyć się na czymś, co przypomina łóżko, a w rzeczywistości jest kawałkiem gołego drewna. Jeżeli tylko dotarła do mnie wiadomość, że któryś z moich grypsujących kumpli trafił do izolatki, podawałem im papierosy przez zaufanych kalifaktorów. Miałem pewność, że odwdzięczą się tym samym. Kiedy rano funkcyjni więźniowie przynosili nam jedzenie lub ubrania, szeptałem: „Fajki”. Zdawali sobie sprawę, co to oznacza. Nic nie musiałem tłumaczyć. Jakieś dwa, trzy dni później odnajdywałem w butach, które odbierałem, nie tylko kilka petów, z których skręcałem jednego papierosa, ale również draskę i kilka zapalek. Chowałem je później za kibelem lub upychałem w najmniejszych szczelinach, jakie tylko znalazłem. Innym, bardziej zauważalnym sposobem, który wzbudzał czujność strażników, były okrzyki skierowane tak naprawdę do bliżej nieokreślonej osoby, z nadzieją, że ktoś usłyszy wołanie. Nauczyłem się tego od chłopaka o ksywie Hiszpan, recydywisty z Legnicy, którego słyszałem czasami z izolatki:

– Ziomek! Kopsnij szluga!

Po tym okrzyku wiedziałem, że Hiszpan jest na twardym łożu. Robiłem wszystko, żeby przemycić mu papierosa. Niepisana solidarność grypsujących. Ta metoda miała jednak jeszcze jeden minus. Jeżeli tylko klawisze zlokalizowali źródło dźwięku, dostawali białej gorączki. Musiałem liczyć się z dodatkową karą – kolejnymi dniami na twardym łożu.

Żeby izolatka mnie nie złamała, opracowałem własny system, grafik dnia, którego restrykcyjnie przestrzegałem. Po przebudzeniu leżałem jeszcze chwilę z otwartymi oczami, wpatrywałem się w sufit i nasłuchiwałem, co dzieje się na korytarzu. Kiedy tylko usłyszałem odgłos butów uderzających o metalowe schody, liczyłem kroki, żeby odgadnąć, kto i gdzie idzie. Nie miałem zegarka, więc z fragmentów zdań, jakie docierały zza drzwi, próbowałem ustalić, ile zostało do porannego śniadania i apelu. Byłem jak niewidomy, którego zmysł słuchu wyostrzył się po utracie wzroku. Po kilku minutach czuwania wstawałem i ćwiczyłem, robiłem pompki i przysiady, później myłem się w umywalce i czekałem na klawiszy oraz kalifaktorów. Kiedy znów zamykali za sobą drzwi, jadłem śniadanie i zabierałem się do czytania lub słuchania odgłosów więzienia. Z dźwięków dochodzących zza drzwi i okna malowałem w myślach obrazy tego, co się właśnie dzieje, odtwarzałem sytuacje, które mogły się rozgrywać na oddziale. Ciężkie uderzenia wojskowych butów o schody – klawisze. Wchodzą na pierwsze piętro. Otwierają się drzwi kilku cel – kalifaktorzy. Wychodzą. Chyba ktoś krzyknął coś o jedzeniu. W takim razie musi być godzina dwunasta, zaraz będą roznosić żarcie. Wcześniej jeszcze godzina na spacerniaku. A po obiedzie przychodził jeden z najtrudniejszych momentów, bo głowa, z której odpływała krew do żołądka, aby pomóc w trawieniu, wołała o sen. Ale jak tu się przespać, kiedy nie można rozłożyć twardego łoża? Wolno się było na nim położyć dopiero wieczorem, więc czasami musiałem leżakować na podłodze lub walczyć ze znużeniem, chodząc w kółko po celi. Czasami próbowałem przechytrzyć klawiszy i opuścić dechę, ale co jakiś czas podchodzili do drzwi i przez wizjer sprawdzali, co robię. Musiałem się pilnować, bo za niesubordynację mogłem dostać jeden dzień dłużej na twardym łożu. Godzinami chodziłem w tę i z powrotem, pokonując kilometry, na które składały się trzymetrowe odcinki. Najgorsze były jednak noce. Twardo jak chuj. Nie do wytrzymania. Zwłaszcza zimą, kiedy spałem pod cienkim kocem, w samych kalesonach i koszuli. Kiedy wreszcie przyszedł dzień opuszczenia izolatki, miałem swoje święto. Prawdziwe święto skazańca, który przeżył dwa tygodnie na twardym łożu

i nie wymiękł. Chyba nigdy nie uśmiechałem się tak szeroko i szczęśliwie jak właśnie wtedy, kiedy idąc w obstawie więziennych strażników, z całym skromnym majdanem w rękach, odbierałem gratulacje od innych więźniów. Patrzyli na mnie tak, jakby oddawali honory, jakbym wracał z jakiejś ważnej bitwy, podczas której samodzielnie rozwalilem cały batalion wroga. Wkraczałem na salony. Moja prycza stawała się nagle łóżkiem wodnym, o metr dłuższa przestrzeń do chodzenia przeobrażała się w alejkę spacerową w parku, mimo że chodziliśmy po dwóch w cztero- lub sześciuosobowej celi, okratowana wnęka przypominająca okno była zajęta szerokim oknem balkonowym, a dźwięk z betoniary, czyli głośników więziennego radiowęzła, brzmiał jak muzyka z gramofonu. Zamieniałem tylko jedną celę na drugą, ale byłem tak szczęśliwy, jakby wpuścili mnie do hotelu pełnego atrakcji. Mogłem porozmawiać z kolegami, zagrać w szachy, posłuchać muzyki, wyglądać przez okno – cieszyłem się jak dziecko, mimo że patrzyłem przecież na drugie skrzydło więzienia z okratowanymi oknami. Zastanawiałem się, jak chujowo mają ci, którzy muszą siedzieć w tych celach. Po chwili zdawałem sobie sprawę, że to nie hotel, a ja tkwię w tym samym bagnie, co oni. Takie chwile nauczyły mnie cieszyć się w życiu z drobnych rzeczy, doceniać każdą chwilę, w każdym dostrzegać dobro, uśmiechać się nie tylko wtedy, kiedy dzieje się coś nadzwyczajnego, ale przede wszystkim wtedy, kiedy słyszę śpiew ptaków, biorę oddech świeżego powietrza w górach albo piję kawę na tarasie na tle wschodzącego słońca. Życie jest piękne, świat jest piękny – tak jak „kwadratowe niebo” widziane zza okratowanego, więziennego okna.

Kiedy przyszedł dzień rozprawy, skuli mnie w kajdanki, władowali do sukni i przetransportowali do sądu w Legnicy. Na ławie oskarżonych siedziałem z kolegami, z którymi w ciągu kilku lat włamywałem się do aptek w Głogowie, Legnicy, Lubiążu, Jaworze, Częstochowie, Nowej Soli, Lubinie... Nie jestem w stanie wymienić wszystkich. Proces dotyczył wielu włamań. Kiedy wszedłem na salę sądową, była pełna. W ławach dla publiczności siedziała moja matka. Była na każdej rozprawie. Zawsze zatroskana i przejęta. Kiedy posadzili mnie na ławie oskarżonych i zdjęli kajdanki, spojrzałem na nią, uśmiechnąłem się i uniosłem kciuk do góry, żeby dać jej znać, że będzie dobrze. Mimo że zdawałem sobie sprawę z tego, w jakiej sytuacji się znalazłem, zachowywałem się tak, jakbym był dumny z siebie, jakbym chciał się pochwalić tym, że siedzę na ławie oskarżonych i walczę z prokuratorem. Stawało się to dla mnie normalnością. W oczach kolegów byłem gigantem, który skuty idzie dumnie na rozprawę. To robiło na nich wrażenie, a ja czułem akceptację i podziw. Udawałem luzaka.

– Proszę wstać, sąd idzie! – usłyszałem.

Po odczytaniu aktu oskarżenia zaczęły się pytania prokuratora, sędziego i obrońcy. Nie przyznałem się do zarzucanych mi czynów, ale też nie wierzyłem, że adwokat z urzędu zdoła mnie obronić.

Tylko do pierwszej sprawy miałem dobrego prawnika, którego załatwił mi ojciec. To był jedyny raz, kiedy mi pomógł. Postawił wtedy warunek, że mam się zacząć leczyć, wyjść na prostą i przestać zadawać się z półświatkiem. Podczas drugiej wpadki i aresztowania nie wytrzymał. Nie tylko nie pomógł, ale kiedy siedziałem na Kleczkowskiej, wyprowadził się z domu. Zacząłem korzystać z adwokata z urzędu, który spotkał się ze mną może dwa razy przed rozprawą. Podczas przepytywania przed sądem mówił już tylko oczywistości w stylu: młody, niedojrzały emocjonalnie, trzeba dać mu szansę, kradł tylko dla zaspokojenia głodu

narkotykowego – nie dla pieniędzy. Bardzo często to wystarczało, ale nie tym razem.

– Wyrok w imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej – usłyszałem beznamiętny głos sędziego. – Sąd uznaje oskarżonego Jerzego Górskiego za winnego zarzucanych mu czynów i skazuje na dwa lata więzienia i tysiąc pięćset złotych grzywny.

Wyrok był ciosem dla matki. Przeżyła to bardzo mocno. Sama siedziała w latach pięćdziesiątych w więzieniu, które było o wiele bardziej restrykcyjne niż za moich czasów. Wówczas z większą zaciekłością tępono wrogów władzy ludowej, stosowano represje, a karcer, izolatka, konfiskata wypiski, listów i paczek była na porządku dziennym. Kiedy usłyszała wyrok, popłakała się. Na kolejne prawie dwa lata traciła syna. Jediną pozytywną rzeczą, jaka w tamtym czasie się wydarzyła, był fakt, że na poczet kary zaliczono mi miesiące spędzone w areszcie tymczasowym.

W połowie grudnia 1980 roku zwolniono mnie warunkowo i nałożono dwa podstawowe obowiązki: podjęcie i wykonywanie stałej pracy zarobkowej oraz powstrzymanie się od nadużywania alkoholu. Posłuchałem sądu. Ponieważ nic nie napisano o narkotykach pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem, był strzał z heroiny. Jak zwykle powiedziałem, że zrobię to po raz ostatni, na zakończenie wielkiego ćpania upodłę się jak świnia i zacznę żyć jak człowiek. W rzeczywistości znów uruchomiłem błędne koło, które kręciło się w rytm tylko dwóch słów: heroina i głód. Jak zwykle okazałem się słaby. Oszukiwałem sam siebie, że ten jeden raz niewiele znaczy w obliczu kilkunastu lat nieustannego zażywania narkotyków. Potem, kiedy słyszałem, jak niektórzy składali podobne deklaracje dotyczące odchudzania, rzucenia palenia lub ograniczenia słodyczy, uśmiechałem się w duchu. Mając tak potężny bagaż doświadczeń i zmagając się z uzależnieniem od heroiny, wiele bym dał, żeby zamienić je na uzależnienie na przykład od golonki. Rzucenie narkotyków wiele mnie kosztowało. Rezygnacja z kawałka mięsa nie byłaby żadnym problemem. Z czasem nauczyłem się, że za każdym razem, kiedy odzywa się zły wilk i namawia do zrobienia czegoś, co nie jest dobre dla mnie, muszę zadać sobie jedno proste pytanie: „Co zyskasz, ulegając pokusie, a co – odmawiając?”. To wystarcza. To jest twój wybór. Wódka, papieros czy inne świństwo nie może być silniejsze od ciebie. Ty nic nie musisz. Ty możesz. Ale wtedy musiałem, pogrążałem się z dnia na dzień. Karmiłem w sobie demona, który zawłaszczwał kolejne obszary mojego życia. Byłem żalonym, nieodpowiedzialnym dupkiem, który po prostu sobie nie radził. Odwiedzałem dyskoteki i realizowałem w praktyce sentencję Horacego *carpe diem*. Robiłem to tak skutecznie, jak tylko się dało.

Nadal produkowałem heroinę w kuchni nawet przy matce, która załamana losem swojej rodziny zaczęła sięgać po alkohol częściej niż zwykle. Kiedy ja mieszałem w emaliowanym garnku słomę makową, ona płakała, siedząc przy kielichu z koleżanką. Przestała mnie prosić o cokolwiek. Straciła wiarę, że mogę się zmienić, co było dowodem na wejście w kolejny etap staczania się na dno, kiedy nawet twoi najbliżsi nie dają ci szans na uratowanie.

Nie miałem pieniędzy i coraz częściej odchodziłem z kwitkiem od rolników, którzy nie chcieli dawać mi słomy na kredyt. Wiedzieli, że nie oddam. Musiałem znów włamywać się do aptek i nie wiem już, który raz znów trafiłem do aresztu.

NAD PRZEPAŚCIĄ (Legnica, Wrocław, 1981)

Obudziło mnie mocne stukanie do drzwi.

– Otwierać, Milicja Obywatelska – usłyszałem głośne żądanie.

Myślałem przez chwilę, że to sen, bo przecież w ostatnich tygodniach nie brałem udziału w żadnym włamaniu. Szczerze mówiąc, nie miałbym na to siły, byłem już tak wykończony przyjmowaniem heroiny, że jedyne, o czym wówczas myślałem, to rozpoczęcie leczenia. Pomyślałem, że po raz kolejny zwijają wszystkich z miasta, bo ktoś obrobił kolejną aptekę i trzeba znaleźć winnych. Kto, jeśli nie Górski? Przecież byłem już wtedy doświadczonym i znanym narkomanem w okolicy. Od kilku miesięcy jako pierwszy dowiadywałem się, że w Legnicy, Głogowie lub Lubiążu właśnie zrobiono włamanie do apteki. Informowała mnie o tym sama milicja, pukając rano do drzwi. Chcieli się dowiedzieć, czy w tym czasie brałem heroinę, czy może jednak uczestniczyłem w zbiorowym ładowaniu w żyłę morfiny, bo nie chciało się nam szykować kompotu, a jeśli tak, to który z moich kolegów odpowiada za włamanie. Niestety, ten scenariusz nie sprawdził się i tego dnia wylądowałem na dołku na dłużej, aby po kilku godzinach dostać zarzuty prokuratorskie i trafić do zakładu karnego na Świebodzkiej we Wrocławiu. Na nic się zdały zapewnienia, że tym razem to nie ja i że od kilku dni jestem w pijackim, a nie narkotykowym ciągu.

Mało jest chwil z dzieciństwa, które wspominam z nutą tęsknoty, mając w sercu pozytywne emocje. Na pewno jedną z nielicznych była gra w ping-ponga, kiedy wymykałem się do legnickiego klubu Legmet i spędzałem tam całe dnie, początkowo oddając się wyłącznie przyjemności grania. Grałem tak dużo, że kiedy zamykałem wieczorem oczy, widziałem pod powiekami białe tenisowe piłeczki poruszające się od prawej do lewej i od lewej do prawej. Dziwne uczucie, które zna chyba każdy, kto choć raz oddawał się bez reszty wyłącznie jednemu zajęciu przez wiele godzin, a później, zamykając oczy, widział przedmioty, których używał, na przykład spławik, w który godzinami się wpatrywał, czekając na ten jeden wyraźny sygnał brania. W 1981 roku, kiedy minął właśnie jedenasty rok mojego uzależnienia od narkotyków, widziałem pod zamkniętymi powiekami strzykawkę, zielone główki maku albo ampułki z morfiną. Nie pamiętam już, ile razy i gdzie włamywałem się, żeby ukraść narkotyk. Ale kilka miesięcy przed wprowadzeniem stanu wojennego, kiedy po raz kolejny trafiłem do aresztu, byłem ofiarą pomyłki. To nie ja obrobiłem aptekę, którą mi przypisano, a już na pewno nie ja powinienem za to zamieszkać w celi więzienia na Świebodzkiej. Swoją drogą piękne miejsce. Przynajmniej z zewnątrz. Zawsze kiedy na nie patrzyłem, krążąc po Wrocławiu, kojarzyło mi się z zamkiem. Zbudowane z czerwonej cegły, z wieżyczkami przypominającymi zamkowe wieże strzelnicze, budziło respekt. Dziś wiem o tym miejscu dużo więcej niż wtedy, ale w latach osiemdziesiątych nie interesowała mnie historia i fakt, że więzienie powstało w XIX wieku pod egidą państwa pruskiego. Interesowało mnie tylko zaspokajanie własnych potrzeb, najprostszych instynktów. Zaczynał się właśnie ostatni, trzyletni etap niechlubnej przygody z narkotykami, ale straciłem już ochotę popisywania się, jaki to ze mnie chojrak, kogo znam w przestępczym światku i ile morfiny mogę przyjąć za jednym strzałem. Przestało mnie to bawić. Byłem skrajnie

wyczerpany psychicznie i fizycznie. Szukałem możliwości wyjścia z nałogu, ale na początku 1981 roku nie miałem jeszcze na to pomysłu i wystarczającej determinacji.

Stan wojenny przeszedł obok mnie w podobny sposób jak mundial w Niemczech w 1974 roku czy konklawe w Watykanie w 1978. O tym, że Jaruzelski wyprowadził wojsko na ulice i skutecznie spacyfikował działaczy Solidarności, dowiedziałem się rano z więziennego radiowęzła, w którym puszczano Polskie Radio. Jak wszyscy usłyszałem propagandową śpiewkę generała o „ojczyźnie, która znalazła się nad przepaścią”. „Ja, kurwa, byłem nad przepaścią, ja osiągnąłem «granice wytrzymałości psychicznej»” – prowadziłem wewnętrzny dialog po tym, co usłyszałem w radiu. Podziwiałem ludzi Solidarności i gdybym mógł, przyłączyłbym się do każdego strajku przeciwko komunistycznej władzy. Ale wtedy, jako dwudziestosześcioletni narkoman, byłem obok życia społecznego, kulturalnego i politycznego. Ustawiłem się na bocznym torze historii, a wszystko, co wiedziałem na temat sytuacji politycznej w kraju w tamtym czasie, ograniczało się do informacji usłyszanych przypadkowo w radiu lub telewizji albo wiadomościach wlewanych mi do głowy przez więzienny radiowęzeł, tak jak podczas pierwszego dnia stanu wojennego, kiedy usłyszałem słynną odezwę „Obywatelki i Obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...”. Przestraszyłem się, kiedy starszy, ponad sześćdziesięcioletni facet, który siedział razem ze mną w tej samej celi, zaczął płakać, mówiąc, że z tego może być wojna. Przeżył dwie, pamiętał jedną i straszył nas, że za chwilę wszyscy poginiemy, bo wcielą nas do wojska i pójdziemy na front jako mięso armatnie. Nie pamiętam imienia tego człowieka, ale budził w nas respekt nie tylko ze względu na wiek. Był doliniarzem wykształconym w lwowskiej szkole złodziei kieszonkowych. Nie było lepszej. To była elita w swoim fachu. Potrafili cię okraść, rozmawiając z tobą i patrząc ci w oczy, a ty nawet nie czułeś, kiedy traciłeś wszystkie pieniądze, jakie pochowałeś po kieszeniach. Działali bardzo sprawnie, przeważenie w parach. Kiedy jeden zagadywał ofiarę albo robił sztuczny tłok w tramwaju, drugi sprawnie pustoszył kieszenie marynarki lub płaszcz ofiary. Po II wojnie światowej, w wyniku nowego podziału granic i przesiedleń, wielu doliniarzy trafiło na zachodnie ziemie wcielone do Polski i tak we wrocławskim więzieniu poznałem lwowskiego kieszonkowca, ucznia akademii Moryca Szajbego – legendarnego wykładowcy lwowskiej szkoły złodziejskiej. Ale ja mogłem mu dorównać mistrzostwem w innej profesji – grypsowaniu oraz oszukiwaniu więziennych strażników i lekarzy. Na wszelkie możliwe sposoby zacząłem walczyć o szpital na wolności, gdzie chciałem zacząć detoks. Chyba pierwszy raz w życiu tak bardzo pragnąłem, żeby ktokolwiek pomógł mi się leczyć. Wiedziałem, że nie uda się to w więziennym szpitalu. Przez lata więźniowie próbowali setek sposobów, które dawały przepustkę za mury więzienia, ale wiele z nich było już dobrze rozpracowanych przez klawiszy i personel medyczny. Mimo to szykowałem sobie grunt pod wyjście z więzienia. Pisałem listy do prokuratora, któremu tłumaczyłem, jak wiele złego narobiłem w życiu, jak słusznie zamykano mnie w celi za włamanie do aptek, ale że tym razem byłem i chciałem pozostać czysty. Niestety, nikt mi nie wierzył.

Pewnego dnia postanowiłem zdobyć coś, co miało mi ułatwić wyjście z celi na szpitalną salę poza murami. Od opłaconych herbatą i papierosami kalifaktorów dostałem metalowy pręt o długości kilku centymetrów. Czasami do fortelu, który miałem zamiar przeprowadzić, stosowano też uchwyt widelca, odłamując jego zęby. Do jednego z końców pręta przywiązałem długą nitkę, a całość grubo okleiłem chlebem. Miało to uchronić przed poraniem miękkie i delikatne ściany przełyku oraz żołądka, do którego za chwilę chciałem wprowadzić przedmiot. Otworzyłem szeroko usta i delikatnie zacząłem wkładać pręt do gardła, aż poczułem, że znajduje

się nisko w przełyku. Powstrzymując odruch wymiotny, połknąłem metalowy pręt oklejony chlebem. Nitkę umieściłem między zębami trzonowymi, a jej końcówkę schowałem pod językiem. Jeszcze tego samego dnia zacząłem się skarżyć na potworne bóle żołądka i zmusiłem tym samym klawiszy do odesłania mnie na badania. Kiedy przyszedłem do gabinetu, lekarz kazał mi się rozebrać i położyć na kozetce. Palpacyjne badania zaniepokoiły go na tyle, że wysłał mnie na prześwietlenie, ale zdjęcie nie pokazało jednoznacznie, że jakiś obcy przedmiot znajduje się w żołądku. Lekarz przez chwilę patrzył na mnie podejrzliwie i wprost zapytał:

– Połyk zrobiłeś?

Przestraszyłem się, bo to świadczyło o tym, że wielu takich jak ja odwiedzało jego gabinet z podobnym „problemem”.

– Nie jestem samobójcą, panie doktorze – odpowiedziałem, trzymając się za brzuch i udając, że boli mnie jeszcze bardziej.

Miałem nadzieję, że wyśle mnie na jakieś kompleksowe badania poza mury więzienia, ale on ku mojemu rozczarowaniu stwierdził, że poczekamy w takim razie dzień lub dwa na rozwój wypadków.

– Może to zwykłe zatrucie – dodał.

Gdyby podczas badania kazał mi otworzyć usta, zobaczyłby, w jak idiotyczny i niebezpieczny sposób chciałem ich oszukać. Wróciłem do celi i natychmiast powolnym ruchem za pomocą nitki wyciągnąłem kilkucentymetrowy pręt z żołądka.

– Pierwsza próba oszukania systemu poszła się jebać – powiedziałem po powrocie do celi do współwięźniów, którzy zaczęli przedstawiać mi w odpowiedzi wachlarz innych, równie idiotycznych i i zagrażających życiu pomysłów.

Miałem dość. Wszystkiego. Miałem dość narkotyków, dość więzienia, obracania się w świecie narkomanów i przestępców. Miałem dość życia. Nieudane próby wyjścia na leczenie i poczucie niesprawiedliwości spowodowały, że postanowiłem z tym skończyć raz na zawsze i odebrać sobie życie. Przez wiele tygodni w uszach dźwięczały mi słowa, które wypowiedziałem podczas badania lekarskiego – „nie jestem samobójcą”, ale za chwilę miałem zadać temu kłam. Godzinami rozmyślałem, jak najłatwiej to zrobić, ale w celi był na to tylko jeden sposób – wieszanie. Myśląc o tym, spoglądałem w kierunku kibla, który był jedynym miejscem, gdzie można było podjąć taką próbę. Pewnej nocy, kiedy wszyscy już zasnęli, usiadłem na swojej pryczy, zdjąłem prześcieradło i porwałem je pod kocem, aby stłumić dźwięk rozrywanego materiału. Poskręcałem kawałki w jeden mocny sznur, robiąc na końcu pętlę. Nie pamiętam, o czym myślałem, działałem mechanicznie. Upewniłem się, że wszyscy śpią głębokim snem, wstałem z pryczy i podszedłem do kibla. Przywiązałem sznur zrobiony z prześcieradła do krat nad toaletą, po czym stanąłem na niej obiema nogami. Chyba tylko przez ułamek sekundy zastanawiałem się nad tym, co się za chwilę stanie. Spojrzałem przed siebie, założyłem pętlę na szyję i opuściłem ręce wzdłuż ciała. Dopiero kiedy zsunąłem lewą nogę z kibla, uzmysłowiłem sobie, co robię. Odbieram sobie życie, jak jakiś tchórz. Ale na jakiegokolwiek refleksje było już za późno. Natychmiast za lewą nogą, która gwałtownie spadła w dół, poszła prawa. Straciłem równowagę. W tym momencie poczułem mocne szarpnięcie i zaciskającą się na szyi pętlę. To był moment, w którym zobaczyłem to, o czym mówią ci, którzy cudem uniknęli śmierci – film z życia przeleciał mi przed oczyma. Były to raczej pojedyncze sceny z dzieciństwa, dorastania i brania narkotyków niż jakiś jeden, spójny obraz. Przez chwilę poczułem chęć cofnięcia czasu. Zacząłem żałować tego, co właśnie zrobiłem, ale było już za późno. Dostałem drgawek i zacząłem rozpaczliwie machać rękoma w poszukiwaniu oparcia. Straciłem półkę z przyborami

do mycia, a potworny hałas, jaki zrobiły spadające przedmioty, obudził moich współwięźniów. Dwóch z nich natychmiast rzuciło się na pomoc. Jeden złapał mnie za nogi, drugi zaczął odwiązywać sznur i wołać strażników.

Byłem pewien, że po próbie samobójczej wyląduję za murami więzienia w jakimś szpitalu, może psychiatryku. Niestety, nie wypuścili mnie. Przenieśli na inne piętro, do innej celi, zaostając rygor i kontrolę. „Rygor i kontrola, lekarze w białych kitlach, strażnicy i milicja... Tym mnie nie wyleczycie” – mówiłem do siebie. Poczucie wyobcowania i bezsensu potęgował coraz bardziej widoczny społeczny ostracyzm. Bano się narkomanów. Odczuwałem to na każdym kroku. Kiedy szedłem ulicą, ludzie uciekali na drugą stronę, wołali swoje dzieci do domu, a czasami rzucali w moją stronę wulgarne okrzyki. „Najlepiej was, kurwa, wystrzelać, skurwysyny! Spierdalać stąd” – krzyczeli. O narkomanach i ich stanie zdrowia krążyły legendy.

Więzienie na początku lat osiemdziesiątych było najczarniejszym okresem mojego życia. Jeżeli miałbym doszukiwać się jakiejś pozytywnej rzeczy, która w tym czasie się wydarzyła, to z pewnością wskazałbym audycję radiową, którą usłyszałem w celi. Przez radiowęzeł puszczano nam często programy Polskiego Radia. Dzięki temu właśnie dowiedziałem się o kimś, kto nie tylko rozumiał narkomanów, ale zaczął im pomagać.

RADIOWĘZEL

(Zakład karny, Wrocław, 1981–1983)

Trzeba w coś wierzyć, jeżeli nie mogę wierzyć w siebie, dlaczego nie w Monar. Nic nie mam do stracenia, a jest nadzieja, że będę żyć.

*Ty zaraziłeś ich narkomanią,
Marek Kotański*

Leżałem na pryczy. Kurewsko się nudziłem. Nikt nie miał ochoty po raz kolejny przegrywać ze mną w szachy, a ja nie miałem innego pomysłu, jak spędzić kolejne godziny na kilkunastu metrach kwadratowych. Włączyli radiowęzeł. Znowu Polskie Radio. Tym razem Dwójka, ale częściej puszczała Jedynekę. „Pieprzona, komunistyczna propaganda” – pomyślałem. Nagle spiker zapowiedział reportaż poświęcony problemowi narkomanii w Polsce. Uśmiechnąłem się, kiedy usłyszałem tytuł: *Jak makiem posiał* ³. „Mają, kurwa, poczucie humoru” – pomyślałem. Po raz pierwszy usłyszałem wtedy głos człowieka, który za kilka lat miał całkowicie odmienić moje życie. Marek Kotański spokojnie oznajmiał mieszkańcom Monaru w Głogowie, jaka czeka ich przyszłość:

– Mamy dobrą wiadomość, bo po trzech latach istnienia nasz ośrodek w Głogowie przechodzi w nasze ręce, na stałe. Od tego momentu to, co wyprodukujemy, będzie nasze, dotacje państwowe będą minimalne, albo nie będzie ich wcale. Będzie to ośrodek na własnym rozrachunku. Będziemy tworzyć społeczność. O ile do dziś mogliśmy się pobawić na zasadzie: „czy się stoi, czy się leży, to się łóżko mi należy”, to od teraz tak nie będzie. W tej chwili ośrodek musi grupować ludzi, którzy naprawdę chcą się leczyć. Skończyło się sanatorium, skończyło się wariatkowo, zaczyna się następny etap w naszej pracy – chłodno, głodno, ale własno. Jeżeli ktoś się chce z tej imprezy wypisać, niech zrobi to dzisiaj.

Słuchałem tego z zazdrością, ale również z niedowierzaniem, że jest jakiś facet, który proponuje narkomanom wspólne mieszkanie, pracę i wychodzenie z nałogu. „Po co mu to?” – myślałem i słuchałem, co wydarzy się dalej. Kotański zaczął rozmawiać z mieszkańcami domu:

– A teraz każdy niech się wypowie. Tylko zaznaczam, że jeżeli ktoś się powtórzy, mówiąc, że myśli tak jak poprzednik, to niech nie liczy na nic.

– Ale mam powiedzieć, jak ja się czuję? – dopytywał jeden z narkomanów, który miał tyle do powiedzenia, że od razu nazwałem go Dyskutantem.

– Nie, bracie, masz powiedzieć, co w związku z tym zrobisz, jak widzisz swoją rolę – odparł Kotański.

– Żebym powiedział, jak widzę swoją rolę, to musi mi pan powiedzieć coś więcej. Bo to, że mamy autonomię, to za mało. Co z jedzeniem? Będziemy je sobie kradli?

– Nie kradli, tylko robili – uciął szybko Kotański.

– Ja najbardziej to bym chciał się wyleczyć.

– Cały czas do tego dążymy. A ty, chciałbyś mieć święty spokój? – dopytywał Kotański, sugerując, że Dyskutant chciałby leżeć do góry brzuchem i nic nie robić.

– Nie święty spokój...
– A co umiesz? – przerwał Kotański.
– Dużo umiem. Budować...
– I budujesz.
– Uczę się poza tym w swoim zawodzie.
– Do końca listopada ma stanąć stolarnia i to tam będziemy produkować... – chciał kontynuować Kotan, ale nagle w sali rozległ się śmiech.

Najgłośniej, z lekkim cynizmem w głosie śmiał się Dyskutant, który po chwili dodał:

– Zgodzę się, ale z czego mamy budować?
– Z naszych pustaków, z naszej cegły i z naszego cementu.
– A wapno? – padło pytanie i w tym momencie wyraźnie zde gustowany i lekko zrezygnowany Marek Kotański uciął rozmowę.

– Dobra, następny.

Odezwał się kolejny pacjent Monaru, którego nazwałem Niepewnym.

– No jest mi naprawdę coś trudno teraz powiedzieć, bo...
– Bo wzruszenie ściska ci gardło? – przerwał Kotan, wyraźnie już poirytowany faktem, że zamiast euforii z powodu przejścia ośrodka na niezależną od państwa działalność słyszy wątpliwości i narzekania.

Z czasem zrozumiałem, co miał na myśli. Mnie też szlag trafia, kiedy rzucam pomysłem, nawet najbardziej szalonym, z pozoru nierealnym, i na dzień dobry słyszę sceptycyzm, że się nie da, zanim zostanie podjęta jakakolwiek próba zrealizowania wyzwania.

Nagle odezwała się jakaś dziewczyna, utwierdzając mnie w przekonaniu, że Kotan powinien już zareagować bardziej stanowczo.

– A obiady będą nam kucharki gotować czy sami?

„Ja pierdolę...” – pomyślałem. „Może jeszcze do łóżka ci to wszystko przynosić?” – irytowałem się już razem z Kotańskim.

– Jeżeli będzie nas stać na opłacenie kucharek, będą kucharki. Jeżeli nie...

– Sami będziemy gotować – przerwał młody chłopak.

Dziewczyna należała do tych, które zawsze widzą szklankę do połowy pustą.

– No jak sami? Panie Marku, przecież to jest niemożliwe.

– Wszystko jest możliwe! – krzyknął Kotański. – Każdy człowiek może zrobić wszystko. Tylko musi chcieć to robić. I jeżeli nie będzie chciał, to będzie musiał odejść. I przyjdzie następny – zakończył.

Marka słyszałem potem w więzieniu jeszcze ze dwa razy. Mówił o wolności, braku lekarzy w białych kitlach i o tym, że w Monarze leczą się sami.

– Jak to możliwe? Co ten chuj pierdoli? I co on wie o wolności? – komentowałem na głos w celi.

Jak zwykle stawałem okoniem do wszystkiego, aby zdobyć w ten sposób uznanie i szacunek więźniów. Kontestowałem co tylko się dało, więc nie widziałem powodu, żeby w towarzystwie współwięźniów nie pokazać, że ja wiem lepiej. W głębi serca zapragnąłem znaleźć się tam, gdzie tworzono nowy ośrodek – w Sokolnikach. Kotański mówił o nim w jednej z kolejnych audycji i przekonywał, że to społeczność leczy, a lekarzami jesteśmy my. Każdy z osobna jest terapeutą dla siebie i dla innych.

Punktualnie o godzinie dwudziestej drugiej zgasło światło. Zapadła cisza. Leżałem, wpatrując się w sufit. Nie mogłem zasnąć. Audycja, w której Marek Kotański opowiadał o tym, że nie ma lekarzy w białych kitlach, bardzo mnie poruszyła. Obudziła nadzieję, że może nie wszystko jeszcze stracone. „Może uda się wyjść z tego gówna, ale za wszelką cenę muszę trafić do Monaru” – myślałem. W tamtych czasach było już kilka ośrodków leczenia uzależnienia Monar: w Głoskowie, Zacherlanach i Sokolnikach. Kotański roztoczył przede mną wizję świata bez narkotyków i wolności. Wiedziałem już, że tylko Monar mógł mnie uratować.

To właśnie tej nocy zdecydowałem, że nadszedł czas kolejnej próby wyjścia poza mury więzienia. Tym razem chciałem się podjąć najbardziej szalonej i absolutnie irracjonalnej metody oszukania lekarzy. Postanowiłem sfingować nowotwór. Po więzieniu krążyło mnóstwo historii, które nie miały nic wspólnego z prawdą, mogły zabić, a nie uratować życie, tak jak historia, którą opowiedział mi Broda. Nie pamiętam już, za co siedział, kim był i dlaczego uwierzyłem w jego bajkę, ale chyba chęć opuszczenia więziennej celi i rozpoczęcia leczenia u Kotana odebrała mi trzeźwość myślenia. Jak to brzmi – trzeźwość myślenia! Nałogowy alkoholik i narkoman miałby trzeźwo myśleć? W to, do czego namawiał mnie Broda, uwierzyłem natychmiast.

– Wiesz, kumpel mi mówił, że jak zobaczą na prześwietleniu czarną plamę na płucach, to wtedy się nie pierdolą! Od razu zabierają na oddział za murami. Myślą, że masz raka, i tyle.

– Czarną plamę? – pytałem, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. – A jak ja mam sobie, kurwa, na płucach zrobić czarną plamę?

– Normalnie – odpowiedział Broda, patrząc z cynicznym uśmiechem prosto w moje oczy, pełne niepewności i konsternacji. – Bierzesz strzykawkę, rozpuszczasz czekoladkę i jeb w płuca. Kumpel mi mówił, że działa. Podobno siedział w celi z jednym takim, którego po tym wypuścili.

W tę nedorzeczną historyjkę uwierzyłem jak naiwne dziecko, które dla cukierka jest w stanie zrobić wszystko. Jak w głowie dorosłego człowieka mogła uwiarygodnić się tak absurdalna opowiadka jakiegoś recydywisty? Nawet nie zadałem sobie trudu, aby w jakikolwiek sposób zweryfikować prawdziwość tego więziennego przepisu na wolność, nie mówiąc już o tym, że do głowy mi nie przyszło spytać, dlaczego Broda siedzi jeszcze ze mną w celi, skoro wszedł w posiadanie wiedzy skracającej odsiadkę. Narkotyki drenują mózg do tego stopnia, że człowiek jest w stanie uwierzyć w każdy idiotyzm i zrobić najgłupszą rzecz na świecie.

Leczenie tak skomplikowanych chorób jak nowotwór płuc było możliwe wyłącznie poza murami więzienia. Bezkrytycznie zaakceptowałem taką receptę na wolność i znów uruchomiłem przemytniczą maszynę. Kilka tygodni później miałem w celi wszystko do upozorowania ciężkiej choroby. Na jednym z widzeń z matką poprosiłem ją o przemycenie dodatkowych pieniędzy poza tymi, którymi zasilala moje comiesięczne konto w więzieniu na tak zwaną wypiskę. Opracowaliśmy metodę, która przez wiele lat doskonale się sprawdzała. Na widzenia rodzina mogła przynieść paczkę z jedzeniem, która przed dostarczeniem więźniowi była oczywiście skrupulatnie sprawdzana. Strażników oszukiwaliśmy w dość sprytny sposób. Matka najpierw składała banknoty w kostkę wielkości połowy paznokcia, zawijała je w celofan, a następnie wkładała głęboko w woreczek ze smalcem ze skwarkami. Zawsze musiało być dużo grubych skwarków. To pozwalało zakamufłować przemycany towar. Kiedy strażnicy macali woreczek i natrafiali na zgrubienia, byli przekonani, że są to wyłącznie kawałki słoniny. To, co wydawało się nie do przemycenia, czyli strzykawkę, igłę i zapalniczkę, jak zwykle przynieśli mi do celi opłaceni strażnicy. Sądziли, że chcę załadować w żyłę i pewnie liczyli, że któregoś dnia zrobię to na maksa, kończąc przygodę z ćpaniem i życiem za pomocą złotego strzału. Zwolniłaby się

prycza w celi, a oni mieliby jednego ćpuna mniej. Czekoladę kupiłem za przemycone pieniądze. Rozpakowałem ją i połamalem na małe kostki. Jedną z nich położyłem na aluminiowej łyżce i podałem Brodzie.

– Trzymaj. Tylko nie upuść! Jak będzie parzyć, to mów – poprosiłem go, zanim zapaliłem zapalniczkę.

Zacząłem podgrzewać czekoladę, która bardzo szybko przemieniła się w lepki maź. Nie mogłem długo czekać. Wystarczy chwila bez ognia i czekolada znów staje się twarda. Kiedy Broda zaczął przekładać rozgrzaną łyżeczkę z ręki do ręki, rozcierając oparzone palce, szybko chwyciłem za strzykawkę i jednym pociągnięciem nabrałem czekoladę do pojemnika z podziałką. Błyskawicznym ruchem wbiłem igłę pod żebra, dociskając jednocześnie tłok. Poczulem przeszywający ból i rozlewającą się w ciele gorącą czekoladę. W jednej chwili zacząłem się dusić. Ból był nie do zniesienia. Poczulem się tak, jakby ktoś powoli wlewał mi gorącą smołę do wnętrza organizmu. Dusilem się, nie mogąc nabrać nawet płytkiego oddechu. Upadłem. Chwyciłem się za klatkę piersiową, po chwili zacząłem machać rękoma, jakbym chciał nagarnąć powietrza do ust, próbowałem coś krzyknąć, ale powoli traciłem świadomość. Jak przez mgłę widziałem Brodę, który przerażony zaczął biegać po celi, walił w drzwi i wołał strażników.

– Więzień się dusi! Pomocy! Kurwa, pomocy! Więzień się dusi! – krzyczał Broda.

Odgłos wołania o pomoc i uderzeń butów o metalowe schody więzienia słyshałem jakby z oddali, przytłumiony. Zacząłem tracić przytomność. Przed oczyma ktoś przewijał mi film z życia. Ktoś cofał taśmę, a ja widziałem wszystkie okropności, które doprowadziły mnie do tego miejsca. Słyshałem nakładające się na siebie słowa, z którymi kojarzyło się tylko zło: dolargan, kodeina, morfina, kokaina, heroina, wódka, papierosy, szpital psychiatryczny, wieszanie się, podcinanie żył, okradanie aptek, więzienie, milicyjny areszt, przypadkowy seks, ból, kłamstwa, przemoc, dzieciństwo, rodzina, pustka...

Znowu umierałem, z tą różnicą, że teraz żaden ze współwięźniów nie mógł mnie uratować, tak jak stało się to podczas próby samobójczej. Po kilku minutach do celi przybiegli strażnicy. W tym czasie moi kumple zdążyli sprzątnąć cały bałagan i zalegające na podłodze strzykawkę, łyżkę i czekoladę. Zdezorientowani klawisze nie wiedzieli, co się dzieje i co jest przyczyną mojego duszenia się. Trzymałem się za żebra i nie mogłem nabrać oddechu. Byłem potwornie wystraszony tym, co się działo. Nie chciałem odbierać sobie życia, a wszystko wskazywało na to, że za chwilę się uduszę. Nie pamiętam już, w jaki sposób lekarz zaczął mnie ratować. Kiedy po kilku godzinach doszedłem do siebie, błagałem, żeby wysłał mnie do szpitala na badania. Nie sądziłem, że tak szybko się na to zgodzi, ale po kilku godzinach zrozumiałem dlaczego.

Kiedy wysiadłem z więźniarki, zobaczyłem mury więzienia i obleciał mnie zimny pot. Poznałem je natychmiast. Zakład karny na Kleczkowskiej – tylko tu mieli więzienny szpital, w którym mogli mnie leczyć, nie wypuszczając na wolność. Przewieźli mnie z więzienia do więzienia. Byłem załamany.

Po tej nieudanej próbie oszukania lekarzy spędziłem kilka tygodni w więziennym szpitalu z rozpoznaniem wysiękowego zapalenia płuc. Leżałem na szpitalnym łóżku, wpatrywałem się w sufit i liczyłem już tylko na to, że mam na tyle bogatą kartotekę różnych przypadłości, że w końcu kiedyś zdecydują się odesłać mnie do normalnego szpitala.

Wypuszczono mnie w 1983 roku. Przekroczyłem mury więzienia, spojrzałem na bramę i zastanawiałem się, kiedy znowu tam wrócę. Okazało się, że nigdy więcej nie trafiłem już ani do aresztu, ani do więziennej celi. Nie znaczy to jednak, że przez kolejne dwa lata nie dawałem ku temu pretekstów i że moje życie zaczęło zmieniać się na lepsze.

DETOKS

(Legnica, 1983–1984)

Po wyjściu z więzienia pierwszy raz od wielu lat posłuchałem matki. Wziąłem sobie poważnie do serca słowa, które powtarzała za każdym razem, kiedy widziała mnie w narkotycznym głodzie: „Lepiej pić, Jureczku, lepiej pić”. Chlałem na umór. Tak jak wcześniej wiecznie widziano mnie z papierosem, tak teraz doszła do tego jeszcze butelka wódki. Piłem w tamtym czasie tyle, że gdybym pozyskiwał alkohol z legalnego źródła, zawyżałbym i tak przerażające statystyki. Potrafiłem wypić duszkiem pół litra, co zwykłego śmiertelnika mogłoby zabić. Pokaz odporności na alkohol był moją ulubioną formą popisywania się. Na imprezie, na której chciałem zabłysnąć w towarzystwie w niekonwencjonalny sposób, odkręcałem butelkę wódki i na stojąco opróżniałem ją do dna w ciągu minuty, delektując się okrzykami „Ja pierdolę!”. Nikt nie dziwił się tak pięknie jak moi kumple menele – szczerze, z podziwem i dumą, że mają ziomka, który wymyka się wszelkim statystykom i łamie wszelkie normy. Po takiej dawce alkoholu niewiele pamiętałem, często urywał mi się film, ale równie często zataczałem się, idąc ulicami Legnicy. Wyglądałem jak żul budzący odrazę. Byłem wtedy potwornie chudy, słaby psychicznie i nie wiem, w jaki sposób udało mi się przeżyć kolejne dwa lata, tym bardziej że abstynencja od narkotyków trwała zaledwie kilka tygodni. Znowu zacząłem ładować w żyłę. Za każdym razem obiecywałem sobie, że robię to po raz ostatni. Któregoś dnia podjąłem nawet próbę leczenia. Z własnej woli zgłosiłem się do psychiatry, który wydał skierowanie do szpitala psychiatrycznego w Stroniu Śląskim. Pojechałem, posiedziałem kilka tygodni, wróciłem do domu i znowu zacząłem grać. Wielu moich kolegów spróbowało leczenia i nie dało rady. Wielu dawno poszło do piachu... Mało kto miał taki staż ćpania jak ja. To było prawdziwe szorowanie dna. Na wielu spotkaniach motywacyjnych słyszy się, że trzeba sięgnąć prawdziwego dna, aby się podnieść. Ja nie sięgnąłem dna, tylko przypierdoliłem w nie z takim impetem, że ślady zostaną mi do śmierci.

Starąłem się zapomnieć o narkotykach, dlatego zamieniłem klub Legmet na dyskotekę w hotelu Cuprum, gdzie można było spotkać największych rzezimieszków z okolicy. Przyjęli mnie do swojej bandy, a ja mogłem im imponować opowieściami wyniesionymi z kilku zakładów karnych, psychiatryka i milicyjnych dołków. Kiedy podnosiłem koszulę i pokazywałem im blizny na brzuchu i rękach od ran zadanych nożem, pieli z zachwytem. Nie pamiętam już nawet okoliczności, w jakich się ich dorobiłem, ale w większości były to młodzieńcze popisy przed kolegami, chęć dorównania liderom grupy albo próby wywarcia nacisku na władze więzienia, żeby skierowały mnie do szpitala na leczenie, czyli *de facto* poza mury więzienia, na czym najbardziej mi zależało. Milicja monitorowała mnie praktycznie non stop, byłem wzywany na przesłuchania w sprawach, w które nie byłem zamieszany, ale o których wiedziałem wiele, jeżeli nie wszystko. Byłem chodzącą encyklopedią legnickiego półświatka. Wiedziałem, kto, gdzie, kiedy i z kim dopuścił się czynów karalnych, ale nigdy nikogo nie sypnąłem. Potencjalnie byłbym najlepszym źródłem informacji dla Milicji Obywatelskiej, gdybym tylko chciał udzielać odpowiedzi na pytania. Milczałem jak grób.

Kończył się mój kolejny rok ćpania, picia i palenia. Któregoś dnia siedziałem zmarnowany na

schodach przed domem i przypomniałem sobie, że z okna aresztu na Kleczkowskiej widziałem punkt konsultacyjny Monaru i OLO – Oddział Lecznictwa Odwykowego. Przez te wszystkie lata ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby zapukać tam do drzwi i poprosić o pomoc, mimo że tej pomocy pragnąłem. Dopiero po dwóch latach od ostatniej odsiadki, kiedy ważyłem czterdzieści osiem kilogramów i doprowadziłem swój organizm do skrajnego wyczerpania, zapukałem do punktu konsultacyjnego. W drzwiach stała oparta o framugę Ela, lekarka ośrodka. Paliła papierosa, a jej wzrok zdawał się pytać: „Zjawa? Czy żywy człowiek?!”.

– Pani doktor... – spojrzałem jej w oczy i zawiesiłem głos. – Chcę się leczyć – powiedziałem ze łzami w oczach.

– Chcesz się leczyć? – odpowiedziała pytaniem. – Przyjdź za tydzień. Nie ma miejsc.

Za tydzień usłyszałem dokładnie to samo, ale przyjeżdżałem, podpisywałem listę oczekujących na odtrucie i dalej grzałem. I tak przez kilka tygodni. Był to chyba swoistego rodzaju test, czy faktycznie jestem zdeterminowany i gotowy na leczenie. Nie przyjęli mnie od razu, tylko kazali walczyć o miejsce. W końcu dostałem sygnał, że zwolniło się jedno. Natychmiast przyjechałem na Kleczkowską do szpitala psychiatrycznego na OLO. Wchodząc do ośrodka, spojrzałem jeszcze w kierunku zakładu karnego, który znałem jak własny dom, i pomyślałem: „Nigdy więcej!”. Niżej upaść już nie mogłem, więc wszystko, co mogło się teraz zdarzyć, było krokiem w dobrą stronę.

Detoks był warunkiem otrzymania miejsca w Monarze. Mogłem tam trafić tylko po odtruciu, oczyszczeniu organizmu z tego całego syfu, który łądowałem w niego każdego dnia. Nie przyszło mi to łatwo. Odstawienie heroiny i alkoholu spowodowało gwałtowną reakcję organizmu. Po trzecim dniu bez narkotyków wpadłem w szal. Musieli mnie przypinać pasami do łóżka, żebym nie zrobił sobie krzywdy. Drgawki rzucały mną po łóżku tak mocno, że gdyby nie pasy, spadłbym na podłogę. Rzygałem i miałem halucynacje. Przez trzy dni, dwadzieścia cztery godziny na dobę trząsałem się z zimna, a mięśnie i głowę rozrywał ból. Myślałem, że po raz kolejny umieram, a był to dopiero początek drogi do całkowitego wyleczenia. Detoks nie leczył uzależnienia, był jedynie pierwszym etapem niezbędnym do rozpoczęcia terapii w Monarze. Za wszelką cenę chciałem trafić do ośrodka niedaleko Łodzi, w Lesie Sokolnickim, we wsi o nazwie Sokolniki-Las. To o tym miejscu opowiadał Kotański, kiedy słuchałem go w więzieniu w 1981 roku. Musiały minąć dwa lata, zanim zdecydowałem się podjąć leczenie, i za nic w świecie nie chciałem słuchać o innym ośrodku. W mojej świadomości zakorzenił się on tak bardzo, że wręcz uzależniałem powodzenie wyleczenia od obecności właśnie w tym Monarze. Przez kilka dni słuchałem odpowiedzi, że to niemożliwe, że w Sokolnikach nie ma miejsc.

– Kurwa! To nieprawda. Kłamiecie. Są cztery ośrodki i w żadnym nie ma miejsc? – pytałem z niedowierzaniem, przypominając sobie słowa Gierka sprzed wielu lat, kiedy twierdził, że w Polsce Ludowej opanowano przecież problem narkomanii.

To jednak była prawda. Miejsc nie było⁴.

Marek Kotański zawsze mnożył razy dziesięć oficjalne dane, które nijak się miały do rzeczywistości. Jeżeli nawet przyjąć za prawdziwe dane o ponad stu tysiącach narkomanów w Polsce, to była to liczba zatrważająca. Dla zobrazowania skali można wyobrazić sobie dwa lub trzy dzisiejsze Stadiony Narodowe wypełnione po brzegi narkomanami. W czterech ośrodkach Monaru, które wtedy istniały, mieszkało na co dzień maksymalnie trzydzieści kilka osób, co daje

około stu pięćdziesięciu osób poddawanych profesjonalnej terapii co dwa lata, bo tyle trwał program monarowca. Modliłem się, żeby tam trafić. W trzecim dniu odtrucia było mi już wszystko jedno, gdzie mnie wyślą. Mogli mnie wsadzić w samolot i wywieźć na koniec świata, byle tylko rozpoczęło się leczenie.

OSTATNI PAPIEROS (Wrocław, 1984)

To był czwarty dzień bez narkotyków. Leżałem na łóżku wrocławskiego szpitala przypięty pasami i zwijałem się z bólu. Byłem wrakiem człowieka. Wychudzony, z zapadniętymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi. W całym okresie ćpania ten moment był zdecydowanie najtrudniejszy. Umierałem. Myślałem o końcu świata i czekałem na cud.

– Dzień dobry. Jak się dzisiaj czujesz? – usłyszałem uśmiechnięty głos pani doktor, która podeszła do mojego łóżka.

Nic nie odpowiedziałem. Jak ona może się w takiej chwili uśmiechać?! Oszalała? Już miałem ochotę burknąć, żeby dała mi spokój, kiedy usłyszałem:

– Pojedziesz dzisiaj na Jarzębinową.

Wyskoczyłem z łóżka jak oparzony.

– Na Jarzębinową?! – wrzasnąłem.

– Dokładnie tam – uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

Na Jarzębinowej do dziś mieści się Ośrodek Leczenia Uzależnień Monar, założony w 1983 roku w bardzo spokojnej i pełnej zieleni dzielnicy Wrocławia. Był to jeden z pierwszych ośrodków powołanych do życia przez Marka Kotańskiego. Należał on do tych nielicznych osób w Polsce, które pod koniec lat siedemdziesiątych zaczęły zdawać sobie sprawę z tego, że jeśli teraz nikt nie sprzeciwi się fałszowaniu rzeczywistości przez komunistyczne władze, za chwilę będziemy mieli w naszym kraju niespotykaną plagę narkomanów. Stanowiliśmy pokaźną grupę społeczną, która na bazie kontrkulturowego buntu stworzyła swój zamknięty świat, i sami nie byliśmy w stanie się z niego wyrwać. O ile na początku lat siedemdziesiątych zachłyśnięci ruchem hipisowskim kontestowaliśmy peerelowską rzeczywistość, o tyle w latach osiemdziesiątych niewiele już nas te idee interesowały. Wszystko wymknęło nam się spod kontroli i doprowadziło do sytuacji, w której po ulicach chodziło kilkadziesiąt tysięcy młodych ludzi uzależnionych od narkotyków i środków odurzających.

„Jarzębinowa! Jarzębinowa! Moje marzenia zaczynają się spełniać. Ale dlaczego dopiero wieczorem? Ja chcę już, teraz!” – pomyślałem i postanowiłem przyspieszyć bieg wydarzeń.

– Nie będę czekał. Ubieram się!

– Nie możesz! – zaprotestowała. – Jeszcze nie załatwiłam wszystkich formalności. W Monarze nie wiedzą. Dostaliśmy tylko informację, że mają jedno wolne miejsce. Trzeba teraz wszystko zorganizować zgodnie z procedurą...

– To ja mam pomysł. Pani załatwia te papiery, dzwoni do nich, a ja biorę taryfę i jadę. Nie będę czekać. Nie ma mowy! Nie róbmy już tego całego cyrku, tych formalności! Po co to? Chcę się leczyć! Rozumie pani? – krzyknąłem. – Jak najszybciej chcę do Monaru! Nawet nie czekałem na jej reakcję. Ponieważ nie miałem nic oprócz wierzchniego ubrania, nie musiałem się pakować. Zacząłem się przebierać, nie zwracając na nią uwagi. Pani doktor stała w milczeniu i przyglądała się całej sytuacji. Wiedziała, że nic mnie nie powstrzyma. Znała narkomanów. Zajmowała się nimi od wielu lat i była w stanie przewidzieć niemal każdą ich reakcję. Ta moja – pełna zniecierpliwienia i agresji – nie była dla niej żadnym zaskoczeniem. Narkoman na głodzie

zrobi wszystko dla pozyskania narkotyku. Narkoman, który chce się wyleczyć, jest w stanie zrobić jeszcze więcej. Mimo że moja wybawicielka przysłała z dobrą informacją, zamiast paść jej do stóp, dziękować i cieszyć się jak dziecko, targały mną złość i zniecierpliwienie. Tak bardzo pragnąłem zakończyć najgorszy etap mojego życia. Pęd do osiągnięcia celu przysłał wszystko inne: wdzięczność, uprzejmość, cierpliwość i pokorę. Nie brakowało mi tylko determinacji. Nie przypuszczałem jednak, że doświadczę za chwilę uczucia niepewności, które mogło zawrócić mnie z dobrze obranego kursu.

Godzinę później wysiadłem z taksówki przed wrocławskim Monarem. Trząsałem się z podniecenia, ze strachu i nikotynowego głodu jednocześnie. Za chwilę miałem porzucić jedyne życie, jakie znałem – pełne przemocy, oszustw, narkotykowego szaleństwa, fałszywego szczęścia i prawdziwego bólu. Chciałem z tym skończyć, ale coś powstrzymywało mnie przed otwarciem bramy. Stałem na chodniku przed wejściem i zastanawiałem się, co zrobić. Piękna pogoda, zielone drzewa wzdłuż całej willowej uliczki i niemal kompletna cisza stwarzały wakacyjny, rajski klimat. Była godzina jedenasta. Zły wilk, którego przez ostatnie dni głodziłem, zawył. „Przecież mogę odwrócić się na pięcie i wrócić do domu. Nikt mnie nie zatrzyma” – pomyślałem. Włożyłem ręce do kieszeni spodni i w jednej z nich wyczułem zmiętą paczkę extra mocnych. Natychmiast stała się ona narzędziem w ręku szatana. Zaczęło się kuszenie, kolejna, być może ostatnia w moim życiu, próba charakteru. Diabeł dobrze wiedział, że narkotyki i papierosy uzależniły mnie niemal tak samo mocno, a kto wie, czy nikotynowy nałóg nie był silniejszy. Po każdym heroinowym odtruciu nie patrzyłem na mak tak łapczywie jak na szlugi. Spojrzałem na opakowanie. Na pierwszy rzut oka wydawało się puste. Drżącymi rękoma, w pośpiechu, jakby ktoś zaraz miał mi je zabrać, zacząłem rozrywać paczkę na kawałki w nadziei, że coś znajdę. Są! Dwie białe bibuły, a w nich coś, co choć przez chwilę miało być nieudolnym substytutem narkotyku. Wyjąłem pierwszego papierosa. Był przełamany na pół, więc go wyrzuciłem, sięgając od razu po jedyne dobre. Zapaliłem. Zamiast celebrować ten moment, zaciągnąłem się tak głęboko, że w ciągu jednej sekundy zniknęło pół papierosa. Po drugim machu poczułem już tytoniowy żar, który parzył mnie w opuszki palców. Wściekły na siebie, że nawet w takim momencie niecierpliwość i zachłanność wzięły górę, wyrzuciłem nadpalonego papierosa, obróciłem się na pięcie i zapukałem do drzwi Monaru. Wygrałem jedną z ważniejszych bitew. Prawdziwa wojna miała jednak dopiero nadejść.

– Chuchnij – usłyszałem na przywitanie od szczupłej dziewczyny o wyglądzie zawadiaki.

Miała na imię Halina. Jej zdecydowany ton od razu ustawił rozmowę. Obok niej stał Jarek – człowiek, którego wszyscy tu słuchali. Oboje byli wychowawcami, ale oprócz nich podobne powitania przeprowadzała Służba Ochrony Monaru – SOM. Były to zazwyczaj trzyosobowe grupy, które pełniły między innymi rolę kontrolerów. Mieli prawo obudzić cię w środku nocy i przeprowadzić test, który właśnie przechodziłem.

– Zamknij oczy. Otwórz – posłusznie wykonywałem tekst oczny.

Reakcja źrenic na światło dawała sygnał, czy delikwent jest czysty, czy właśnie walnął w żyłę. Zaczerwienienie spojówek, szkliste oczy, łzawienie i szerokość źrenic mogły być dowodem na branie marihuany, morfiny lub heroiny.

– Kieszenie – rzucił krótko Jarek.

Włożyłem ręce do środka i poruszałem palcami na znak, że nic nie ma. „Ha! Puste!

Wypaliłem wszystkie przed wejściem” – pomyślałem, uśmiechając się triumfalnie.

– Wywiń je – dodała dziewczyna. – Wszystkie.

W momencie kiedy wyciągałem każdą kieszeń, jaką znalazłem w spodniach i bluzie, Jarek w żołnierskich słowach przedstawiał mi wizję najbliższych miesięcy w Monarze.

– Zero alkoholu, zero papierosów, zero seksu – rozpoczął powolną wyliczankę największych przyjemności.

– Seksu?! Ja pierdołę! Dlaczego? – protestowałem chyba mocniej niż w chwili, kiedy usłyszałem, że nie mogę też palić. – Ja tu przyszedłem się z narkotyków leczyć, a nie z seksu i papierosów!

– Przez pół roku. Później możesz się umawiać na randki. Ale na wódkę i papierosy szlaban – odpowiedziała Halina. Jarek chwilę milczał przed wypowiedzeniem tej najważniejszej zasady. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, tak jak robią to bokserzy tuż przed najważniejszą walką.

– Zero narkotyków. Przez cały pobyt w Monarze – dodał wreszcie, cedząc słowa bardzo powoli i wyraźnie, jakby chciał je przeliterować. – Raz złamiesz zakazy, wylatujesz. Poza tym chodzisz w drelichu. Przez trzy miesiące na wszystko musisz zapracować. Siedzisz na podłodze. O wszystko masz pytać. Spełniasz prośbę każdego z dwudziestu mieszkańców tego domu. Nie wolno ci wychodzić bez pozwolenia. Żarcie gotujemy sami. Ty też. Pobudka o szóstej rano. Światło gasisz o dwudziestej drugiej – skończył wreszcie i podał mi papiery do podpisania. – To na wypadek, gdybyś za kilka dni zaprzeczył, że czegoś nie mówiłem – dodał.

Wkurwił mnie już na początku. „Co za pajac! Jak może patrzeć się na mnie takim wzrokiem?!” – widziałem, że nie wierzy we mnie i podaje w wątpliwość moje szczere chęci.

– Tylko tyle? – zapytałem z ironicznym uśmiechem. – Myślałem, że macie tu poważniejsze zadania – dodałem chłodno.

Chciałem mu udowodnić, że dam sobie radę i żadne z monarowskich ograniczeń nie jest mi straszne.

Jarek nie odpowiedział. Spojrzał tylko wymownie na Halinę, odwrócił się i poszedł korytarzem w głąb budynku. Skręcając do swojego gabinetu, zatrzymał się nagle, spojrzał w naszą stronę i stukając się dłonią w czoło, rzucił:

– Zapomniałem! Halinko, golenie możesz zrobić od razu. – I zamknął za sobą drzwi.

– Sam się gołę! – rzuciłem ostrym tekstem do dziewczyny.

– Na łyso sam się nie ogolisz – odparła spokojnie.

Ruchem głowy dała znak, że mam iść za nią.

– Na łyso? Pojebało was? To nie więzienie! – krzyczałem, idąc za nią.

– Jak ci się nie podoba, możesz wyjść. Takie są zasady, a tam są drzwi. Do niczego nie będziemy cię zmuszać – machnęła ręką od niechcenia.

Zatrzymałem się. Patrzyłem, jak Halina znika w drzwiach łazienki na korytarzu. Bez słowa wszedłem tam chwilę po niej, usiadłem na krześle.

Tego dnia niczym szczególnym już się nie zajmowałem. Po całej procedurze przyjęcia, goleniu i podpisaniu dokumentów poszedłem do swojego pokoju. Był trzyosobowy, a jednym z jego mieszkańców był Grzesiek. Po krótkiej wymianie uprzejmości padłem na łóżko. Chwilę później mój lokator wyszedł z pokoju do kotłowni, za którą odpowiadał. Zostałem sam. Przysnąłem zmęczony emocjami.

Obudził mnie dźwięk sportowego gwizdka. Na wpół przytomny wyszedłem ze swojego pokoju i zobaczyłem, że wszyscy ubrani w sportowe ciuchy wychodzą na zewnątrz. „Co, u licha, tu się dzieje?! Powariowali wszyscy?” – pomyślałem, spoglądając na Jarka. Ten, jakby

odczytywał moje myśli, spojrział wymownie na zegarek i rzucił:

– Masz minutę.

Tysiąc siedemset metrów. Do parku i z powrotem. Najdłuższe tysiąc siedemset metrów w moim życiu. I to biegiem! Ostatni raz biegałem, uciekając przed milicją, ale na pewno nie było to więcej niż kilkaset metrów. Teraz kazano mi zrobić coś, czego mój organizm nigdy nie doświadczał – miałem się zmusić do kilkunastominutowego, ciągłego biegu dla zdrowia. Okazało się, że to była ich rutynowa czynność. Biegali sami z siebie, każdego wieczoru, przez prawie dwa kilometry. I jeszcze się tym cieszyli! „W co ja się wpierdoliłem?!” – pomyślałem. W tamtym czasie bieganie było dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, czynnością zbędną, a wręcz nierzeczywistą. To nie mogło się dziać! Nie wierzyłem w to, co robię. Wyszedłem przed budynek ubrany w drelich, ale gdyby pozwolili mi założyć co innego, i tak nie miałbym co na siebie włożyć. Nie miałem żadnej sportowej odzieży. Musiałem wyglądać jak menel, który próbuje dogonić grupę sportowców tylko po to, aby poprosić ich o kilka złotych na szlugi albo wódkę. Dogonić?! Nie, to nie było możliwe. Wszyscy byli szybsi ode mnie, i to bez względu na płeć, wiek i wagę. Co kilka kroków zatrzymywałem się targany potwornym bólem, jakby ktoś wkładał mi ręce do klatki piersiowej, chwycił za płuca i rozrywał je na części. Plułem krwią, płacząc z bólu. Ale biegłem. Nigdy nie lubiłem przegrywać. Niezależnie od tego, co robiłem, musiałem to robić na maksa: ćpałem na maksa, piłem i paliłem na maksa, kradłem na maksa, biłem się na maksa i kochałem na maksa. Nic nie mogło mi w tym przeszkodzić, miałem wówczas makiaweliczne podejście do życia, po trupach do celu, byle pokazać, że umiem coś robić dobrze, najlepiej. W rzeczywistości nic w życiu nie potrafiłem robić dobrze, niczego się nie nauczyłem, nie miałem zawodu, rodziny, nie potrafiłem na siebie zarobić. Nie! To nieprawda! Potrafiłem robić dobrze, ale tylko złe rzeczy. Nie było przecież lepszego w mieście od włamywania się do aptek, kombinowania kolejnej flaszki wódki albo robienia w chuja milicji. Ale w tamtej chwili, targany okropnym bólem rozrywającym moje wnętrzności, biegłem, chciałem pokazać, że jestem lepszy, niż myślą, że dam radę, że potrafię wygrać z Zochą, która ledwo wyturlała swoje grube dupsko z łóżka, ale jakimś cudem była jednak szybsza ode mnie. Co za wstyd! Oczywiście nie było mowy, abym dotrzymał tempa grupie. Widziałem, jak zwartą ekipą, rozmawiając i śmiejąc się, biegną kilkaset metrów przede mną. Kiedy zawracali przy fontannie i mijali mnie, starałem się wyprostować i przybrać minę sportowca, który ma końskie zdrowie. W rzeczywistości, kiedy tylko zniknęli mi z oczu, oparłem się o jakiś murek i zacząłem rzygać. O tym, że nie jest to zwykłe wymiotowanie, przekonałem się, spoglądając w dół. Zobaczyłem dziwną maź przypominającą kaczą krew. Rzygałem krwią, a płuca piekły mnie tak bardzo, jakby ktoś wlał w nie żrącą substancję. Kiedy dobiegłem, a raczej doczłapałem się do Monaru, część mieszkańców już brała prysznic, część szykowała się do kolacji. Stałem przez chwilę w otwartych drzwiach, patrząc na nich otepiałym wzrokiem, z wyrzutem, jakby ktoś zrobił mi potworną krzywdę. „Dlaczego?” – pytałem w myślach. Nie zdawałem sobie sprawy, że właśnie zrobiłem coś, co za chwilę miało określić moje życie. Zacząłem ćpać nowy narkotyk. Zacząłem ćpać życie na nowo.

Rzuciłem się na łóżko w pokoju i leżałem tak kilka minut do czasu, aż ochłonałem. Piekło mnie w płucach przy każdym oddechu, ale nic dziwnego, skoro przez tyle lat wpuszczałem tam wyłącznie dym papierosowy. Taka ilość tlenu musiała być dla mojego organizmu szokiem. Wykąpałem się i przebrany w drelich wszedłem do stołówki.

Po kolacji, zanim jeszcze zdążyłem dojść do swojego pokoju, usłyszałem dźwięk dzwonu. Któryś z domowników rytmicznie uderzał jak na alarm, ale nie bardzo wiedziałem po co

i dlaczego. Nawet nie zwróciłem uwagi, gdzie w Monarze ten dzwon zamontowali, ale dźwięk dochodził z piętra. Nagle zobaczyłem, jak ze wszystkich pomieszczeń na parterze wychodzą domownicy i kierują się na górę. Kiedy mijał mnie mój współlokator, kiwnął tylko głową i rzucił:

– Idziemy. Zebranie.

Poszedłem posłusznie za nim, a kiedy weszliśmy po schodach i skręcaliśmy do sali tuż przed stołówką, zauważyłem przymocowany do ściany sporej wielkości dzwon. Był mniej więcej tak duży jak ten, który mocują na statkach, a który służy do informowania o upływającej wachcie.

Okazało się, że tak jak na żaglowcach życie marynarzy upływało w rytm bicia dzwonu, tak i w Monarze jego dźwięk oznaczał bardzo istotne wydarzenie – zebranie społeczności. Bez względu na to, co w danej chwili się robiło, jeżeli tylko zabrzmiał, rzucało się wszystko i szło na spotkanie. Rozpoczynał je zawsze ten, kto dał sygnał do zebrania. To oznaczało, że w jego mniemaniu wydarzyło się coś ważnego albo niebezpiecznego dla funkcjonowania domu i jego mieszkańców, coś, co mogło w istotny sposób wpłynąć na każdego z nas. Dzwon był w Monarze najważniejszy. Każdy wiedział, że może zabrzmieć również w jego sprawie. Jeżeli pracowałeś z kolegą i podczas luźnej rozmowy zaczynałeś się zwierzać, że masz problem, bo znowu ciągnie cię do narkotyków, albo zwyczajnie masz ochotę na spotkanie ze znajomymi z tamtego okresu, twój partner natychmiast rzucał wszystko, biegł na piętro i uderzał w dzwon. W kilka minut zbierała się cała społeczność, która była akurat w domu, i pod kierownictwem lidera rozpoczynała się dyskusja nad tym, co przed chwilą zaszło. Nikt nikomu nie miał za złe, że cała społeczność właśnie dowiadywała się o twoim problemie. To był jeden z elementów terapii. W Monarze nie było lekarzy w białych kitlach, lekarzem była społeczność, przed którą, jak się okazało, za chwilę miałem stanąć.

Kiedy wszedłem do sali, zobaczyłem wszystkich mieszkańców domu czekających tylko na mnie. Część, tak jak ja, ubrana była w drelich i siedziała na podłodze, co świadczyło o nowicjacie. Ci z dłuższym stażem – domownicy, a także ci, którzy za chwilę mieli opuścić ośrodek – monarowcy, siedzieli na krzesłach lub fotelach. Domownicy i monarowcy ubrani byli normalnie, wyglądali jak zwykli ludzie z ulicy. Kiedyś upadli tak nisko jak ja, ale dziś po tamtym życiu nie było widać śladu. Wszystkie oczy zwróciły się w moim kierunku. Zaczął Jarek, lider ośrodka:

– Do naszego domu przyjęliśmy nowego mieszkańca. Nazywa się Jerzy Górski, ale za chwilę sam powie o sobie więcej. Pytajcie o wszystko, co przyjdzie wam do głowy – dodał. – Jurek, co ciebie do nas sprowadza? – zaczął pytaniem, którego najmniej się spodziewałem.

Myślałem, że zacznie od tego, ile mam lat, co ostatnio w życiu robiłem i do jakiej roboty się tu nadam.

Nie lubiłem nigdy takich zebrań. Przypominały mi trochę lekcje wychowawcze w szkole, na których musieliśmy opowiadać, kto jak spędził wakacje, o czym marzy, jaki zawód chce wybrać i jak wyobraża sobie swoje życie w dorosłym świecie. Zaczęło się trochę jak na spotkaniu anonimowych alkoholików.

– No więc, chcę się leczyć – zacząłem niepewnie, nieprzyzwyczajony do tego typu zwierzeń.

Nawet w czasach najbardziej zaawansowanego ćpania, kiedy dotarło już do mnie, gdzie jestem i jak mogę skończyć, zawsze miałem problemy ze szczerością, z przyznawaniem się do błędu i mówieniem publicznie, że spierdoliłem swój najlepszy czas i chcę to zmienić. Robiłem to tylko przy tych, którzy mogli mi pomóc, i to w ostatnim stadium uzależnienia, kiedy śmierć zajrzała mi w oczy. Nie byłem świadomy, że właśnie zaczęła się moja terapia. Społeczność

leczyła się sama, niejednokrotnie eksperymentując, tak jak teraz.

– Jestem narkomanem, alkoholikiem i nałogowym palaczem – zacząłem powoli swoją spowiedź. – Jak pewnie część z was, zacząłem od wachania tri w podstawówce, odurzałem się nim z kumplami i nigdy nie myśleliśmy, że może nas to zaprowadzić tu, gdzie jestem dziś. Słyszeliśmy o narkotykach, ale wtedy byliśmy jeszcze za młodzi, żeby rozumieć, o co chodzi. Później był klej, i fajki... Prawdę mówiąc, chyba najpierw fajki, a później klej. Nieważne. Uzależniłem się od papierosów już jako dzieciak i nawet trenując gimnastykę, popalałem za murami szkoły, w przerwach między lekcjami a treningiem. Kleiłem się i jarałem szlugi przez jakieś trzy lata, no a później wskoczyliśmy do wyższej ligi i były już twarde narkotyki. Jak miałem piętnaście lat, załadowałem w żyłę po raz pierwszy.

– Ile masz dzisiaj? – zapytała Halina.

– Dwadzieścia dziewięć.

– Waliłeś w żyłę czternaście lat?! To niemożliwe! Nie żyłbyś dzisiaj – zdziwił się młody chłopak, siedzący w drelichu na podłodze.

– Waliłem. I przeżyłem. Grzałem z przerwami. Bardzo często mnie zamykali i wtedy trudno było ćpać. Regularnie siedziałem w aresztach śledczych, więzieniu albo psychiatryku. W sumie w ciągu roku wychodziły nawet dwa, trzy miesiące, kiedy byłem czysty. To mnie uratowało.

– Ile hery brałeś? – zapytał Jarek.

– Doszedłem do dwudziestu centymetrów dziennie – odpowiedziałem z lekkim uśmiechem, jakbym chciał się jeszcze pochwalić swoimi osiągnięciami, ale to nikogo nie poruszyło.

Wszyscy milczeli, wpatrując się we mnie. Robiłem przygnębiające wrażenie. Dopiero co wyszedłem ze szpitala i musiałem wyglądać jak ktoś, kto za chwilę pożegna się z tym światem. Zamiast podziwu widziałem w ich oczach litość.

– A do więzienia za co trafiałeś? – padło kolejne pytanie.

– Przeważnie za apteki. Włamywaliśmy się do nich, żeby mieć morfinę. No a później na dołek to już za wszystko inne. Ale żeby była, kurwa, jasność! – wtrąciłem ostrzegawczo, żeby nikt nie pomyślał, że mają do czynienia z pospolitym przestępcą. – Nikogo nie zabiłem! Robiłem tylko apteki... Czasami się lałem, jak każdy, ale nigdy nie rabowałem zwykłych ludzi. Tu jestem czysty.

Pierwsza spowiedź i pierwsze spotkanie ze społecznością trwało około godziny. Pytali o wszystko. O to, jakie narkotyki brałem, jakich mam kolegów, co robią, gdzie są moi rodzice, jaką skończyłem szkołę, a w zasadzie jakiej nigdy nie skończyłem, skąd mam te wszystkie cięcia na ciele, dlaczego próbowałem się zabić. Po tym wszystkim rozeszliśmy się do swoich pokoi. Leżałem w łóżku, wpatrując się w sufit. Bardzo, ale to bardzo chciało mi się palić. Kręciłem się z boku na bok, wzdychałem i robiłem wszystkie te rzeczy, które robi człowiek walczący z bezsennością. Przez okno wpadał do pokoju blask ulicznej latarni. Podniosłem rękę, a jej cień pojawił się na ścianie. Rozchyliłem dwa palce, jakbym trzymał papierosa i zbliżyłem do ust. Dałbym wszystko, żeby móc się teraz zaciągnąć. Podniosłem się i oparłem na łokciu, jeszcze raz spojrzałem na ulicę, gdzie kilka godzin temu wyrzuciłem ostatniego papierosa. Co za uczucie! Jest tysiąc razy silniejsze niż największe pragnienie, jakie odczuwa samotny wędrowiec na pustyni. Wiedziałem, że drugi dzień bez papierosa zawsze jest najgorszy. W najbliższych dniach nikotynowy głód miał się stać moim nierozłącznym towarzyszem... Ale nie jedynym, który mnie wkurwiał.

Następnego dnia rano zaczęło się codzienne życie ośrodka, terapia poprzez pracę. Okazało się, że tym, co miało odciągać od narkotyków, nie są leki, rozmowy z psychologiem, badania

lekarskie i tym podobne, ale praca i rozmowa ze społecznością. Nie było istotne, jaką pracę się wykonywało. Mogło to być cokolwiek – kopanie rowów, malowanie płotu, pielienie ogródka lub sprzątanie kibli w Monarze. Moim pierwszym zajęciem było skrobanie drzwi ze starej, odpadającej od drewna farby. Jednak coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się prostym zajęciem, było męczarnią. Nie dość, że cholernie nudne, to jeszcze podwójnie męczące z uwagi na głód narkotykowy, nikotynowy i alkoholowy, który cały czas odczuwałem. Żadne słowa nie oddadzą stanu, w jakim się wówczas znajdowałem, a namiastką tego, co czułem, może być jedynie wyobrażenie sobie jakiejś ciężkiej pracy fizycznej wykonywanej na ogromnym kacu, z zawrotami głowy i chęcią rzygania przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Skrobałem te pierdolone drzwi i po raz pierwszy zastanawiałem się, czy właśnie o to mi chodziło. Czy to jest ten ziszczony sen o wolności, o której mówił Kotański, kiedy słuchałem go po raz pierwszy przez więzienny radiowęzeł?

Kilka godzin machania skrobakiem wykończyło mnie do cna. Padłem na łóżko i nie mogłem się podnieść. Nie miałem ochoty na nic. Nawet gdyby stanęła teraz przede mną najpiękniejsza kobieta świata, nie ruszyłbym ręką. Już teraz wiem, dlaczego Jarek z taką lekkością mówił, że w Monarze nie ma miejsca na seks. Po prostu mało kto w nowicjacie miał na to czas i siłę... przynajmniej w początkowej fazie leczenia. Kiedy tak leżałem spokojnie na łóżku, myśląc już tylko o kolacji i pójściu spać, rozległ się gwizdek. Spojrzałem na zegarek. Była za minutę osiemnasta. Podniosłem lekko głowę i spojrzałem za okno, skąd dochodziły odgłosy rozmowy. Na zewnątrz znowu zbierała się grupka mieszkańców Monaru, wszyscy ubrani w trampki. Bieganie. Znowu. „Czy ich pojebało?!“ – pomyślałem. „Biegać? Teraz? W takim stanie, w jakim się teraz znajduję, mam biegać? Nic z tego. Nie ruszam się”.

Przewróciłem się na drugi bok. Zamknąłem oczy. Chciałem tylko spać. Ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Zacząłem rozmyślać o tym, co będzie za tydzień, miesiąc, rok. Czy wciąż będzie tak bolało? Czy wciąż będzie chciało mi się palić i pić? Nagle z rozmyślania wyrwało mnie gwałtowne otwarcie drzwi.

– Długo mamy na ciebie czekać? – usłyszałem Halinę.

– Nigdzie nie idę – odpowiedziałem, nawet nie podnosząc głowy z poduszki. – Nie mam siły.

– Cienias – powiedziała spokojnym głosem Halina i delikatnie zamknęła drzwi.

Przez chwilę leżałem bez ruchu. „Cienias? Kurwa, nie jestem cieniasem!” Zawsze byłem najlepszy. We wszystkim. Zerwałem się z łóżka. Zakręciło mi się w głowie i omal się nie przewróciłem. Oparłem się o szafę. Z trudem założyłem buty i wyszedłem na zewnątrz. Osiemset pięćdziesiąt metrów przez park, nawrotka przy fontannie i powrót. Razem tysiąc siedemset metrów. Ruszyłem. Zrobiłem może dziesięć kroków i zatrzymałem się. Nie mogłem oddychać. Było mi tak ciężko, jak gdybym miał przywiązane do nóg dziesięciokilogramowe obciążniki, czułem się fatalnie. Każdy krok to była potworna męczarnia. Mięśnie przyzwyczajone do tej pory wyłącznie do smaku heroiny i alkoholu, a płuca do papierosowego dymu nie były w stanie zaakceptować nowej formy aktywności. „Cienias, cienias” – huczały mi w głowie słowa Haliny. Ruszyłem znowu biegiem. „Spróbuję do następnego drzewa, a później znowu marsz, i tak do końca, musi się udać” – pomyślałem.

Zamiast biec powoli, ruszyłem jak narwaniec, żeby dogonić grupę. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że tak szybkie bieganie powoduje dostarczanie małej ilości tlenu do komórek, organizm zaczyna korzystać z beztlenowych procesów przemiany materii, w konsekwencji czego wytwarzają się ogromne ilości mleczanu, blokujące możliwość długotrwałej pracy mięśni. Na moim etapie zaawansowania sportowego podstawową aktywnością ruchową powinien być

w tamtym okresie marszobieg. Płuca nie wytrzymały i już po kilkuset metrach takiego biegu poczułem palący ból, zacząłem kaszleć, pluć krwią. Kręciło mi się w głowie. Zwolniłem i przeszedłem do marszu. W oddali zobaczyłem grupę mieszkańców Monaru, która wracała do ośrodka. Jak zwykle biegli spokojnie, rozmawiając i śmiejąc się. Nie chciałem pokazać słabości, więc zacząłem truchtać. Kiedy znaleźli się na mojej wysokości, wyprostowałem się i przyspieszyłem, nawet nie spojrzałem w ich stronę. Kiedy dobiegłem do fontanny, upadłem na ziemię. Oddychałem ciężko, serce waliło mi jak młot, charczałem i kaszlałem na przemian. Leżałem tak kilka minut, po czym podniosłem się i zacząłem iść w kierunku Monaru. Drugie osiemset pięćdziesiąt metrów pokonałem marszobiegiem, a w zasadzie marszem i szybkim marszem. Wpadłem do pokoju, rzuciłem się na łóżko i już się tego dnia nie podniosłem. Dotarło do mnie, jakim wrakiem człowieka jestem, co zrobiły ze mną narkotyki, alkohol i papierosy.

Lato 1984 roku nie rozpieszczało nas pogodą. Średnia temperatura rzadko kiedy przekraczała dwadzieścia stopni, a rtęć zatrzymywała się najczęściej w okolicach osiemnastej kreski. Wypad pod namiot nie był najlepszym pomysłem, ale to właśnie w te wakacje, kilka tygodni po moim przyjeździe do Monaru, pojechaliśmy na obóz do Sedranek koło Olecka.

Jarek, lider naszego ośrodka, i społeczność wyznaczyli spośród nas prezesa obozu, który wśród wielu obowiązków miał również zadanie organizować nam czas wolny. Miał to być ktoś na wzór kaowca – popularnego w PRL-u instruktora kulturalno-oświatowego, który zajmował się organizacją rozrywki na różnego rodzaju imprezach, balach i wczasach. Każdy w Monarze miał przydzielane funkcje lub zadania. Były naszym lekiem. Kiedyś ładowano mi w dupę zastrzyk z fenactilu lub haloperidolu, a dziś strzykawką i igłą były konkretne wyzwania. Pot, krew i łzy wylewane podczas ich realizacji były najskuteczniejszą terapią, najlepszym lekiem, jaki mogłem dostać.

Prezesem obozu został Chudy. Jarek zlecił mu przygotowanie dla całej społeczności jakiejś atrakcji. Mogły to być kajaki, rowery, ognisko... Cokolwiek. Widziałem, że Chudy jakoś kiepsko zabiera się do ogarnięcia tematu, więc postanowiłem mu pomóc. Na jednym z brzegów Jeziora Sedraneckiego była przystań, gdzie wczasowicze wypożyczali sprzęt wodny. Któregoś dnia postanowiłem popłynąć na drugą stronę jeziora kajakiem. Chciałem przy okazji porozmawiać z właścicielem wypożyczalni i zorganizować dla wszystkich wodne atrakcje. Na miejscu opowiedziałem, kim jesteśmy i co robimy, pytając, czy w ramach pomocy byłym narkomanom, którzy walczą o powrót do normalności, pożyczą na jeden dzień kajaki, łódki i rowery wodne. Zdziwiłem się, że właściciel nie zadawał żadnych pytań. Natychmiast zgodził się udostępnić wszystko, na co tylko przyjdzie nam ochota. Z radości płynąłem jak wariat na drugi brzeg, żeby jak najszybciej ogłosić dobrą nowinę. Kiedy wpadłem na teren ośrodka, wszyscy pochłonięci byli swoimi zajęciami – szykowali obiad, naprawiali jakąś rozklekotaną ławkę. Jarek rozmawiał z Haliną. Podeszedłem do nich i opowiedziałem, co udało mi się zorganizować. Spojrzeli zaskoczeni i przerażeni jednocześnie. Jakież było moje zdziwienie, kiedy Jarek podeszedł do dzwonu i zaczął uderzać w niego z całych sił, dając sygnał do zebrania społeczności. Stałem jak wryty. O co chodzi? Zastanawiałem się przez kolejnych kilka minut, czekając, aż wszyscy zejdą się na zebranie. Jarek stanął na środku placu i zaczął mówić oskarżającym tonem:

– Może nie wszyscy wiedzą albo nie do wszystkich to jeszcze dotarło, ale jesteście tu po to,

aby czegoś się nauczyć. Niektórzy, jak Chudy, muszą się nauczyć organizacji, Mrówa gotowania, a taki Jerzy Górski musi nauczyć się między innymi cierpliwości. Poza tym złamał dzisiaj dwie zasady. Jurek! Kto tu jest, kurwa, prezesem na tym obozie?

– No, Chudy przecież!

– To dlaczego bierzesz się do jego roboty?

– Jakiej jego roboty?! Przecież...

– Kajaki. Organizacja czasu wolnego należy do Chudego. To po pierwsze, a po drugie... Pole makowe.

– A co ja mam, kurwa, wspólnego z polem makowym?!

– Tam, gdzie popłynąłeś, było pole makowe. Nie wolno ci było tego robić! Jest środek lata. Po prawej stronie tej pieprzonej przystani jest pole pełne dojrzałych główek maku! Oddaliłeś się poza teren ośrodka. Nie miałeś prawa. Wiesz, co się mogło stać?

– A co mnie obchodzi pole makowe?! Nie wiedziałem, że tam jest jakieś pole. Poza tym kajaki są tylko osiemset metrów stąd! Jakie oddalenie się poza ośrodek?

– Nawet gdyby były pięćdziesiąt metrów stąd, to i tak nie wolno ci wychodzić! – krzyknął Jarek.

– Ale ja skończyłem z makiem. Skończyłem z tym! Zacząłem trenować. Chcę biegać – broniłem się.

Społeczność wybuchnęła śmiechem. Jarek uspokoił sytuację i stanowczym tonem dodał:

– Nie zapominaj o robocie. Dopiero rzuciłeś heroinę. – Jarek, mówiąc te słowa, odwrócił się do Haliny. – Glajfa dla pana Górskiego – dodał.

W naszym slangu oznaczało to golenie na łyso, co miało symboliczne znaczenie. Pozbawienie włosów było nie tylko zewnętrzną oznaką przynależności do nowicjatu, ale stanowiło symbol pozbywania się demonów z przeszłości. Było jak odcinanie zarażonych grzybem konarów drzewa. Za każdym razem, kiedy ktoś łamał zasady panujące w ośrodku, najczęściej tracił włosy. Dostawał sygnał, że nie jest jeszcze gotowy na normalne życie, że nie jest wolny i w każdej chwili może wpaść w sidła starych, złych nawyków.

Usiadłem na krześle, zamknąłem oczy i czekałem, aż Halina zrobi swoje. Wiedziałem, że wokół stoją mieszkańcy Monaru i patrzą się na nas. Część z nich pewnie obleciał strach. Mogli być następni. Każdy musiał się pilnować. Ja straciłem czujność. Ze swoją skłonnością do organizowania wszystkiego za wszystkich poszedłem o jeden krok za daleko. Dostałem nie tylko karę glajfy, ale też ksywę „Prezes”.

Następnego dnia rano na zebraniu społeczności usiadłem pokornie na ziemi z błyszczącą, bladą glacją. Taki był Monar, czasami okrutny, ale jeżeli chcieliśmy wyjść z nałogu raz na zawsze, trzeba było zasypać wszystkie możliwe korytarze, którymi do tej pory poruszaliśmy się w świecie narkotyków, tak aby nigdy, kiedy będziemy już na swoim, poza murami Monaru, nie ulec pokusie. Latem, w szczycie sezonu makowego, między innymi na obozach w Sedrankach, zawieszano niektóre przywileje nawet domownikom, którzy za chwilę mieli opuszczać ośrodek, a za złamanie zakazów groziła nie tylko glajfa i powtórny nowicjat, ale nawet wyrzucenie z ośrodka. Tym razem miałem szczęście, ale przez kolejne dni dostawałem tak zwane dociążenia – dodatkowe obowiązki, najgorsze z możliwych prac porządkowych, czyszczenie kibli, sprzątnięcie po posiłkach i tym podobne zajęcia.

Mogłem dziękować losowi, że trafiłem do Monaru. W tamtym czasie tworzyły się również inne ośrodki, niemonarowskie, w których zasady były o wiele bardziej restrykcyjne, a dociążenia i metody stosowane przez wychowawców zahaczały o zachowania psychopatyczne, nigdzie

indziej nieakceptowane. Najstraszniejsze legendy krążyły o ośrodku w Bolanowie, położonym w środku lasu między Lubinem a Legnicą. Opowieści o tym, jakimi metodami się tam leczyli, były tak przerażające, że ich mieszkańców nazywaliśmy „Komandosami z Bolanowa”. W ramach terapii kazano narkomanom zanurzać się po szyję w gnojowicy, żeby uświadomić im, jak nisko upadli, jak głębokiego dna sięgnęli. Po kilku tygodniach wróciliśmy z obozu w Sedrankach, a ja coraz częściej myślałem o bieganiu, które po prawie dwóch miesiącach życia w Monarze zdążyłem polubić.

Monar to dwa lata terapii przystosowującej do życia w społeczeństwie. Niektórzy, tak jak ja, uczyli się tego od zera. Nie miałem szkoły, więc jedną z pierwszych rzeczy, jaką należało zorganizować, było liceum dla pracujących. Chodziłem tam popołudniami i uczyłem się wszystkiego niemal od podstaw. Miałem wrażenie, że wszystko w Monarze toczyło się w przyspieszonym tempie. Nie było czasu na zastanawianie się, analizę, gdybanie. Należało działać szybko i zdecydowanie. Do Monaru przyjęto mnie w czerwcu, a już we wrześniu poszedłem do szkoły. Łysy, w monarowskim drelichu, jako nowicjusz usiadłem w pierwszej ławce liceum dla pracujących. Wiele nerwów kosztowało mnie, aby w takim stanie, z podniesioną głową, usiąść w klasie między przystojnymi i ubranymi w normalne ciuchy chłopakami, z pięknymi dziewczynami, którym chciałem się podobać, a które patrzyły z niechęcią na wychudzonego narkomana, ogolonego na łyso, ubranego w coś, co przypominało strój malarza. Mój dyskomfort łagodziły nieco przerwy między lekcjami, podczas których spotykałem się z innymi mieszkańcami Monaru, którzy – tak jak ja – chcieli uzupełnić braki w wykształceniu. Spotykaliśmy się grupkami na przerwach, rozmawialiśmy i przeżywaliśmy sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Z innymi nie mogłem się integrować. Słuchacze spoza Monaru chodzili na przerwach palić, więc wolałem nie wystawiać siebie na pokuszenie. Każdy młody człowiek, w którym buzują hormony, który chce czuć się kimś ważnym, chce się podobać i imponować rówieśnikom, a musiał założyć szary drelich i ogolony na łyso usiąść w szkolnej ławce, musiał czuć się fatalnie. To było poniżające, ale uczyło pokory. Siedziałem w pierwszej ławce, miałem plecak, a w nim wszystkie książki i wszystkie zeszyty. Jak prymus. Co za zmiana! Kilkanaście lat temu siedziałem w ostatniej ławce, częściej wagarowałem, niż zaliczałem obecność na lekcjach, a kartki w zeszytach służyły mi wyłącznie do pisania miłosnych liścików do dziewczyn. Teraz nikt inny nie był tak pilnie przygotowany do zajęć jak ja. Miałem dwadzieścia dziewięć lat i byłem najstarszy w klasie. Mimo to czułem się jak uczeń, który siedzi między studentami, a oni z jednym notatnikiem do wszystkich przedmiotów przyszli zaliczyć obecność na wykładzie. Byłem w klasie liceum wieczorowego, które w latach osiemdziesiątych było postrzegane jako miejsce dla tych, którzy nie poradzili sobie w życiu. Siedziałem tam z gigantami podobnymi do mnie, którzy jeszcze kilka lat wcześniej nie chcieli chodzić do szkoły, a teraz nadrabiali zaległości. Dookoła mnie siedziało pełno młodych, pięknych dziewczyn, do których nagle dotarło, że życie nie polega na ciągłym imprezowaniu, dyskotekach i beztróskim spędzaniu czasu. Byliśmy po przejściach.

Robiłem wszystko, aby przynajmniej stworzyć wrażenie najpilniejszego ucznia w klasie. Odwrotnie niż w podstawówce i technikum, którego nigdy nie ukończyłem, teraz jako pierwszy wyciągałem książki i zeszyty, notowałem każde ważne słowo nauczycieli, wpatrywałem się w nich i kiwałem głową nawet wtedy, kiedy nic nie rozumiałem. Czyli przez większość czasu.

Nie potrafiłem pojąć najprostszych wzorów matematycznych, a poprawne pisanie w ojczystym języku nadal sprawiało problem. Wpatrywałem się z pierwszej ławki w tablicę, wyteżalem umysł i bardzo chciałem zrozumieć, co się mówi na lekcji. Spotkałem się z uznaniem nauczycieli, którzy widząc, że reszta klasy traktuje ich jak zło konieczne, mówili tylko do mnie. Polonistka patrzyła mi prosto w oczy, tłumaczyła zasady gramatyki, a ja kiwałem głową, mimo że większość z rzeczy, które omawiała, do dziś jest dla mnie czarną magią. Próbowałem nadażyć za wszystkim, co działo się dookoła mnie. Miałem ogromną satysfakcję, kiedy zaczynałem rozumieć cokolwiek z przedstawianego nam materiału. Nie, nikt w Monarze nie sprawdzał mi zeszytów i nie odpytywał z prac domowych! To była właśnie zasada monarowskiego leczenia wymyślona przez Kotańskiego. Robiłem to dla siebie. Sam przed sobą musiałem być uczciwy, bo tylko to dawało szansę na wyleczenie. Nie zwracałem uwagi na innych, na większość, która przychodziła zaliczyć formalności. Jeszcze kilka lat temu robiłbym dokładnie to samo, co oni, wtopiłbym się w tłum i podążałbym owczym pędem, żeby tylko nie patrzyli na mnie jak na dziwaka. Dzięki Kotanowi i społeczności Monaru dość szybko zrozumiałem, że jest to droga donikąd i żeby w życiu coś osiągnąć, spełnić swoje marzenia, muszę wyjść ze strefy komfortu i działać zgodnie z własną intuicją, nie oglądać się na innych, nie słuchać ich krytyki. Po lekcjach wracałem do Monaru i mimo że byłem zmęczony, szukałem nowych zajęć, czytałem, uczyłem się, rozmyślałem o przyszłości, o tym, co muszę zrobić, żeby jak najszybciej odrobić stracone lata. Ważna była każda minuta. Na bieganie zabierałem ze sobą kartki z notatkami ze szkoły i wkuwałem na pamięć wzory matematyczne, daty bitew i powstań. Rozmawiałem ze sobą i rozmyślałem o domu, o rodzinie, o tym, co będę robił za kilka lat. Biegając, układałem sobie całe życie. Wyznaczałem cele i pisałem scenariusz, jak je osiągnąć.

Za każdym razem, kiedy wracałem do ośrodka, witała mnie Służba Ochrony Monaru i polecenia, które brzmiały jak wojskowe rozkazy: zamknij oczy, otwórz, chuchnij, wywiń kieszenie. Czysty. Możesz iść. Wracałem do swojego pokoju i padałem na twarz. Zasyphiałem jak dziecko i budziłem się z coraz większą energią do życia. Zacząłem czuć więcej smaków i zapachów. Zaczynałem wierzyć, że jest inne, lepsze życie, mimo że czasami bywa potwornie ciężkie i pełne pokus, czego doświadczyłem pewnego dnia na budowie. Równolegle z nauką w liceum dla pracujących zapisałem się na kurs operatora maszyn ciężkich. Ponieważ nie miałem żadnego zawodu, stwierdziłem, że zostanę operatorem koparki – do obiadu zasady sterowania łyżą, a po obiedzie liceum dla pracujących. Oczywiście, zanim dostałem do ręki kierownicę, rowy kopałem tradycyjnym sposobem. Od łopaty porobiły mi się odciski, ale nie to było moim największym zmartwieniem. Pracowałem w towarzystwie robotników, którzy nie byli pacjentami Monaru, a więc wolno im było palić, a niektórzy pociągali z butelki nawet w godzinach pracy – peerelowski standard. Za każdym razem, kiedy czułem dym, wygłodniały, zły wilk zaczynał wyć. Czasami tak głośno, że chciało mi się krzyczeć razem z nim. Ile bym dał za papierosa! Któregoś dnia, jak tylko wybiła przerwa na śniadanie, a ta pierwsza w PRL-u zawsze zaczynała się, jeszcze zanim wybiła godzina na pracę, poczęstowali mnie fajką. Wziąłem grzecznie i odpowiedziałem, że nie mam ochoty, że będzie na później. Schowałem papierosa do kieszeni spodni i pod pretekstem wyjścia do kibla, zszedłem z placu budowy. Stałem za wychodkiem, wyciągnąłem fajkę i włożyłem do ust. Zamknąłem oczy. Dotykałem bibuły, kręciłem papierosem w ustach, przekładałem go językiem z kącika w kącik. Nie wiem,

ile sekund lub minut trwało to delektowanie się niezapalonym papierosem, ale nagle otworzyłem oczy przestraszony, wyjąłem go z ust i wyrzuciłem na ziemię, przygniatając butem. Wyobraziłem sobie, jak wracam do pokoju, a w drzwiach wita mnie Służba Ochrony Monaru. „Chuchnij”, pada polecenie, po którym kolejne pytania byłyby zbędne. Wyrzuciliby mnie z hukiem. Oblał mnie zimny pot. Wróciłem do pracy. Włączyłem samokontrolę. Wreszcie...

Coraz swobodniej wstawało mi się każdego ranka, wieczorne biegania nie męczyły już tak bardzo jak na początku. Zaczęło mi się to nawet podobać. Widziałem, jak starsi stażem pacjenci ośrodka pracują nad swoim programem monarowskim, oddając się różnym rodzajom aktywności – niekoniecznie sportowym. We mnie zaczęła odżywać uśpiona miłość do sportu z lat dzieciństwa. Uwielbiałem przecież gimnastykę i grę w ping-ponga. Nikt mnie do tego nie zmuszał i gdyby wówczas ktoś mną pokierował i odwrócił od złego towarzystwa, mógłbym zostać sportowcem. Znow byłam jak gąbka, chłonałem wszystko łączywie, zagarniałem do siebie, chciałem nauczyć się jak najwięcej, pokazać, że potrafię i jestem czegoś wart.

Następnego dnia rano zapukałem do pokoju Jarka. Nie zamierzałem się poddawać. Chciałem im udowodnić, że nie jestem cieniem. Ponieważ w ośrodku panowały żelazne reguły, a bieganie było zaplanowane tylko wieczorem, przed kolacją, postanowiłem poprosić o dodatkowy czas na bieganie rano. Chciałem jak najszybciej nadrobić zaległości. Włączyło się w mojej głowie coś, co nazwałem zegarem straconego czasu. Tykał nieustannie i coraz głośniejszy, jakby odliczając dni i godziny do śmierci albo do dnia, w którym będzie już za późno na zrealizowanie najskrytszych marzeń. Zacząłem uświadamiać sobie upływający czas i widzieć siebie za dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści lat. To było przerażające. Nie miałem żadnej szkoły, nie miałem zawodu, niczego nie potrafiłem, byłem cherlawy, bez domu, pieniędzy i przyszłości. Musiałem jak najszybciej stanąć na nogi.

– Nie ma mowy – rzucił stanowczo Jarek. – Dopóki jesteś w nowicjacie, dopóty nie masz prawa wychodzić sam z ośrodka. Wolno ci biegać tylko z mieszkańcami domu. Dostaniesz zielone światło tylko wtedy, kiedy znajdziesz sobie kogoś, kto będzie biegał z tobą.

Wyszedłem z pokoju pełen optymizmu. Skoro biegają codziennie z uśmiechem na ustach, rozmawiając cały czas ze sobą, to na pewno znajdzie się ktoś, kto będzie wstawał wcześniej rano i biegał ze mną przed śniadaniem. W czasie posiłku w stołówce głośno rzuciłem swój pomysł. Nikt nie zareagował. Nikt nawet nie spojrzął w moją stronę. Kiedy tylko skończyłem mówić, każdy wrócił do rozpoczętych wcześniej rozmów bądź spożywania śniadania w milczeniu. Moja natarczywość w nakłanianiu mieszkańców do biegania musiała być nieznośna, bo odnotowali nawet w papierach, że jestem bardzo aktywny i próbuję wciągnąć w bieganie innych. Niestety, bezskutecznie. Zostałem ze swoim problemem sam. Okazało się, że nie pierwszy i ostatni raz. Przez kilka lat pobytu w Monarze bardzo często zmuszony byłem rozwiązywać problemy na własną rękę i podejmować odpowiedzialnie decyzje, realizując zadania zlecone przez przełożonych bądź własne pomysły. Tego właśnie uczył Kotański. Chciałeś coś zrobić – daj pomysł, rozwiązanie, podejmij jakąś decyzję, oczywiście w ramach przepisów obowiązujących w ośrodku. Zacząłem myśleć, co zrobić, żeby dopiąć swego. Nie lubiłem przegrywać niezależnie od tego, czy była to walka o działkę heroiny, czy walka o piłkę na boisku.

Wyszedłem przed budynek Monaru. Tak naprawdę zrobiłem to podświadomie, bo chciałem zapalić – zawsze tak robiłem, kiedy ktoś mnie wkurwił. Jak tylko zamknąłem za sobą drzwi, dotarło do mnie, że po pierwsze, nie mam papierosów, a po drugie, nawet gdybym poprosił teraz jakiegoś przechodnia o szluga, to z hukiem wyleciałbym z ośrodka. Stałem tak na schodach i nie wiedziałem, co zrobić. Po lewej stronie był teren, który przypominał trochę ogród, ale lata

światłości miał dawno za sobą. Dookoła boiska do siatkówki i bunkra z czasów II wojny światowej, gdzie jeden z mieszkańców Monaru uprawiał pieczarki, była żwirowa ścieżka. „Całkiem jak spaceriak” – pomyślałem i nagle mnie olśniło. Przecież mogę tutaj biegać! Ten teren jest wewnątrz ośrodka, a mnie nie wolno bez pozwolenia wychodzić poza ogrodzenie. Wszedłem na ścieżkę i zrobiłem spacerem jedno okrążenie. Wyszło osiemdziesiąt pięć średniej wielkości kroków, czyli około osiemdziesięciu pięciu metrów. Wróciłem do pokoju, ale nikomu nie pisałem ani słowa o tym, co zamierzam zrobić. Ustawiłem budzik na piątą rano i położyłem się spać.

Rano, godzinę przed oficjalną pobudką, wyszedłem z ośrodka i przez kolejne pół godziny biegałem po niespełna stumetrowym kwadracie dookoła boiska do siatkówki. Bliżej godziny szóstej zauważyłem, jak w oknach Monaru zbierają się ci, którzy właśnie wstali i chcąc przywitać dzień, spoglądali przez okno. Pomachałem im ręką z uśmiechem na twarzy, chociaż, szczerze mówiąc, miałem już tego serdecznie dość. Było za wcześnie na tak duży wysiłek, a bieg ciągle przez trzydzieści minut to dla narkomana nie lada wyzwanie. Mimo to przez kolejne dni, tygodnie i miesiące konsekwentnie powtarzałem ten sam schemat: bieganie, śniadanie, praca, szkoła, bieganie, sen. Powoli się odradzałem, ale gdyby ktoś wtedy mi powiedział, co nastąpi w niedalekiej przyszłości i do jakich rzeczy będzie zdolny mój organizm, nigdy bym nie uwierzył. Tego, co za chwilę miało się wydarzyć, nie potrafili wytłumaczyć ani lekarze, ani trenerzy. Fizyczne zmiany pojawiały się bardzo szybko. Zacząłem przybierać na wadze, zyskiwać tężyznę fizyczną. Niestety wciąż nie mogłem poradzić sobie z wieloma psychicznymi aspektami uzależnienia. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie ciągnęło mnie do tego, co kiedyś robiłem codziennie. Na szczęście społeczność reagowała szybko i stanowczo. Czasami przypadki innych, którzy byli karani za łamanie zasad, sprowadzały mnie na ziemię.

Przełomowy moment związany z bieganiem miał jednak dopiero nadejść i wcale nie miał bezpośredniego związku z fizycznym doświadczeniem uprawiania sportu. Któregoś dnia z grupką mieszkańców ośrodka oglądaliśmy telewizję. Leciał jakiś sportowy program, w którym przypomniano niedawne zwycięstwo Antoniego Niemczaka w pierwszej edycji maratonu wiedeńskiego w marcu 1984 roku. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z jego istnienia, bo właśnie po raz kolejny podejmowałem próbę odtrucia organizmu i walczyłem z narkotykowym głodem. 24 marca 1984 roku, kiedy na szpitalnym łóżku telepały mną drgawki i przypinano mnie pasami, żebym nie zrobił sobie krzywdy, jeden z najlepszych polskich długodystansowców poprawił w Wiedniu rekord Polski, przekraczając metę z czasem 2:12:17. Ja oglądałem ten wyczyn dopiero cztery miesiące później, siedząc w sali monarowskiego ośrodka we Wrocławiu. Kiedy Niemczak wpadał na metę, w geście zwycięstwa wyrzucił w górę wyprostowane ręce, a mnie ze wzruszenia poleciały łzy. Żartowało się później, że to największy sukces Polaków od czasów Jana III Sobieskiego i bitwy pod Wiedniem, bo na drugim miejscu uplasował się inny sławny maratończyk, Jerzy Skarżyński, który wiele lat później tak pisał o tych zawodach: „2:12:17 Antka Niemczaka było rekordem Polski, zaś moje 2:12:37 drugim wynikiem w historii polskiego maratonu. Oba wyniki były pierwszymi minimami olimpijskimi do Los Angeles, jakie uzyskali polscy sportowcy. Wylotu do Los Angeles się nie doczekaliśmy, gdyż polityka wzięła górę nad ideą olimpizmu. Zawody zbojkotował Związek Radziecki i większość państw bloku socjalistycznego. Oficjalnie tłumaczono to absurdalnymi powodami: obawą przed smogiem

i brakiem odpowiedniego zaplecza sportowego (*sic!*). W rzeczywistości był to odwet za bojkot igrzysk w Moskwie przez Stany Zjednoczone. „To nie były czasy – jak teraz – że na starcie renomowanych maratonów staje gromada Kenijczyków i Etiopczyków, którzy w cuglach wygrywają, ale... wtedy do Wiednia zaproszono grupę Etiopczyków i Tanzaniańczyków. Od startu ruszyli «bijąc się» o prowadzenie. W efekcie po trzydziestu kilometrach – biegnąc rozsądnie – wyprzedzaliśmy ich «jak furmanki». W pokonanym polu został między innymi słynny Abebe Mekkonen, który wtedy biegał maratony na poziomie 2:08-2:10. Ukończył ten maraton na siódmym miejscu. Rzadko dzisiaj widać białych na najwyższych stopniach podium” ⁵.

Kiedy patrzyłem na uśmiechniętego Niemczaka triumfującego w Wiedniu, powiedziałem na głos:

– Ja też tak kiedyś będę przekraczał metę!

Salwa śmiechu wyrwała mnie ze świata fantazji, ale nie sprowadziła na ziemię.

– Marzenia popierdolonego narkomana – krzyknął ktoś z sali.

Zawsze wtedy, kiedy mówiono mi, że czegoś nie zrobię, bo jestem za słaby, za mało umiem, budził się we mnie demon. Zaczynałem dążyć do tego ze zdwojoną siłą.

Wykorzystując przysługującą mi przepustkę, postanowiłem pojechać do Warszawy do Polskiej Agencji Prasowej, gdzie pracował Janusz Kalinowski. Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach usłyszałem o jego istnieniu, ale fakt, że był dziennikarzem sportowym, przyjacielem Tomasza Hopfera, twórcy Maratonu Pokoju, popularyzatorem biegania i zdrowego stylu życia, spowodował, że musiałem się z nim spotkać. Musiałem pokazać niedowiarkom, że Górski będzie sportowcem i wygra kiedyś jakieś zawody, nieważne jakie, ale wygra. W niedzielę wieczorem wsiadłem w pociąg, jechałem całą noc, żeby być w PAP-ie wcześniej rano, zanim dziennikarze zaczną pracę. W portierni strażnik spojrzał na mnie groźnie, jakby chciał wzrokiem wygonić z budynku. Nie wzbudzałem zaufania i trudno mu się dziwić. Na jego miejscu zareagowałbym podobnie. Wyglądałem jak połączenie bezdomnego z kostuchą, byłem wrakiem człowieka. Każdy na ulicy patrzył na mnie jak na żula. Wyjaśniłem pokrótce, po co przyjechałem, a on pozwolił mi poczekać do dziewiątej w holu budynku. Janusz Kalinowski, wchodząc po klucze od pokoju, usłyszał od wartownika:

– Panie Januszu. Jakiś podejrzany gość na pana czeka. – Janusz obrócił się w moim kierunku i zamarł z wrażenia.

Wiedziałem, że przyszedł do pracy, więc nie będzie miał dla mnie zbyt dużo czasu, musiałem wykorzystać każdą minutę, wyrecytowałem więc szybko przygotowaną formułkę, którą powtarzałem całą noc, jadąc pociągiem:

– Panie Januszu, od piętnastego roku życia łądowałem w żyłę narkotyki, włamywałem się do aptek, lekarze powiedzieli mi, że nie mam szans na przeżycie. A ja postanowiłem, że będę biegał. Widziałem w telewizji relację z maratonu w Wiedniu. Antek Niemczak wygrał...

– No, duża sprawa. Kto tego nie widział! – przerwał mi Kalinowski z uśmiechem. – Poprawił rekord Polski, Skarżyński drugi. Polski dzień w Wiedniu – dodał.

– I tak pięknie przekraczał metę. Podniósł do góry ręce. Ja też tak kiedyś chcę...

Kalinowski spojrzał na mnie oniemiałym wzrokiem, zmierzył od stóp do głów. Bałem się, że za chwilę obróci się na pięcie i ucieknie. Nie czekając na jego reakcję, dodałem:

– Wiem, jak to brzmi. Społeczność w Monarze zareagowała podobnie. Powiedzieli, że to marzenia popierdolonego narkomana. Ale ja naprawdę chcę się leczyć...

Moja szczerość, autentyczność i otwartość zawsze działała w ten sam sposób. Kalinowski już po pięciu minutach rozmowy zaufał mi bezgranicznie.

– Poczekał tu chwilę – powiedział. – Zaraz po ciebie przyjdę, zawiozę do siebie do domu i porozmawiamy wieczorem – zdecydował po chwili namysłu.

W domu Janusza Kalinowskiego zostałem sam na kilka godzin. „Co za facet!” – zastanawiałem się, jak to możliwe, że obdarzył mnie takim zaufaniem. Narkomani w latach osiemdziesiątych kradli, byli na marginesie społecznym, budzili odrazę, a nie współczucie i chęć pomocy, a jednak Janusz zaufał mi od razu. Kiedy przyjechał wieczorem z pracy, usiedliśmy do kolacji i rozmawialiśmy o mojej przeszłości. Podtrzymywałem, że chcę zostać sportowcem i zrobię wszystko, aby tak się stało. Na drugi dzień rano poszliśmy biegać do Lasu Kabackiego, przy którym mieszkał Janusz. Piękne miejsce! O takim marzyłem, biegając po kwadratowym podwórku Monaru. Teraz miałem do dyspozycji sporej wielkości las, w którym można było wyznaczyć kilka pętli o różnej długości. Najdłuższa miała kilkanaście kilometrów, ale my wybraliśmy mniej więcej pięciokilometrową trasę – maksymalny dystans, jaki byłem w stanie wtedy pokonać. Biegliśmy szerokimi duktami wśród pięknych, ponad stuletnich dębów, buków i sosen. Nigdy nie przypuszczałem, że zacznę doceniać tak zwyczajne rzeczy, spoglądać na otaczający mnie świat oczami dziecka, które co rusz doświadcza nowych zjawisk i potrafi się z nich autentycznie cieszyć.

Biegliśmy bardzo spokojnie. Mogliśmy swobodnie rozmawiać, a takie tempo, najlepsze dla początkujących, które nie powoduje zadyszki i umożliwia wypowiedzianie pełnych zdań nazywa się w żargonie biegaczy „tempem konwersacyjnym”. Widziałem, że Janusz bardzo sceptycznie podchodzi do moich zapewnień, że potrafię już przebiec kilka kilometrów bez zatrzymywania się, spodziewał się raczej marszobiegu i musiałem go nieźle zaskoczyć, kiedy trzymałem rytm i ani razu się nie zatrzymałem. Przebiegliśmy tak około pięciu kilometrów, rozmawiając o mojej przeszłości.

– Nie możesz tego ukrywać, Jurek – powiedział Janusz. – Nie możesz się wstydzić swojej przeszłości i tego, jak wielkie świństwa wyczyniałeś. Musisz być żywą reklamą tego, że można się podnieść z największego gówna, a przede wszystkim masz obowiązek nieść przesłanie, że narkotyki są złem i mogą doprowadzić do śmierci. To twoja misja. Wracaj i mów wszystkim, że sport daje satysfakcję i zdrowie.

Od Janusza Kalinowskiego dostałem w prezencie swoje pierwsze prawdziwe buty sportowe firmy Etonic. Wyjął nowiutkie z szafy i wręczył mi tuż przed moim odjazdem. Byłem zszokowany, że oddaje mi nowe buty, a sam biega w używanych. Dostałem też kilka najważniejszych wskazówek, jak mam trenować, oraz wspaniałą książkę napisaną przez współtwórcę warszawskiego Maratonu Pokoju Zbigniewa Zarębę – *Poradnik maratończyka*. Niemal całą przeczytałem, wracając pociągami do Wrocławia. Sięgałem po nią wiele razy i była to pierwsza książka, z której czerpałem wiedzę o bieganiu. Ale człowieka, który w bieganiu dał mi najwięcej, miałem dopiero poznać.

MISTER FIRST PLACE (Wrocław, 1984)

Szukałem wolności, byłem spętany niemocą i ograniczeniami, które wynikały z lat zaniedbań. Chwytałem się wszystkiego, co w danym momencie wydało mi się wartościowe, szlachetne i podziwiane przez innych. Czytałem wszystko, co się dało, na temat sportu, metodyki treningu i zdrowego żywienia. Kilka dni po powrocie z Warszawy wpadła mi w ręce gazeta „Sportowiec”, w której przeczytałem artykuł na temat Antoniego Niemczaka. Patrzyłem na jego zdjęcia, kiedy z uniesionymi wysoko rękami przekraczał metę. W Wiedniu był pierwszy, ale wiele bardzo silnie obsadzonych biegów kończył na drugim miejscu, przez co nazywano go Mister Second Place. Dla mnie był Mister First Place. Był gwiazdą. Był kimś. Ja byłem nikim – naćpanym chłopcem z Monaru, który ubzdurał sobie, że zacznie biegać i zostanie sportowcem. Skuteczne dotarcie do Kalinowskiego i otrzymana od niego pomoc upewniły mnie, że jeśli czegoś bardzo pragnę i jestem zdeterminowany, to potrafię to zdobyć. Za wszelką cenę postanowiłem spotkać się z gwiazdą polskich biegów długodystansowych. „Skoro Janusz nie przepędził mnie na cztery wiatry i zgodził się ze mną porozmawiać, to może uda mi się osiągnąć to samo, odwiedzając Niemczaka?” – pomyślałem, wpatrując się w fotografię, która stała się najważniejszym zdjęciem sportowym w moim życiu. Zdeterminowała wszystko. Uniesione ręce Niemczaka w geście zwycięstwa na mecie w Wiedniu wywarły na mnie tak potężne wrażenie i obudziły taką tęsknotę za uczuciem sportowego spełnienia, że od tego momentu nic już nie było takie samo. Zaprzagnąłem przekroczyć metę dokładnie w taki sam sposób jak Antek. Dlatego postanowiłem go odnaleźć i poznać. Stwierdziłem, że skoro chcę biegać, brać udział w zawodach i coś w życiu jeszcze udowodnić, muszę uczyć się od najlepszych, a tych, jak się okazało, miałem pod nosem.

Antoni Niemczak był zawodnikiem Śląska Wrocław i trenował zaledwie trzy kilometry od ośrodka Monaru. Decyzję, żeby go tam odwiedzić, podjąłem natychmiast. Niemal zawsze działałem zgodnie z intuicją i emocjami. Jeżeli do głowy wpadała mi myśl, od której robiło się ciepło i skakała adrenalina, wchodziłem w to i nie zastanawiałem się nad potencjalnymi konsekwencjami. Pojechałem na stadion. Zawodnicy właśnie skończyli trening. Biegałem na prawo i lewo, szukając kogokolwiek, kto mógłby mi wskazać, gdzie znajduje trenera i zawodników. Jakiś żołnierz, bo był to klub wojskowy, wskazał mi drogę do szatni i wpadłem wprost na samego Jana Fusa, trenera Antoniego Niemczaka. W kilku słowach przedstawiłem się i powiedziałem, że muszę porozmawiać z jego zawodnikiem.

– Potrzebuję kilku minut. Proszę – błagałem trenera.

Nie wiem, co by się stało, gdyby wówczas Jan Fus potraktował mnie jak naćpanego intruza i przegonił ze stadionu. On jednak popatrzył na mnie, chwilę milczał, po czym wrócił do szatni i powiedział:

– Ktoś do ciebie przyszedł.

– Kto? – zapytał Antoni.

– Nie mam pojęcia. Jakiś facet, dziwnie wygląda.

Antoni Niemczak właśnie skończył bardzo mocny trening. Wyszedł na zewnątrz i zobaczył młodego człowieka z podkrążonymi oczyma, wyglądającego jak na niezłym kacu. Jak później opowiadał, w pierwszej chwili myślał, że przyszedł do niego jakiś bezdomny prosić o parę groszy na chleb, ale kiedy zacząłem bardzo otwarcie i szczerze mówić o sytuacji, w jakiej się znalazłem, Antek od razu obdarzył mnie zaufaniem. Podobnie jak podczas spotkania z Januszem Kalinowskim w Warszawie, tak i teraz wyrecytowałem:

– Kilkanaście lat ćpania, klej, morfina, kodeina, heroina, psychiatryk, więzienie, alkohol, sto papierosów dziennie...

Słuchał i nie dowierzał. Widziałem, jak z każdym zdaniem, które wypowiadałem, jego oczy robią się coraz większe. Oszołomiony rozdziawił buzię, przeciągnął dłonią po swojej bujnej czuprynie i... milczał. Ja strzelałem słowami jak z karabinu maszynowego. Poprosiłem go tylko o jedno – sporadyczną pomoc w treningach. Chciałem, żeby zgodził się na moje wizyty na stadionie, przyglądanie się jego treningom, a jeżeli będzie miał kilka minut wolnego, na udzielenie wskazówek, jak i ile mam biegać, aby stać się zawodnikiem. Kiedy skończyłem, zapadła niezręczna cisza. „No tak, pewnie wprawiłem go w takie zakłopotanie, że chłop nie wie, co powiedzieć. Kurwa, Górski, zawracasz ludziom głowę, jakby nie mieli swoich problemów” – zacząłem mieć powoli wyrzuty sumienia. Antoni zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu, jak każdy, kto ze mną rozmawiał. Nie mógł uwierzyć, że to „coś” chodzi po świecie. „Wiem, już dawno powinienem wachać kwiatki od spodu” – pomyślałem. „Ale się nie dałem. Uparty jestem” – rozmawiałem ze sobą w myślach, czekając na reakcję Antka.

– Nie mamy na co czekać. Nie ruszaj się stąd – odpowiedział nagle. – Zaraz do ciebie przyjdę i pojedziemy do mnie do domu – dodał, a mnie wbiło w podłogę.

Myślałem, że dostanę kilka wskazówek i uścisk dłoni na korytarzu, a sam mistrz zabiera narkomana do swojego domu?! Kolejny szalony człowiek, który mi uwierzył i nie wyrzucił na zbity pysk. „A może Kalinowski do niego zadzwonił?” – pomyślałem. „Nie, to niemożliwe, przecież nie mówiłem mu, że będę chciał odwiedzić samego Niemczaka”. Nie mogłem w to uwierzyć. Łzy napłynęły mi do oczu, ale starałem się nie okazywać wzruszenia.

Kiedy weszliśmy do mieszkania, sportowiec przedstawił mnie swojej żonie Natalii, zaproponował obiad i zaczęliśmy rozmawiać. Zaczął mnie wypytywać o szczegóły. Obiecałem sobie, że od początku będę mówił szczerą prawdę. W efekcie sypałem takimi faktami z mojego życia, że Antoni chyba nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. Z reguły mało kto wychodził z takich historii. Większość tych, którzy ćpali na takim poziomie jak ja, kończyła w grobie. Antoni chwilę milczał, patrzył na mnie jak na zjawisko, które trzeba wstawić do gabloty i pokazywać ludziom jako przestrożę przed nieodpowiedzialnym zachowaniem, narkotykami, alkoholem, papierosami i całym tym syfem peerelowskiej rzeczywistości, która podcinała ludziom skrzydła. Wstał z fotela, spojrzał na moją stopę i bez słowa wyszedł do przedpokoju. Po chwili wrócił, podając mi sportowe buty do biegania. Nowiutkie najki! „Boże, mam kolejne buty do biegania! Poszaleli czy co?!” Antek w żadnym momencie naszej rozmowy nie próbował moralizować. Nie wspomniał ani słowem o tym, jak bardzo sobie szkodziłem, biorąc narkotyki, że muszę zrobić wszystko, żeby z tego wyjść. Wiedział, że słuchałem tego setki razy. On po prostu wstał i położył przede mną narzędzie, które miało mnie raz na zawsze wyciągnąć z nałogu.

– To pozwoli ci wyjść na właściwą drogę. A raczej wybiec. – W głosie Niemczaka nie było cienia wątpliwości, powiedział to tak, jakby przewidywał przyszłość, jakby wiedział, że tylko

sport i zdrowe uzależnienie uratują mi życie.

– Kiedy idziemy biegać? – zapytałem niemal natychmiast po tym, jak chwyciłem buty.

Antoni uśmiechnął się i powiedział:

– Ty się najpierw naucz oddychać.

Do Monaru wracałem z takim samym entuzjazmem, z jakim wcześniej włamywałem się do aptek. Tylko teraz zamiast czekać na kolejny strzał, czekałem na kolejne pięć kilometrów biegu.

Moje pierwsze treningi, z punktu widzenia profesjonalnego biegacza, musiały wyglądać śmiesznie. Człapałem, miałem skrócony oddech, raczej przesuwałem się w szybkim tempie, niż biegłem poprawnie technicznie. Dopiero po pół roku byłem w stanie pokonać dziesięć kilometrów bez zatrzymywania się. Ale chciałem więcej, byłem niecierpliwy jak zawsze. Kiedy ładowałem w żyłę, robiłem to nawet na podłodze apteki, do której się włamałem. Nie chciałem czekać i potrafiłem ryzykować zatrzymaniem przez milicję na gorącym uczynku. Ale wtedy liczył się narkotyczny odlot. Teraz czułem, że muszę jak najszybciej nadrobić stracony czas. Miałem trzydzieści lat i zobaczyłem, jak wiele wspaniałego życia zabrały mi narkotyki i alkohol, jak wiele możliwości przeszło mi koło nosa tylko dlatego, że wybrałem towarzystwo ludzi, którzy skupiali się jedynie na zaspakajaniu prymitywnych instynktów, nie chcieli walczyć, szli na łatwiznę, poddawali się po pierwszych niepowodzeniach albo odkładali coś na zaś, na jutro. Jutro – to słowo w czasie mojego największego uzależnienia powtarzałem na okrągło. Częściej słychać było z moich ust tylko przekleństwa. Od jutra zaczynałem leczenie. Od jutra rzucałem palenie. Od jutra kończyłem z pić. Każdy, kto chce wygrać z nałogiem, musi sobie uzmysłowić, że nie należy wyznaczać żadnej cezury czasowej. Trzeba z tym zerwać natychmiast. Natychmiast, kiedy przyjdzie pomysł na powrót do normalności, trzeba zacząć realizować pierwsze postanowienia, nie czekając na poniedziałek lub Nowy Rok.

Antoni Niemczak uczył mnie pokory i uzbrajał w cierpliwość. To była dobra taktyka, bo ja zachowywałem się jak dziecko. Wszystko chciałem na zawołanie, nie przyjmowałem argumentów, że czegoś nie można zrobić od razu. Miałem pretensje, że nie widać wyników, mimo że przecież nie palę, nie piję, nie biorę narkotyków. Nie docierało do mnie, że wszedłem do świata sportu jako ten, który przed momentem spoglądał śmierci w oczy. Kiedy Antek mówił, żebym pobiegał pięć kilometrów, ja biegałem dziesięć. Wszystko robiłem razy dwa. Czasami ludzie predysponowani do uprawiania sportów wytrzymałościowych czekają długie lata na swoje pięć minut, a ja w swojej naiwności i z moim brakiem pokory myślałem, że będę biegał jak Niemczak. Poczulem, że wreszcie mam coś, w czym mogę być dobry, a co jest społecznie akceptowane, budzi respekt i podziw. Nie chciałem już słuchać wulgaryzmów, jak wtedy, kiedy zataczałem się na ulicy i życzone mi więzienia, a nawet śmierci. To zadziwiające, jak szybko z funkcji społecznego degenerata wszedłem w rolę sportowca. Człowiek jest niezwykle machiną.

Od czasu do czasu towarzyszyłem Antoniemu Niemczakowi w treningach, oczywiście w roli obserwatora. Któregoś dnia maratończyk, widząc moją determinację i poświęcenie, powiedział zdanie, które zapamiętam do końca życia, a które za kilka lat miało się urzeczywistnić:

– Spokojnie, Jurek, kiedyś stworzę ci takie warunki do trenowania, jakie mają najlepsi zawodnicy na świecie.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, jak i kiedy zamierza to zrobić, a przede wszystkim nie mogłem uwierzyć w to, że chce to zrobić dla mnie. Dla nieznanego człowieka z ulicy, który

jeszcze kilka miesięcy wcześniej brał heroinę i palił prawie sto papierosów dziennie. Wydawało mi się to tak nierzeczywiste jak zdobycie mistrzostwa olimpijskiego. Poza tym przecież on sam nie miał takich warunków, o jakich marzył. Nie trenował w wysokich górach, gdzie najlepiej można przygotować się do bicia rekordów w maratonie, nie mieszkał w ciepłym klimacie i nie miał zapewnionych takich możliwości, jakie mieli jego koledzy z Zachodu.

Z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień coraz bardziej żywałem się ze swoim idolem. Stałem się częścią rodziny Niemczaków. Byłem im bardzo wdzięczny za to, że mnie nie przekreślili. Równie dobrze w szatni wojskowego klubu Śląsk Wrocław mogło się skończyć na ciepłych słowach i uścisku dłoni, kurtuazyjnej rozmowie, przekazaniu kilku wskazówek treningowych. Cześć i pa! To by było na tyle. Zamiast tego dostałem wszystko, o czym marzyłem. Na własnej skórze doświadczyłem, ile zależy od ludzkiej wrażliwości, intuicji i serca. Gdybym nie spotkał na swojej drodze jednego z najlepszych maratończyków świata, który zaufał mi i zdecydował się pomóc, moje losy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Ta sytuacja pokazała mi również, że zawsze trzeba podążać za swoimi marzeniami, nie bać się podejmować ryzykownych decyzji ani tych, które mogą narazić nas na śmieszność. Przecież już na dzień dobry mogłem zostać wyśmiany przez trenera Jana Fusa, ale ten z nieznanym mi powodów postanowił przekazać swojemu najlepszemu zawodnikowi moją prośbę o spotkanie. Niepodjęcie próby zrealizowania nawet najbardziej szalonego pomysłu jest dużo większym błędem niż porażka, której moglibyśmy doświadczyć. Jakież ma ona znaczenie w sytuacji, kiedy możemy stać się uczestnikami wielkich rzeczy? A takie miały za chwilę wydarzyć się w moim życiu.

Antidotum na uzależnienie jest znalezienie innego uzależnienia. Terapeuci powiedzieliby, że każde uzależnienie jest złe. Zgoda. To rozumiane zgodnie ze słownikami medycznymi jest złe, bo każde takie przynosi stratę i cierpienie. Ale oksymoron „zdrowe uzależnienie” najlepiej opisuje to, w jakiej sytuacji się znalazłem. Przestałem ćpać i znalazłem nowy cel w życiu – sport i bieganie. Zdrowo się od niego uzależniłem! I nie tylko od niego!

Chwytałem się każdej rzeczy, jaką mi proponowano, sypałem pomysłami na prawo i lewo, byłem jak sucha gąbka, którą ściśnięto i włożono do wielkiej wanny. Mógłbym z niej wypić całą wodę! Zaczynałem się uśmiechać i nie mogłem się doczekać kolejnego dnia. Tak jak przez ostatnie lata nie mogłem zasnąć targany narkotycznym głodem, tak teraz nie chciałem zamykać oczu, żeby nie tracić ani sekundy. Miałem poczucie, że czas ucieka dwa razy szybciej i za chwilę nie zdążę zrobić żadnej z tych wspaniałych rzeczy, które rodziły mi się w głowie.

Któregoś dnia zobaczyłem w telewizji relację z zawodów triathlonowych. Nie miałem pojęcia, co to za dyscyplina sportowa, ale spodobała mi się jej różnorodność. Zawody, które pokazywano w telewizji, były jakąś niestandardową odmianą triathlonu, o czym wspomniano w relacji, bo zamiast pływania na początku było kajakerstwo. Jednak informacja, która zaciekała mnie najbardziej, dotyczyła klasycznego dystansu, który pokonywało rocznie tylko kilkudziesięciu śmiałków na całym świecie. Ironman. Człowiek z żelaza. Żeby zasłużyć na to miano, trzeba najpierw przepłynąć prawie cztery kilometry, później niemal natychmiast wsiąść na rower i przejechać sto osiemdziesiąt kilometrów, a na koniec czekało wyzwanie, które dla wielu ludzi jest największym sportowym sprawdzianem – maraton, czyli czterdzieści dwa kilometry sto dziewięćdziesiąt pięć metrów biegu. „Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach jest w stanie to pokonać?” – pytałem sam siebie i powtarzałem po cichu trzy słowa: „Pływanie, rower, bieg.

Pływanie, rower, bieg. Nie umiem pływać. Nie mam roweru. Kiepsko biegam. Może coś z tego będzie” – uśmiechnąłem się do siebie.

Na początek jednak postanowiłem skupić się na bieganiu. W „Wieczorze Wrocławia” przeczytałem, że w mieście odbędzie się maraton. Kiedy Antek Niemczak usłyszał, że chcę w nim wystartować, uśmiechnął się. Ale nie protestował, nie udowadniał mi, że to szalony i niebezpieczny pomysł dla kogoś, kto jeszcze niedawno ćpał heroinę. Jego reakcja była raczej zaskoczeniem, a na twarzy rysowało się pytanie: „Czy tego gościa naprawdę popierdoliło?”. Wiedział jednak, że nic mnie nie powstrzyma przed tym, aby stanąć na linii startu i udowodnić, że zmartwychwstałem. Byłem pierwszym w Polsce monarowcem – narkomanem, któremu przyszedł do głowy pomysł wystartowania w ulicznym biegu na dystansie czterdziestu dwóch kilometrów. Nigdy nie przebiegłem więcej niż dziesięć. Co prawda po ponad półrocznym pobycie w ośrodku radziłem sobie z bieganiem już całkiem nieźle, trenując dwa razy dziennie, ale maraton? To brzmiało trochę tak, jakby alkoholikowi spod budki z piwem powiedzieć, żeby wszedł na stadion i przebiegł żwawym tempem chociaż jedno kółko. Umarłby. Że też w owym czasie nikt nie zaprotestował przeciwko mojemu pomysłowi! Nie miałem zrobionych żadnych, nawet najprostszych badań, nie mówiąc o wydolnościowych. Po prostu zobaczyłem reklamę maratonu w gazecie, a argumentem, który zdecydował o tym, że wpiszę się na listę startową, był fakt, że trasa biegu prowadziła obok wrocławskiego Monaru! Nie mogłem tego nie wykorzystać. Chciałem pokazać, jak jestem dobry, jak szybko wyszedłem z psychicznego i fizycznego uzależnienia.

Antek podpowiadał mi, jak mam trenować, a ja wykorzystywałem każdą wolną chwilę na bieganie. Trenerskimi radami dzielił się ze mną również Jan Fus. W Maratonie Ślęzan, jak nazwano maraton wrocławski, wystartowałem 5 maja 1985 roku, po prawie rocznym pobycie w Monarze. W ośrodku łapano się za głowy ze zdziwienia, jak to możliwe, że po niespełna dwunastu miesiącach treningu człowiek tak bardzo uzależniony od narkotyków i nikotyny potrafił się zregenerować i przygotować na wysiłek, który dla wielu zdrowych i w miarę aktywnych ludzi jest niewyobrażalnym osiągnięciem. Ja z kolei nie sądziłem, że będzie tak bolało. Szczególnie w drugiej połowie dystansu.

Początek był całkiem przyjemny. Stałem na linii startu, wśród kilkuset biegaczy i czułem się jak nowo narodzony. Tylko ktoś, kto umierał od narkotyków, próbował odebrać sobie życie i czuł społeczny ostracyzm, może zrozumieć, jak się wtedy czułem. Nikt nie wytykał mnie palcami, chociaż momentami patrzono na mnie dziwnie, bo minął dopiero rok od rozpoczęcia terapii i jeszcze widać było po mnie, że nie jestem w pełni zdrowym człowiekiem. Blizny na ciele, wystające kości policzkowe i nieprawdopodobnie chude ciało mogły budzić przerażenie. Ale stałem w tłumie pozytywnie zakręconych ludzi, których powoli zaczynałem rozumieć.

Bieg pod nazwą Maraton Ślęzan był bardzo młodą imprezą, bo organizowaną dopiero po raz trzeci. Na starcie pierwszego maratonu stanęło tylko stu trzydziestu jeden zawodników. Dwa lata później było ich już trzystu osiemnastu, a wśród nich ja. Trasa, jaką mieliśmy do przebiegnięcia, prowadziła z miejscowości Sobótka do Wrocławia. Spotykaliśmy się z bardzo ciepłym przyjęciem. Gospodynie z okolicznych wsi ustawiły na trasie biegu stoły, na których były świeżo upieczone ciasta, woda do picia, a także woda w miskach do schłodzenia ciała. Ochotnicza Straż Pożarna zapewniała nam prysznice wprost ze strażackich węży. Atmosfera była wspaniała. Do trzydziestego kilometra. Nikt mi wówczas nie wbił do głowy jednej z podstawowych zasad biegania długich dystansów, która mówi o tym, że pierwszą jego część biegnie się wolniej niż drugą. A nawet jeśli Antek Niemczak lub Jan Fus o tym wspomnieli, to nie pamiętałem. Trafiłem

na ścianę, czyli moment najczęściej między trzydziestym a trzydziestym piątym kilometrem biegu, w którym biegacze mają potężny kryzys, mięśnie odmawiają posłuszeństwa, wszystko boli i tylko silna wola pomaga go przetrwać. Szedłem. Moje ciało nie było w stanie biec, mimo że głowa bardzo chciała. Ale znalazłem sposób na walkę ze słabościami, bo przecież nic tak nie bolało jak narkotykowy głód. W myślach porównywałem obie sytuacje i powtarzałem sobie, że nie takie cierpienia przechodziłem. Kiedy przebiegaliśmy obok Monaru, przywitała mnie cała społeczność, kibicując tak szczerze, że wyprostowany i uśmiechnięty przemknąłem obok nich, jakby maraton dopiero się rozpoczynał. Za rogiem znów pokornie przeszedłem do marszu. Metę przekroczyłem w doskonałym czasie jak na kogoś, kto biegał zaledwie od roku oraz miał narkomańską, alkoholową i nikotynową przeszłość. Ten czas był kosmiczny! 3:54:38. Tak, to nie jest pomyłka w druku. Trzy godziny, pięćdziesiąt cztery minuty i trzydzieści osiem sekund. Miejsce na mecie: dwieście trzydzieste czwarte w klasyfikacji generalnej, a dziewięćdziesiąte drugie w kategorii wiekowej.

Nikt tego nie potrafił wytłumaczyć. Jak się okazało, a co potwierdzały kolejne wyniki w zawodach biegowych, a później triathlonowych, miałem wydolność konia wyścigowego i gdyby nie lata wyniszczającego nałogu, z pewnością mógłbym zostać profesjonalnym zawodnikiem osiągającym najwyższe cele. Ale miałem trzydzieści lat i przygodę ze sportem zaczynałem w momencie, gdy większość zawodowych sportowców była już w szczytowym etapie kariery.

Maraton Ślęzan dał mi powód do dumy i nadzieję. Skoro część z czterdziestu dwóch kilometrów szedłem, część pokonywałem marszobiegiem, a i tak uzyskałem czas poniżej czterech godzin, to zakładałem, że systematyczny trening powinien dać mi ogromny progres już w kolejnym roku. Podnosiłem poprzeczkę. Nie zatrzymywałem się. Byłem jak rozpędzający się pociąg, który swoją docelową prędkość rozwija dopiero po minięciu podmiejskich stacji. Ponieważ skończyłem już etap nowicjatu i uzyskałem status domownika, mogłem częściej wychodzić z ośrodka. Zapisalem się na lekcje pływania i kilka razy w tygodniu, najczęściej rano, chodziłem na basen przy ulicy Teatralnej we Wrocławiu. To było koszarne doświadczenie. Uczyłem się pływać od zera. Trzydziestoletni dziadek wchodził do basenu i rozpaczliwie machał rękoma, próbując utrzymać się na powierzchni. To doświadczenie nauczyło mnie, że nie wolno narzekać, że jest się za starym na rozpoczęcie przygody z jakimkolwiek sportem. W życiu nigdy na nic nie jest za późno. Ulegamy szablonowym i stereotypowym zachowaniom, wpadamy w tak utarte tory przeciętności, że czasami trzeba w wulgarny sposób, dosadnym językiem, jakiego używał Marek Kotański, dać do zrozumienia, że czas po prostu przestać pierdolić i szukać wymówek, pora podjąć konkretną decyzję i zabrać się do ulepszania swojego życia, bo nikt za nas tego nie zrobi. Nie jutro, nie później, nie kiedyś, ale natychmiast. Życie jest i długie, i stosunkowo krótkie jednocześnie. Długie na tyle, że zawsze jest czas na robienie wspaniałych rzeczy, a krótkie dlatego, że kiedy zaczniemy je w końcu realizować, czas ucieka nam za szybko. Właśnie tak czułem się zimą 1985 roku, kiedy rozpocząłem naukę pływania. Żeby lepiej poznać technikę poszczególnych stylów, nie tylko pytałem o rady ratowników i każdego, kto poprawnie pływał kraulem, ale też nabierałem powietrza i nurkowałem na samo dno basenu, skąd podglądałem, jak pływają kilkuletnie dzieci z sekcji pływackiej: jak układają ręce pod wodą, jak pracują nogami i biodrami, jak oddychają i układają głowę. Byłem tak zdeterminowany, że chwyciłem się każdego sposobu na wyjście ze sportowego analfabetyzmu.

TEN CHUJ KOTAŃSKI (Wrocław, 1986)

Nie wiem, co to znaczy dobry wychowawca, ale gdybym miał na to odpowiedzieć, to wyraziłbym się tak: jest to człowiek otwarty na innych i na siebie, kochający mądrze ludzi, umiejący powiedzieć ostro, co sądzi o danym postępowaniu, prostolinijny, nie noszący w sobie urazów, gotowy do szukania winy w sobie, a nie w innych.

*Ty zaraziłeś ich narkomanią,
Marek Kotański*

Jednym z etapów leczenia w Monarze było układanie na nowo rodzinnych relacji. Wyjeżdżałem już na przepustki do domu, w czasie których pomagałem mamie, odwiedzałem też leczących się w szpitalu narkomanów. Wspierałem ich w czasie detoksu i przygotowań do leczenia, szykując sobie w ten sposób grunt na moje odejście z Monaru. Pewnego dnia na przepustce spotkałem dawnych znajomych – kilku kumpli, z którymi kiedyś ćpałem, ale byli wśród nich również pospolici przestępcy i mafiozi, którzy trzęśli całą Legnicą. Nasze przypadkowe spotkanie przy jednym ze sklepów, do którego wybrałem się po zakupy dla mamy, było kurtuazyjną rozmową, którą przeprowadza się zwykle z kimś, kogo nie widziało się przez długi czas, a z kim niespecjalnie chce się utrzymywać kontakty. Miałem już nowe życie, budowałem przyszłość bez nałogów, bez szemranego towarzystwa i szczerze nienawidziłem okresu sprzed kilkunastu miesięcy. Czułem, że nikt i nic nie jest w stanie zakłócić kursu, jaki obrałem. W Monarze mieli na to inne spojrzenie. Kiedy wróciłem z przepustki, mieszkańcy domu szykowali go właśnie na przyjęcie gości z okazji kolejnej rocznicy powstania naszego ośrodka. Tego dnia zjechało się do Wrocławia sporo osób z całej Polski, mieszkańców innych domów. Był również Marek Kotański. Impreza trwała w najlepsze, kiedy nagle moją pogawędkę z miłą dziewczyną przerwał dźwięk dzwonu. „Co u licha?” – pomyślałem. „Dzisiaj? W takim momencie ktoś zwołuje społeczność? Ciekawe, w jakiej sprawie?” – rozmyślałem, idąc do sali, w której miało odbyć się zebranie. Pozostali goście, którzy nie mieli nic wspólnego z naszym ośrodkiem, bawili się dalej, a wszyscy mieszkańcy wrocławskiego Monaru posłusznie skierowali się na piętro budynku. Byłem już starym wygą, który miał swój fotel w sali, program monarowca, a za chwilę miałem opuścić społeczność i rozpocząć samodzielne życie na zewnątrz. Nikt nie mówił „na wolności”, bo kojarzyło się to z więzieniem, a Monar nigdy, nawet w swoich najbardziej ortodoksyjnych czasach, nie był więzieniem. Zawsze można było z niego wyjść i nie wracać. Mieszkali w nim tylko ci, którzy chcieli się leczyć. Nie sądziłem, że kolejna lekcja będzie dotyczyć mnie. Jak grom z jasnego nieba spadła na mnie informacja, że to właśnie w mojej sprawie rozległo się bicie dzwonu. Przekazał ją Jarek, a Marek Kotański cały czas był obecny w sali. Stał pod ścianą i wszystkiemu się przysłuchiwał.

– Jurek. Słyszałem, że masz problemy! – zaczął Jarek. – I nic nikomu o tym nie mówisz! To prawda?

– Jakie problemy?! – Zerwałem się z fotela, protestując całym sobą.

– Właśnie się dowiedziałem, że widzieli cię na przepustce, jak spotykasz się z narkomanami i przestępcami – wyjaśnił. – Dlaczego nic nam o tym nie powiedziałaś?

– Jakie spotkania?! Kurwa mać! – rzuciłem ze złością, przeczuwając dalszy ciąg wydarzeń.

Wulgaryzmy nikomu w ośrodku nie były obce. Podczas terapii sypały się gęsto, a najbardziej przeklinał Kotan, chociaż zawsze uczył nas, żeby tego nie robić. Przekonywał, że w normalnych warunkach przeklinanie jest dowodem braku dobrego wychowania i znajomości pięknej polszczyzny. Twierdził, że mogą sobie na to pozwolić tylko ci, którzy na jedno wulgarne słowo znajdują dziesięć zamienników, niebędących przekleństwami. Zresztą często nam to demonstrował. Nie tym razem.

– No i masz, kurwa mać, jakąś odpowiedź czy nie? – dopytywał, kiedy stałem pod ścianą jak wryty.

– Przypadkowo spotkałem starych kumpli, kiedy wracałem ze sklepu – powiedziałem. – Zamieniliśmy kilka słów i tyle...

– Nie wolno! – przerwał mi Jarek, podnosząc głos. – Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? Nie wolno na wolności spotykać się z narkomanami, złodziejami i przestępcami, nie wolno z nimi rozmawiać i utrzymywać kontaktów! To prosta droga do powrotu do nałogów.

– W ogóle mnie to nie rusza. Narkotyki to zamknięty rozdział w moim życiu. Ja już do tego nie wrócę! Koniec! – podkreśliłem to tak mocno, jak tylko umiałem.

– Powiedziałaś im, że nie będziesz się z nimi spotykał? – zaskoczył mnie pytaniem Jarek.

Zamilkłem. Spuściłem tylko głowę, kręcąc przecząco i rozkładając ręce w geście niezrozumienia.

– Trzeba było mieć odwagę, aby to uciąć! – krzyknął Jarek. – Odwagę, aby starym kumplom powiedzieć: „Spierdalajcie! Nie chcę mieć z wami nic wspólnego”. Czy ty rozumiesz, o co tu chodzi?

Nigdy nie widziałem go tak wściekłego. Jarek nagle zatrzymał się na środku sali, spojrzał na mnie piorunującym wzrokiem i zawołał:

– Dlaczego nie powiedziałaś, że się z nimi widziałaś?!

– Nie wiem, kurwa! Nie wiem! To była chwila. Spotkałem ich, jak wracałem ze sklepu z zakupami dla mamy. Zagadnęli, to się zatrzymałem. Poza tym... Kurwa, to byli moi kumple, znaliśmy się od lat! Co miałem zrobić? Przejść obok nich obojętnie?

– Jurek, ty coś ukrywasz! Masz z nimi pewnie stały kontakt, co?

Tego było już za wiele. Miałem ochotę rozszarpać Jarka za tę prowokację. Zrobiłem tylko dwa kroki w jego stronę i wykrzyczałem najgłośniejszym jak potrafię:

– Nie, kurwa! Uwierzcie mi, że dla mnie jest to rozdział zamknięty! Rozumiecie?

– A pieniądze? Ile dostałeś?

Zdębiałem. Nie wiem, skąd to wiedzieli. Faktycznie, kilku narkomanów wisiało mi jakąś kasę jeszcze z czasów, kiedy handlowaliśmy. Przypadkowe spotkanie było okazją do tego, żeby im o tym przypomnieć i odebrać dług.

– Szpiegujecie mnie, kurwa? Co to jest? SB jakieś czy co? – pytałem wściekły.

– Musisz im powiedzieć, że kończycie znajomość – zażądał Jarek. – Tylko tak zabezpieczysz się przed powrotem do tamtego świata. To jest prawdziwe leczenie, którego najwidoczniej jeszcze nie rozumiałeś.

Tego było za wiele! Miałem ochotę wyjść i nie wracać więcej do tego miejsca. Miałem zerwać wszystkie kontakty na wolności? „Przecież to absurd” – myślałem, stojąc w sali i nie do końca wiedząc, co mam teraz zrobić. Zapanowała potworna cisza, od której huczało mi w głowie.

Kotański stał dalej przy ścianie. „No, niech mi, kurwa, teraz pomoże!” – błagałem w myślach. „Przecież to on jest sprawcą całego tego zamieszania”. Kotan, zamiast dać rozwiązanie, zapytał nagle:

– Jurek, co możesz zrobić dla tej sprawy?

– Jak to co? Mówiłem już, że kompletnie mnie to nie rusza. Jeżeli spotykam starych znajomych, mówię cześć i idę swoją drogą – odpowiedziałem buńczucznie.

Kotański spojrzął po sali. Zatrzymał dłużej wzrok na liderze, po czym obrócił się do mnie powoli i rzucił:

– Rozbieraj się.

Nie rozumiałem, co do mnie powiedział.

– Po co? – zapytałem zdziwiony.

– Rozbieraj się. Dostaniesz drelich i zaczynamy od początku – oznajmił Kotański.

Dopiero wtedy dotarło do mnie, o czym on mówi. Miałem wylądować znowu w nowicjacie! Po tylu miesiącach leczenia?! Po tylu miesiącach bycia monarowcem? Przecież to chore. Za chwilę miałem opuścić ośrodek, a Kotański chce mnie tu zatrzymać?!

– Zaraz przyjdą obciąć ci włosy. Twój fotel weźmie Jacek – rozkazał Kotan.

Spojrzałem na niego w milczeniu, bo nie mogłem otrząsnąć się z szoku po tym, co powiedział, ale Marek stracił cierpliwość. Odszedł od ściany, o którą cały czas się opierał, wszedł na środek sali i krzyknął, nie przebierając w słowach:

– Rozbieraj się, kurwa! Wskakujesz w drelich i ścinamy włosy, ptaszku!

– Jak to? – wciąż nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje.

– No tak to! Już! – rozkazywał Kotan. – Chcesz być z nami? To wskakuj w drelich i obcinasz włosy!

Stałem jak zamurowany. Nikt ze społeczności nie odezwał się ani słowem, nikt nie stanął w mojej obronie, nikt nie zadał żadnego pytania. Nie wiem, skąd dowiedzieli się o moim przypadkowym spotkaniu z byłymi kumplami. Rozmawiałem z nimi dosłownie dwie minuty i te dwie minuty miały za chwilę przekreślić miesiące leczenia w Monarze? Kotański chyba zauważył, że coś ze mną nie tak. Stałem błądy przy swoim fotelu, chyba nie zdając sobie sprawy z tego, co tak naprawdę się wydarzyło.

– Masz czas do rana – dodał Kotan i jak gdyby nigdy nic przeszedł do innych tematów społeczności.

Nie słyszałem już, o czym rozmawiali. Łzy nabiegły mi do oczu. Tyle poświęcenia, tyle walki, krwi, potu, łez i nieprzespanych nocy. Zaczynałem powoli odczuwać, jak niewiele brakuje, aby to wszystko się skończyło. Trzeba będzie zaczynać od nowa? Czułem się już prawie wolny jak ptak. Czułem, że ta wolność, o której Kotański mówił do mnie w więzieniu przez radiowęzeł, to jest właśnie ta wolność. Teraz mogłem ją stracić, i to w dniu, w którym Marek odwiedził nas w Monarze... W moim własnym Monarze...

Dostałem zawrotów głowy. Przysiadłem ciężko na fotelu, w głowie miałem mętlik, huczało mi jak po niezłej imprezie. Nie wiedziałem, co zrobić. Jestem już prawie dwa lata w Monarze. Jestem już mocnym gościem, który za chwilę ma rozpocząć nowe życie na wolności. Czy aby na pewno za chwilę?

Siedziałem w sali, ale już nic nie słyszałem. W głowie kotłowały się tylko absurdalne myśli: „Kurwa, co za chuj!”. Drugi raz w życiu nazwałem Kotańskiego chujem. Najpierw w więzieniu, żeby pokazać innym, że Kotański mnie nie rusza, choć tak naprawdę przemówił do mnie na wskroś. Drugi raz dzisiaj, po tym jak próbował mi uświadomić, że niczego nie rozumiem z całej

monarowskiej terapii.

Zacząłem walczyć sam ze sobą. „Przecież ja naprawdę z tymi chłopakami nie mam nic wspólnego!” – usprawiedliwiałem się na wszystkie możliwe sposoby. „Jedno niewinne spotkanie tak ich wkurwiło?” – pytałem sam siebie. Nawet się nie zorientowałem, kiedy sala opustoszała.

Uroczystość powoli się kończyła, a ja chodziłem w kółko jak wariat i rozmyślałem, co zrobić. Jaką podjąć decyzję? „Przecież to nie ma sensu! Jestem już prawie po całej terapii, jestem mocny i nic mnie nie ruszy, przecież mogę stąd wyjść i rozpocząć nowe życie, bez czekania, aż upłynie czas przeznaczony na leczenie w Monarze” – szukałem w myślach rozwiązania. „Przecież oni chcą mnie kompletnie odciąć od świata. To bez sensu. Chcą mnie pozbawić wszystkich znajomych. Wyjadę! Zaryzykuję i zostawię ich wszystkich na trzy miesiące przed formalnym odejściem z Monaru. Pierdolę taką terapię, która ingeruje w każdy zakamarek mojego życia. Śledzili mnie? Wysłali jakiegoś szpiega, żeby podglądał, z kim się spotykam i co robię? Gdzie jeszcze mnie widzieli i co o mnie wiedzą? Gorzej niż esbecja!” – rozmyślałem irracjonalnie i chaotycznie, bo tego wieczoru negatywne emocje przesłoniły mi zdroworozsądkową analizę tego, co tak naprawdę się stało.

Targany wątpliwościami nie spałem prawie całą noc. Wierciłem się na łóżku, dziesiątki razy wychodziłem do kuchni napić się wody, później do toalety, później znowu do kuchni...

Była trzecia nad ranem. Zerwałem się spocony z łóżka. Coś mi się śniło, ale nie pamiętam już co. Sen miałem płytki, nerwowy. W Monarze panowała kompletna cisza. Ubrałem się i podszedłem do drzwi pokoju, w którym mieszkała Halina. Zapukałem cicho. Po chwili otworzyła, zasnana. Patrzyła na mnie pytającym wzrokiem.

– Tnij – rzuciłem krótko.

Spojrzała z niedowierzaniem.

– No tnij, mówię. Nie ma na co czekać.

Ogoliła mnie do gołej skóry. Wskoczyłem w drelich i punktualnie o siódmej zjawiłem się w stołówce. Przywitało mnie kompletne zdziwienie i milczenie. Po wczorajszych wydarzeniach chyba wszyscy byli przygotowani na to, że dziś rano nie zobaczą mnie już na śniadaniu. Usiadłem ze skwaszoną miną przy jednym ze stolików i zacząłem jeść. Milcząc, rozmyślałem o swojej fatalnej sytuacji: „Ja pierdolę! Jestem w nowicjacie! Zaczynam leczenie od początku...”. Przecież miałem już wszystko poukładane, chodziłem do szkoły, pracowałem, nie brałem narkotyków, nie paliłem papierosów i nie piłem alkoholu. Nigdy podczas śniadania, przez cały mój pobyt w Monarze, nie panowała taka cisza jak tego poranka. Szczególnie nowicjusze, którzy wczoraj byli świadkami jednej z najbardziej ostrych reakcji lidera i Marka Kotańskiego, patrzyli na mnie wzrokiem pełnym litości, ale jednocześnie uznania. Niemal natychmiast po tym, jak ostatni z mieszkańców opuścił stołówkę, zabrzmiał dźwięk dzwonu. Społeczność. Zgodnie z zasadami obowiązującymi nowicjuszy usiadłem posłusznie na podłodze, ubrany w drelich i ogolony na łyso. Milczałem. Nie wolno było mi się odezwać nieproszonym. Marek Kotański, który po uroczystościach rocznicowych naszego Monaru, został jeszcze na jeden dzień, rozpoczął zebranie. Bez zbędnego wstępu zaczął ode mnie.

– No, jak tam, gościu? – zapytał.

– Przyjmuję to, co powiedziałaś – odpowiedziałem pokornie.

– Ale czy rozumiesz? Powiedz, czy rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

– Rozumiem. Na pewno załatwię to inaczej. Pojadę do Legnicy, do starych kumpli... Załatwię to inaczej, tak jak mówiłeś.

– Masz – powiedział Kotański, podając mi sto złotych. – Porwij to!

Patrzyłem mu prosto w oczy. Myślałem, że chce mnie w coś wkręcić, że jak tylko zacznę rwać pieniądze, chwyci mnie za rękę, a cała sala zacznie się śmiać.

– No, porwij! Na co czekasz? To jest symbol tego pieprzonego, przestępczego świata, w którym cały czas się obracasz. To jest symbol tych cholernych pieniędzy, które chciałeś odzyskać od narkomanów. Ty nawet nie wiesz, że jeszcze stamtąd nie wyszedłeś.

Patrząc cały czas na Kotańskiego, powoli przerywałem stuzłotówkę na pół. Kiedy skończyłem, Kotański uśmiechnął się i powiedział:

– A teraz spierdalaj do pokoju. Załóż normalne ubranie i wróć tu do nas. Jesteś monarowcem.

To było leczenie Kotańskiego! To była społeczność i filozofia braku lekarzy w białych kitlach. Leczyliśmy się sami. Całą noc musiałem walczyć ze sobą, aby zrozumieć, gdzie był błąd w moim postępowaniu i postrzeganiu rzeczywistości, postrzeganiu światów, które nie mogły się już krzyżować. Naiwnie sądziłem, że da się pogodzić funkcjonowanie poza przestępczym układem z jakimś jego tolerowaniem, przyjmowaniem, że istnieje obok i nic mi nie robi, nawet jeśli raz na jakiś czas tylko się z nim przywitam. Postawienie mnie przed jednym z najtrudniejszych wyborów, jakie przyszło mi podjąć podczas leczenia w Monarze, było zastrzykiem, lekarstwem. Monar uczył żyć – czasami w mocny i brutalny sposób.

Kilka dni później pojechałem na przepustkę do Legnicy. Wiedziałem, gdzie urzęduje przestępczy światek. Znałem wszystkich doskonale i o każdej porze dnia i nocy mogłem wskazać miejsca, w których handlują narkotykami, kradną i oszukują ludzi. Ich norą była dyskoteka w hotelu Cuprum. Poszedłem do nich, przywitałem się i bez chwili wahania oznajmiłem:

– Panowie, żeby sprawa była jasna. Jestem w Monarze, leczę się i nie zamierzam wracać do tego gówna. Ani do waszego towarzystwa, ani do narkotyków. Znamy się, ale teraz to już koniec. Zrywam z wami kontakty. Nie chcę się z wami witać, nie chcę z wami rozmawiać i utrzymywać żadnych relacji.

Wybuchnęli śmiechem tak głośnym, że z korytarza zaczęli się zbiegać pozostali członkowie bandy, jakby bojąc się, że przegapią jedną z najlepszych komedii w życiu. Częstowali mnie alkoholem. Kiedy stanowczym ruchem ręki odmówiłem, płakali ze śmiechu jeszcze głośniej, a ci, którzy dopiero przyszli z korytarza, dołączyli się do tej z pozoru zabawnej scenki. Nie wierzyli w to, że nie palę, nie piję, nie biorę narkotyków i że przed chwilą powiedziałem im tak ostre słowa. Myśleli, że na moment zapanował dziwnego rodzaju humor – jak zwykle w tym towarzystwie – w którym każdy każdego może nazwać chujem, zbrońcem i wymyślić najbardziej idiotyczną historyjkę na temat ich grupy, bez obawy, że herszt pozbawi żartownisia zębów. Sądziło, że była to właśnie jedna z takich chwil.

– Ty, Górski! Ty coś, kurwa, kombinujesz! Nie bierzesz? Nie palisz? – przekomarzali się.

Cały czas myśleli, że wzięło mnie na żarty. Brnąłem dalej, a mówiąc o swoim leczeniu z narkomanii, bałem się. Nie wiedziałem, jak zareagują. Przecież to nie byli zwykli handlarze narkotyków, ale złodzieje, bandyci i mafiozi. Mogli mnie nawet zabić, gdyby podejrzewali, że stałem się wtyczką milicji, kapusiem, który zdradzi, co o nich wie. Ale oni zanosili się od śmiechu, myśląc, że odstawiam jakieś przedstawienie, nabijam się z kogoś, o kim jeszcze nie wiedzą. Patrzyłem na nich przez chwilę, a wszystko wydało mi się filmową sceną. Obróciłem się na pięcie i nie oglądając się za siebie, z walącym sercem, wyszedłem na zewnątrz. Nigdy już do

nich nie wróciłem.

NIC MNIEJ NIŻ WSZYSTKO (Jak Polska długa i szeroka, 1986)

Była zimowa noc, luty 1986 roku. Powoli moja dwuletnia terapia w monarowskim ośrodku dobiegała końca. Leżałem w łóżku i rozmyślałem o tym, co będzie moim projektem flagowym, wizytówką, którą zakończę pobyt w Monarze. Swoistym egzaminem, ale takim, którego nie można było oblać. Po prostu trzeba było zrobić coś, czym można będzie się pochwalić i przypieczętować swoją terapię. Tej nocy słuchałem audycji „Muzyka Nocą”, nadawanej w Jedyńce. Gościem był Marek Kotański. W odcinku zatytułowanym „Pola życia, pola śmierci” mówił o uprawach maku w Polsce, o tym, co zrobić, aby pomóc narkomanom wyjść z nałogu, a przede wszystkim jak ograniczyć dostęp do polskiej heroiny, która w latach osiemdziesiątych zaczęła zbierać nieporównywalnie większe śmiertelne żniwo niż w latach siedemdziesiątych.

W 1985 roku państwowe placówki psychiatryczne przyjęły do leczenia ponad cztery tysiące dwieście osób uzależnionych od leków i narkotyków. W tym samym czasie do wszystkich placówek Monaru zgłosiło się ponad dwa tysiące dwieście osób⁶. Odgrywał on w Polsce kluczową rolę w przeciwdziałaniu i leczeniu narkomanii. Niepubliczna organizacja ratowała życie połowie narkomanów w tym kraju. Przede wszystkim mieliśmy do niej zaufanie, nie baliśmy się, że będziemy znów pod kontrolą milicji i państwowych służb. Sami dla siebie byliśmy terapeutami.

Słuchałem rozmowy i jak zwykle w takich sytuacjach miałem dziesięć tysięcy zwariowanych pomysłów na minutę. Słyszałem z tego, że potrafiłem wymyślać je na poczekaniu. Miałem bujną wyobraźnię, którą jeszcze niespełna dwa lata wcześniej wykorzystywałem do niecznych celów. Teraz wpadłem na genialny pomysł, który za chwilę miał podchwycić Marek Kotański i rozkręcić akcję na całą Polskę. Zadzwoiłem.

– Marek! Ten zakaz siania maku w Polsce, o którym mówisz... Mam pomysł, jak to przyspieszyć i co zrobić, żeby usłyszała o tym cała Polska. Zorganizujmy sztafetę biegową z Wrocławia do Warszawy. Będziemy biec i zbierać podpisy pod apelem o zakaz siania maku.

Marek aż zakrzyknął z zachwytu! Miał intuicję. Natychmiast zaczął dopowiadać kolejne elementy scenariusza: eskorta, autobusy, apele, media... Był zachwycony, ale zależało mu na czasie:

– Trzeba to zrobić szybko, teraz w marcu! – komentował.

Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Dlaczego się tak spieszy?

– Ale przecież nie zdążymy wszystkiego przygotować – odpowiedziałem.

– Musimy zdążyć, zanim rolnicy wyjdą w pole. Może uda się uratować wielu narkomanów jeszcze w tym roku. Przecież to prawo jest pojebane, Jurek! Każdy Kowalski może siać mak na dwudziestu metrach kwadratowych, a co robi? Sieje na dziewiętnastu, później wpieprza kilkadziesiąt metrów kwadratowych zboża i znowu mak... Dokładnie na dziewiętnastu metrach! I tak na zmianę przez całe hektary. A później sprzedają śmierć. Nie bądźmy śmieszni, że to wszystko na makowiec, kurwa! Przestańmy słuchać bzdur, że trzeba bronić polskiej tradycji pieczenia makowców!

Trzy lata wcześniej peerelowskie władze zaczęły modyfikować prawo, które do tego czasu

zupełnie nie regulowało kwestii związanych z makiem i produkcją polskiej heroiny. Wprowadzono co prawda ograniczenia w uprawach, nakazano komisyjne niszczenie słomy makowej, którą państwo odkupowało od rolników, co pozwalało ograniczyć szarą strefę i możliwość sprzedawania makowiny narkomanom, ale dla nas to było za mało. Wiedzieliśmy, że jako naród kombinowanie mamy we krwi i za chwilę skutecznie ominiemy wszelkie przepisy i ograniczenia. My, byli narkomani, chcieliśmy całkowitego zakazu siania maku.

Kiedy o naszej akcji zrobiło się głośno w mediach, zacząłem dostawać listy od ludzi, którzy chcieli zapisać się na bieg. Część z nich mogła pokonać dosłownie kilka kilometrów, bo ich stan zdrowia i wiek nie pozwalał na więcej, ale i tak chcieli do nas dołączyć. Pisali do mnie nawet ludzie doświadczeni kalectwem.

Jeszcze wtedy do głowy mi nie przyszło, że mój pomysł może się przerodzić w potężną akcję, która odbije się szerokim echem w całym kraju i będzie relacjonowana w radiu i telewizji. O to zadbał oczywiście Marek, który zawsze pełen werwy, pozytywnych emocji, udowodniał, że niemożliwe nie istnieje. Bieg nazwaliśmy Maratonem Nadziei.

Początki nie były łatwe. Podczas zbierania podpisów spotykałem się z różnymi reakcjami. Część ludzi na hasło „narkoman” reagowała agresją, część wyzywała, część mówiła wprost, że trzeba nas wysłać do kamieniołomów, a w zasadzie nic złego by się nie stało, gdyby nas rozstrzelano, bo nie zasługujemy na to, żeby żyć w zdrowym społeczeństwie. Dla nich byliśmy niebezpiecznym elementem przenoszącym zarazę. Jeżeli czegoś nam wtedy brakowało, to właśnie akceptacji, wiary, że podjęliśmy walkę i chcemy raz na zawsze rozstać się z nałogiem. Większość ludzi, zmanipulowana peerelowską propagandą, nie widziała w nas chorych, a jedynie nierobów, złodziei, a w późniejszych latach niebezpieczny element przenoszący HIV. Wielu nam nie wierzyło, ale część pomagała.

Maraton Nadziei był początkiem czegoś wielkiego. Przerósł moje oczekiwania. Chcieliśmy pokazać, że można wyjść z uzależnienia, zacząć uprawiać sport i cieszyć się zdrowiem. Najczęstsze pytanie, jakie padało z ust tych, którzy obserwowali naszą walkę, brzmiało: „Jak to możliwe, że po tylu latach ćpania macie taką kondycję fizyczną?”. Nie byłem przecież jedynym, który biegł dziesiątki kilometrów, mając na swoim koncie wiele lat wyniszczającego uzależnienia. Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie, ale za każdym razem, kiedy padało, byłem wściekły, że nie mogę cofnąć czasu do momentu, w którym decydowałem o swojej przyszłości jako młody chłopak. Gdybym wtedy zaczął konsekwentnie trenować... Gdybym trafił do jakiejś sekcji kolarskiej albo biegowej, dziś mógłbym być mistrzem olimpijskim. Ale postanowiłem się nie poddawać i osiągnąć w sporcie tyle, ile się da. Maraton Nadziei był kolejną cegiełką, która budowała moją wydolność. Wyzaczyliśmy sobie bardzo ambitne zadanie. Mój pomysł zakładał, że z wrocławskiego Monaru pobiegniemy do Warszawy przez największe miasta, między innymi Leszno, Poznań i Łódź.

Maraton Nadziei wystartował 7 marca 1986 roku. Na starcie pojawiły się radio, telewizja i lokalna prasa. Marek Kotański, ubrany w czerwony jaskrawy dres i białą czapkę, oraz Antek Niemczak w reprezentacyjnym stroju, wystartowali razem z nami. Było zimno, momentami mgliście, padał deszcz, a na poboczach zalegał śnieg. Biegliśmy dzień i noc – ponad osiemdziesiąt osób w eskorcie milicji, służb Monaru i ze wsparciem PCK. Przed nami jechał pomarańczowy duży fiat kombi, na którego dachu zamontowaliśmy szyld z napisem „Monar”,

a za nim biały, z wymalowanymi na karoserii hasłami, które nie pozostawiały wątpliwości, w jakim celu biegniemy: „Siejąc mak, siejesz śmierć”, „Polaku, nie siej maku!”. Te i podobne hasła znalazły się również na transparentach, które trzymaliśmy w rękach. Biegliśmy w sztafecie i krzyczeliśmy: „Nie-chce-my-ma-ku! Nie-chce-my-ma-ku!”. Za nami jechały autobusy Autosan i Jelcz, czyli popularny ogórek, w których mieliśmy rzeczy na przebranie, jedzenie i picie oraz gdzie kolejne zmiany sztafetowe mogły się przespać.

Nikt z nas się nie łudził, że zakaz siania maku w Polsce doprowadzi do wyeliminowania zjawiska narkomanii, ale byliśmy pewni, że zlikwidujemy w ten sposób najtańsze i najłatwiejsze źródło pozyskiwania narkotyków, a przede wszystkim heroiny.

Trzy dni i dwie noce nieustannego biegu. Czuję się wspaniale. Od prawie dwóch lat niemal codziennie bez względu na pogodę biegałem, trenowałem pływanie i jeździłem na rowerze, startowałem w zawodach i miałem kondycję, jakiej nigdy w życiu nie prezentowałem. Sam momentami nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje i jaką szansę od losu dostałem. Zatrzymywaliśmy się centrach miast, przez które przebiegaliśmy i na głos czytaliśmy apele, zbieraliśmy podpisy pod tekstem, który miał jedno konkretne przesłanie: „Znając dramat polskich narkomanów, uważamy, że niezbędnym krokiem, mogącym uratować setki młodych ludzi przed śmiercią, i tysiące przed osobistą i rodzinną tragedią, jest wprowadzenie zakazu uprawy maku. Dostęp do maku, głównego materiału do wyrobu polskiej heroiny, stanowi ogromne zagrożenie dla młodego pokolenia. Jesteśmy przekonani, że większość społeczeństwa jest w stanie ponieść koszt w postaci rezygnacji z konsumpcji makowca, dla uchronienia wielu młodych ludzi od tragedii narkomanii. Nie pozwólmy, aby narkotyki niszczyły mniej odporną i niedostosowaną do społecznej rzeczywistości część polskiej młodzieży. Nie pozwólmy, aby najgroźniejszy ze znanych narkotyków pozostawał na wyciągnięcie ręki dla każdego młodego człowieka w Polsce. Ratujmy naszą młodzież, zanim będzie za późno. Zwracamy się do wszystkich, którym leży na sercu los młodego pokolenia, o złożenie podpisów pod apelem o wprowadzenie zakazu siania maku”.

Słuchałem tych słów wiele razy w czasie całego Maratonu Nadziei, czasami stojąc nocą z pochodnią w ręku, tuż przed rozpoczęciem mojej kolejnej zmiany. Po latach mogą wydawać się śmieszne, zwłaszcza część o jedzeniu makowca, ale tak właśnie było. Argumentacja o konieczności uprawy maku dla zachowania polskiej tradycji pieczenia i spożywania ciasta z makiem była najlepszym przykładem peerelowskiej propagandy.

Kiedy nasz Maraton Nadziei dobiegł końca, zebraliśmy się w jakiejś sali gimnastycznej, w której Marek Kotański podsumował akcję. Zaprosił do udziału w spotkaniu ministerstwa Zdrowia, Oświaty i Rolnictwa, ale nikt nie przyszedł. Mieliśmy wszyscy ambiwalentne odczucia. Z jednej strony niesamowita radość po udanej akcji, z drugiej wściekłość, że nasze działania nie zostały docenione przez władze.

Siedziałem w pierwszym rzędzie, słuchając ze smutną miną jeszcze smutniejszego Kotana:

– Przed chwilą zakończyła się jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu i najwspanialsza impreza Monaru. Poruszyliście Polskę! Zrobiliście nieprawdopodobny wyczyn nie dlatego, że przebiegliście prawie sześćset kilometrów w trzy dni i dwie noce, w psią pogodę, ale dlatego że poruszyliście ludzi w tym kraju. To, że o pierwszej w nocy, w domach zapalone było światło, a z okien wyglądali ludzie, kibicując wam na trasie, było dowodem, że nie byliśmy sami. Ale Warszawa przywitała nas bardzo chłodno nie tylko ze względu na pogodę. Biegliśmy ulicami, na których nie było ludzi⁷.

Maraton Nadziei organizowany przez narkomanów chyba wzbudzał w rządzących poczucie

zagrożenia. Pewnie przestraszyli się reakcji społeczeństwa i woleli ignorować problem. Puścili nas opłótkami, z dala od osiedli, a przecież swój apel chcieliśmy wykrzyczeć ludziom, a nie miejskim murom. Kotański był wkurwiony. Marzył, żebyśmy przebiegli Nowym Światem i Marszałkowską. Zawsze powtarzał, że tym, którzy są słabi, trzeba pomagać, a nie ich wykluczać, że to my – społeczeństwo – tworzymy narkomanię poprzez swoją bierność i znieczulicę.

Słuchałem Kotańskiego, który był moim guru, i myślałem, co robić. Przecież to się nie może tak skończyć. Chociażby z wdzięczności dla niego powinienem zrobić coś jeszcze. To on otworzył mi drzwi do innego świata, w którym jest życie, w którym potrafię cieszyć się prostymi rzeczami, uśmiechać się na myśl, że wyjdę dziś pobiegać, a nie szukać spełnienia w czymś tak ulotnym i fałszywym jak heroina. Marek wiele razy przed spotkaniami społeczności powtarzał, że nie jest mówcą, nie potrafi przemawiać. Kokietował. Był przecież perfekcyjny w tym, co robił. Porywał tłumy. Aż kipiał od emocji, kiedy mówił o misji, jaką ma do spełnienia. Biliśmy mu brawo i z takim zacięciem krzyczeliśmy hasło „Nie chcemy maku”, jakby chodziło o zagrzewanie do bitwy.

Byliśmy zdeterminowani, mieliśmy społeczne wsparcie, ale zabrakło tego politycznego. Kilka dni później w warszawskiej siedzibie Monaru przy ulicy Hożej 57 Marek Kotański miał spotkać się z przedstawicielami Ministerstwa Rolnictwa. Na ścianach wisały zdjęcia uczestników Maratonu Nadziei, wycinki prasowe i hasła nawołujące do wprowadzenia zakazu siania maku. Nikt znowu nie przyszedł, mimo że w tej sprawie udało nam się zebrać prawie dwadzieścia tysięcy podpisów, bo jeszcze wiele dni po zakończeniu akcji ludzie przychodzili na Hożą podpisywać się nie tylko na listach z poparciem dla naszej inicjatywy, ale również na wielkich plakatach z napisem „W Polsce nie ma narkomanii. Podpisz się”.

Wróciliśmy autobusem do Wrocławia, a ja zacząłem kombinować, co by tu jeszcze zrobić dla sprawy, w którą włożyliśmy tyle wysiłku. Pomysł na Maraton Nadziei okazał się strzałem w dziesiątkę z dwóch powodów. Nie tylko przyczynił się do ostatecznego wprowadzenia zakazu siania maku, ale przełożył się również na moją sportową karierę, która nabierała rozpędu. Do końca mojego pobytu w Monarze zostało kilka miesięcy. Była wiosna 1986 roku, a we wrześniu miałem rozpocząć samodzielne życie poza murami ośrodka. Od 1 lutego 1986 roku pracowałem już na pół etatu jako instruktor terapii zajęciowej w Zespole Opieki Zdrowotnej w Nowej Soli, pomagałem tam uzależnionym, którzy zdecydowali się na detoks i rozpoczęcie leczenia. To samo chciałem robić po wyjściu z Monaru i miałem już plany przeprowadzki do Głogowa. Każdy wychowanek Monaru na zakończenie swojej terapii musiał zrealizować jakiś konkretny program, którym kończył swoją terapię. Zaproponowałem, że będę kontynuował Maraton Nadziei, ale zrobię to w nietypowej formie.

– Pojadę dookoła Polski – przedstawiłem pomysł Jarkowi. – Będę odwiedzał każdy ośrodek Monaru, rozmawiał z uzależnionymi i tak przygotowywał się do pracy z narkomanami w Głogowie. No, a przy okazji zbiorę kilka tysięcy podpisów pod apelem o zakaz siania maku. Co ty na to? – zapytałem.

– Jurek! Nie mamy pieniędzy. Przecież trzeba będzie zapłacić za paliwo, noclegi, jedzenie!

– Nie potrzebuję paliwa. Z noclegami też sobie poradzę. – Miałem już przygotowaną odpowiedź. – Spać będę w namiocie i w naszych ośrodkach. A pojadę rowerem – dodałem.

– Zwariowałaś? – Jarek stał kompletnie zaskoczony moją propozycją.

– Pojadę dookoła Polski rowerem i będę zbierał podpisy. To najlepsze, co mogę teraz zrobić dla tej sprawy.

Szykowała się długa, kilkumiesięczna podróż. Sportowy romet, na którym trenowałem, musiałem przystosować do długiej jazdy z bagażami. Na Jarzębinowej niedaleko Monaru mieszkał rzemieślnik, który pomógł mi zrobić z metalowych prętów bagażnik, a w zasadzie stelaż, na którym mogłem zamocować plecaki i namiot. Po bokach wetknąłem drewniane kije z flagami Monaru. Trasę dość przypadkowo wyznaczył rytm życia ośrodka i wydarzenia, w które włączali się mieszkańcy. Latem 1986 roku Marek Kotański odwiedził Stachuriadę w Grochowicach niedaleko Głogowa, a ja zdecydowałem, że to dobre miejsce i okazja, żeby zacząć moją podróż. Przyjechał Jacek Ostaszewski z grupy Osjan i prowadził warsztaty muzyczne, na których śpiewaliśmy piosenki Edwarda Stachury. Lokalizacja imprezy nie była przypadkowa – pisarz w Grochowicach i pobliskiej wsi Kotła osadził akcję swojej książki *Siekierzada albo zima leśnych ludzi*. Rok wcześniej na podstawie tej powieści powstał film o losach młodego poety Janka Pradery, który po rozstaniu z dziewczyną zaszył się w głębokim lesie niedaleko Odry na granicy lubuskiego i dolnośląskiego i rozmyślał nad życiem. Była to powieść, którą młodzi ludzie zaczytywali się w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Mówiła o tym, za czym w czasach PRL-u tęskniliśmy – o wolności. Ba! Sama postać Stachury była dla nas ucieleśnieniem wolności... No, może poza samobójstwem, bo to, moim zdaniem, świadczyło o zniewoleniu. Wolny człowiek nie odbierze sobie życia. Zrobi tak tylko ten, kto żyje pod presją, nie potrafi uwolnić się od demonów. Tak jak ja w więzieniu. Zresztą, kiedy w lipcu 1979 roku Stachura umierał w swoim mieszkaniu w Warszawie, ja siedziałem w więzieniu w Brzegu. Nie byłem tam wolnym człowiekiem – dosłownie i w przenośni. Ale wolność Stachury była dla mnie wolnością podróżowania, zdobywania świata i właśnie wtedy to czułem: na rowerze, z całym życiem spakowanym w jeden namiot i dwa plecaki. Niczego więcej wtedy nie potrzebowałem. Nawet gdyby ktoś zaproponował mi rajd dookoła świata, to bym odmówił. Jak pisał Stachura: „Swoją ciekawość trzeba umieć doskonalić. Jeden jedzie na Majorkę, drugi do Grudziądza, ale nie znaczy to, że swoją ciekawość i ciekawość świata bardziej udoskonali ten pierwszy. Podróż do Grudziądza może być dla tego drugiego o wiele bardziej ciekawa i egzotyczna niż dla tego pierwszego podróż do Santa Cruz de Tenerife. Poza tym jest taka sprawa, że gdziekolwiek by się nie pojechało, spotyka się tam, gdzie się dotarło, przede wszystkim to, co się ze sobą, to znaczy sobą, przywiozło. Jeżeli przywiozło się sobą niewiele – tako niewiele się w drugim końcu świata spotyka. I tu nic nie pomoże”⁸.

A ja przecież wiozłem ze sobą siebie i całe to pierdolone, zaćpane życie. Miało być ostrzeżeniem dla innych. Celem podróży było bowiem nie tylko zebranie podpisów pod apelem o zakaz siania maku w Polsce, lecz także spotkania z narkomanami, którzy, tak jak ja, wybrali Monar na miejsce swojego uzdrowienia. Chciałem ich poznać, zrozumieć, jak walczą z nałogiem, bo mimo że terapię znałem z własnego doświadczenia, to każdy z nas był inny i reagował na leczenie inaczej. Takie rozmowy pozwalały mi również zdobywać doświadczenie terapeuty, za chwilę miałem przecież stanąć po tej drugiej stronie, pomagać narkomanom w ośrodkach dla uzależnionych.

Z Wrocławia pojechałem zatem na Głogów, z Głogowa do Grochowic na Stachuriadę i spotkanie z Kotanem, później do Szczecina, Szczecinka, Czaplinka i Gdańska, z Gdańska przez Olsztyn na Białystok, później był Lublin, z Lublina ruszyłem na Warszawę, a ze stolicy w kierunku Częstochowy na Opole i do Wrocławia. Ponad trzy tysiące kilometrów. Nie liczyłem

się z ograniczeniami ciała. Nie dlatego że nie chciałem, ale dlatego że ich nie znałem. Z narkomanii i z leczenia wyniosłem przekonanie, że życie to bardziej stan umysłu niż kondycja fizyczna i jeśli człowiek za bardzo się na niej skupi – przegra. Życie determinują myśli, a nie możliwości ciała. Chcieć to móc. Moje motywacje i marzenia nadawały charakter życiu, były motorem napędowym wielu działań, jakie podejmowałem. Nie zastanawiałem się, czy to, co właśnie wymyśliłem, było możliwe do wykonania. Przestałem wreszcie szukać wymówek i zaczynać wszystko „od jutra”. Jakież to było słabe to odkładanie wszystkiego na kolejny dzień. Teraz zaczynałem analizę od etapu „jak?”, a nie „czy?” i „kiedy?”. Było dla mnie oczywiste, że jak chcę biegać, to biegam, a nie badam i sprawdzam organizm na wszelkie możliwe sposoby, upewniając się, czy ma odpowiednie parametry, które mi na to pozwolą. Skoro nie przejmowałem się tym, co i ile ćpałem, to niby dlaczego miałbym przejmować się teraz tym, co jest z gruntu zdrowe i dobre? Skoro nie zabiło mnie dwadzieścia centymetrów heroiny dziennie, to dam radę ponad trzem tysiącom kilometrów na rowerze. Ciało było dla mnie jedną z funkcji umysłu, a umysł liczył się wraz z jego determinacją i skalą motywacji. „Nic mniej niż wszystko” – jak mawia psychoterapeuta Wojciech Eichelberger⁹.

Tak, to prawda. Nie brałem jeńców, żadnych okruczeń, wszystko albo nic. Od momentu rozpoczęcia terapii w Monarze mierzyłem najwyżej jak się dało. Jeżeli moje ciało stawiało ograniczenia i padałem na pysk, był to znak, że muszę się chwilę przespać, a później zapieprzałem ze zdwojoną siłą. Nie szukałem wymówek. Nie liczył się rower, tylko to, co mam w nogach. Nie liczyły się buty, tylko to, co mogą moje płuca i mięśnie. Nie liczył się zegarek, który wskazywał tempo, tylko moja głowa i wycucie. Taki byłem. Słuchałem intuicji i ćpałem życie na maksa.

Już za Głogowem przekonałem się, że przeładowałem rower. Pod ciężarem bagażu zaczęły pękać dętki. Miałem ich trochę na wymianę, ale bałem się, że skończą mi się po kilkuset kilometrach, bo zanim dojechałem do Głogowa, zdążyłem wymienić dwie. A to dopiero setny kilometr! Postanowiłem, że zatrzymam się w klubie sportowym Chrobry, gdzie mieli sekcję kolarską. Tam odchudziłem bagażnik i naprawiłem kolejną gumę.

W rajd dookoła Polski wyruszyłem pod hasłem: „Bez picia, palenia i brania narkotyków też możesz mieć fajne wakacje”. Chciałem pokazać, że niewinne szaleństwo z używkami w tle od śmiertelnego uzależnienia dzieli tylko cienka granica, którą bardzo łatwo jest przekroczyć.

Cały czas zbierałem podpisy pod apelem o wprowadzenie zakazu siania maku w Polsce. Zatrzymywałem się w różnych miejscach, najczęściej na plażach przy jeziorach i leśnych polanach. Ośrodki Monaru, które odwiedzałem, były oddalone od siebie o setki kilometrów, więc siłą rzeczy musiałem czasami rozbijać namiot na odludziu. Ale nie narzekałem na brak zajęć. Trenowałem, czytałem i poznawałem siebie na nowo. Cały czas nosiłem koszulkę z napisem Monar i w takim stroju podchodziłem do ludzi, kiedy przedstawiałem się i prosiłem o złożenie podpisu pod apelem. Zebrałem ich ponad siedemnaście tysięcy, a plik dokumentów zostawiłem w głównej siedzibie Monaru w Warszawie. Podczas prawie trzymiesięcznego rajdu dookoła Polski pokonałem ponad trzy tysiące kilometrów i tak właśnie nieświadomie zorganizowałem sobie pierwszy obóz sportowy, podczas którego pływałem w przydrożnych jeziorach i biegałem w lasach. Zbudowałem formę, jakiej nigdy bym nie osiągnął, trenując wyłącznie w wolnym czasie między realizowaniem kolejnych zadań w Monarze. Byłem

piekielnie mocny, a czas pierwszej próby przyszedł niespodziewanie.

PIERWSZY TRIATHLON

(Płaczewo koło Starogardu Gdańskiego, 1986)

Od prawie dwóch lat trenowałem i marzyłem o wystartowaniu w triathlonie, o którym zdążyłem już przeczytać wspaniałe historie. Szczególnie urzekła mnie legenda powstania zawodów nazywanych Ironman, czyli po angielsku człowiek z żelaza. Jest to dystans, który przerasta możliwości wielu zdrowych i w miarę systematycznie uprawiających sport ludzi, a co dopiero narkomana, który wychodził z nałogu. Nie pamiętam już, jakim cudem wpadła mi w ręce broszura, opisująca zawody rozgrywane każdego roku na Hawajach. Pamiętam jednak, że kiedy dowiedziałem się, na jakim dystansie ścigają się zawodnicy, z wrażenia nie mogłem zasnąć. Kiedy ja byłem w zaawansowanej fazie uzależnienia od narkotyków, amerykański pułkownik John Collins razem z kolegami brał udział w ceremonii rozdania nagród po zawodach biegowych na Hawajach w 1977 roku. Podczas kolacji zaczęli rozmawiać o stworzeniu czegoś naprawdę wyjątkowego – zawodów wytrzymałościowych, jakich do tej pory nie było. John Collins zaproponował połączenie trzech znanych i niezwykle męczących wyścigów rozgrywanych na Hawajach: maratonu pływackiego Waikiki Roughwater Swim na dystansie trzech kilometrów i ośmiuset metrów, maratonu rowerowego dookoła wyspy O’ahu na dystansie stu osiemdziesięciu kilometrów (zawody trwały dwa dni!) i wreszcie na koniec maratonu biegowego w Honolulu. Collins ogłosił zawody tymi słowami:

– Pistolet startera wystrzeli punktualnie o siódmej rano, wtedy zegar zacznie odliczać czas. Ten, kto wbiegnie na metę pierwszy, zostanie nazwany człowiekiem z żelaza.

Rok później, 18 lutego 1978 roku, piętnastu śmiałków z Johnem Collinsem włącznie, przyjechało na plażę Waikiki na południowym wybrzeżu wyspy O’ahu w dzielnicy Honolulu, aby zrealizować ten szaleńczy pomysł. Tuż przed startem każdy z zawodników dostał trzy kartki papieru, na których zapisany był regulamin i opis trasy. Na ostatniej stronie widniało odręcznie zanotowane zdanie, które przeszło do historii: „Swim 2.4 miles! Bike 112 miles! Run 26.2 miles! Brag for the rest of your life!”¹⁰.

W tym samym czasie, kiedy Collins pisał te słowa, ja dygotałem z zimna w narkotycznym głodzie w celi aresztu w Jeleniej Górze, a później w Brzegu, skazany za włamanie do apteki. Kiedy ja zatruwałem się heroiną, linię mety zawodów na Hawajach przekroczyło dwunastu zawodników. Wygrał Gordon Haller, taksówkarz z zawodu, sportowiec z zamiłowania. Przekroczył linię mety po jedenastu godzinach czterdziestu sześciu minutach i pięćdziesięciu ośmiu sekundach. Nikt wtedy nie przypuszczał, że z czasem ta brawurowa inicjatywa przerodzi się w jedną z najbardziej rozpoznawalnych imprez sportowych na świecie.

Wymyślona przez Amerykanów dyscyplina szybko znalazła wyznawców również w Europie. Polacy pierwszy raz o Ironmanie przeczytali dzięki znanemu dziennikarzowi sportowemu, byłemu senatorowi, Andrzejowi Personowi. Na łamach kultowego tygodnika „Sportowiec” opublikował on w 1983 roku artykuł o Mistrzostwach Świata Ironman na Hawajach. Ja na tę historię natknąłem się dopiero w Monarze, ale nie byłem jeszcze gotowy na to, aby podjąć wyzwanie. Marzyłem, żeby wystartować w Ironmanie, ale wiedziałem, że to nie jest jeszcze mój czas. Dopiero zacząłem przygodę z treningami, które dawały mi namiastkę tego, jak wygląda

triathlon.

W czasie mojej podróży dookoła Polski, gdzieś na Pomorzu, wpadła mi w ręce gazeta, w której przeczytałem zapowiedź zawodów triathlonowych rozgrywanych w małej miejscowości Płaczewo, niedaleko Starogardu Gdańskiego. Nie był to co prawda dystans Ironman, tylko sprint. Siedemset metrów pływania, dwadzieścia kilometrów jazdy rowerem i pięć kilometrów biegu – w sam raz dla kogoś, kto zaczyna przygodę z triathlonem. W głowie zaświtała mi myśl, że może to jest ten moment, w którym powinienem się sprawdzić. Postanowiłem wykorzystać okazję. Decyzja zapadła szybko, spontanicznie i pod wpływem emocji – czyli dokładnie tak, jak podejmowałem je przez całe życie.

Dotarłem na miejsce dzień przed zawodami. Było już późno, więc do biura zawodów, które było szkolną ławką ustawioną na trawniku, zgłosiłem się z samego rana i zapytałem, czy mogę wystartować. Stałem z rowerem naprzeciw dwóch panów, którzy wyglądali jak klasyczni działacze sportowi okresu PRL, patrzyli na mnie z niedowierzaniem i po chwili milczenia zapytali:

– Ale w czym ty, chłopcze, chcesz wystartować?

– No, w triathlonie – odpowiedziałem zdziwiony, że pytają.

– A wiesz, że tam się pływa, jeździ rowerem i biega. Gdzie masz rower? – rzucił jeden z nich, kiwając głową pytająco w kierunku mojego roweru.

Co prawda był sportowy, ale miał zamontowany bagażnik, flagi Monaru i cały ekwipunek niezbędny na trzymiesięczną eskapadę dookoła Polski. Bagażnik z wyposażeniem i częściami zamiennymi ważył więcej niż sam rower.

Zapewniłem, że dam radę, że trenuję od prawie dwóch lat, nauczyłem się pływać kraulem, a w bieganiu pomaga mi Antek Niemczak. Kiedy usłyszeli to nazwisko, prawie wstali z miejsca. A potem rozdziawili buzie, kiedy dodałem, że od ponad miesiąca pedałużę po Polsce i skończę rowerowy rajd w okolicach września, po jakichś trzech tysiącach kilometrów. Pokiwali z podziwem głowami i pozwolili mi wystartować.

Niestety, tylko w teorii triathlon wydawał się prostą dyscypliną. Sądziłem, że skoro potrafię pływać, jeździć na rowerze i biegać, to dam radę takiemu wyzwaniu. Okazało się, że trzeba jeszcze umieć połączyć te trzy konkurencje w jedną. Wtedy nie miałem jeszcze żadnego punktu odniesienia, nie mogłem ocenić organizacji zawodów i wszystko przyjmowałem z dobrodziejstwem inwentarza. Coś, co dzisiaj jest nie do pomyślenia na zawodach sportowych, wtedy było standardem. Przebieraliśmy się pod gołym niebem, zasłaniając się – lub nie – ręcznikami. Nagie pośladki świeciły ku zadowoleniu gawiedzi. Dziś nikt takich rzeczy nie praktykuje, a golizna jest wręcz zakazana. Płynie się, jedzie rowerem i biegnie w tym samym stroju, jedno- lub dwuczęściowym, oszczędzając czas w strefie zmian. Jeżeli już ktoś decyduje się na zmianę stroju, to robi to w specjalnie do tego przeznaczonych namiotach. Rzadko kiedy profesjonalni zawodnicy zakładają też skarpetki na etap rowerowy i biegowy. Dla nas było to normą, a w Płaczewie przygotowano nawet miski z wodą, abyśmy mogli opłukać stopy z piasku. Dziś rowery wstawiamy do strefy, w której przygotowane są specjalne stojaki, w Płaczewie rowery ustawialiśmy gdzie popadnie, opieraliśmy je o krzesła lub ławki. Totalna amatorka. Ale organizatorzy, podobnie jak zawodnicy, dopiero uczyli się triathlonu. Frekwencja była niska, liczyły się przede wszystkim atmosfera i świetna zabawa.

Do rywalizacji stanęło około trzydziestu zawodników. Na sygnał startera rzuciłem się do wody, jakbym właśnie rozpoczynał bieg na sto metrów. Młóciłem rękoma, a styl, który prezentowałem, w niczym nie przypominał kraula. Nawet nie nabierałem oddechu. Nie potrafiłem. Nabierania powietrza z prawej lub lewej strony podczas pływania nauczyłem się kilka miesięcy później. Po kilkudziesięciu metrach, które pokonałem na bezdechu, wynurzyłem wreszcie głowę i zaczerpnąłem powietrza, po czym znowu pokonałem w ten sam sposób kilkadziesiąt metrów. Nietrudno się domyślić, jak na niedotlenienie zareagował mój organizm. Na pierwszych trzystu metrach wytworzyły się ogromne ilości kwasu mlekowego, który powstaje podczas intensywnego wysiłku w warunkach niedoboru tlenu, co skutecznie utrudniło pracę mięśni i układu oddechowego. W efekcie kolejne metry musiałem pokonywać na zmianę stylem klasycznym, czyli popularną żabką, i na grzbiecie, co dziś jest na większości zawodów zakazane, bo w ten sposób wzywa się pomoc. Ale tylko tak mogłem oddychać swobodnie i spłacić dług tlenowy, jaki zaciągnąłem na pierwszych kilkuset metrach, kiedy trzymałem głowę niemal cały czas pod wodą, wynurzając ją co kilkadziesiąt metrów. Z wody wyszedłem ostatni. Słaniałem się na nogach, bo po raz pierwszy tak dynamicznie zmieniłem pozycję z horyzontalnej na pionową, a bieg po wyjściu z wody wydawał mi się niemożliwy. Miałem ciężkie nogi, ciężki oddech i najchętniej położyłbym się na kocu i odpoczął. Tylko silna wola walki i chęć odrobienia strat pozwoliły mi wsiąść na rower i gonić czołówkę. Nie dogoniłem. Sam bagażnik zrobiony z metalowych prętów ważył około dwunastu kilogramów. Czułem się, jakby ktoś nałożył mi na ramę cegły. Brak znajomości fizjologii wysiłku oraz techniki jazdy kolarskiej spowodował, że ustawiłem przerzutki na największe przełożenia – z przodu wrzuciłem łańcuch na największą tarczę, z tyłu na najmniejszą. Kolarze nazywają to jazdą na twardo. Jest to jazda nieekonomiczna, na niskiej kadencji, obrót korbą wydaje się trwać w nieskończoność, a mięśnie pracują na dużej intensywności. Wydawało mi się jednak, że tylko tak będę jechać szybko. Kiedy skończyłem etap rowerowy, wszyscy już biegli, a ja znowu zmierzyłem się z brutalną rzeczywistością, która pokazała mi, że triathlon to nie trzy osobne dyscypliny. Trzeba umieć połączyć wszystko w całość i rozłożyć siły na wszystkie konkurencje. Mięśnie nóg po zejściu z roweru odmówiły posłuszeństwa i o mało się nie przewróciłem. Przez pierwsze dwa kilometry towarzyszyło mi dziwne wrażenie, jakby świat wokół się zatrzymał. Biegłem, a mimo to wydawało mi się, że idę. Krajobraz wokół w ogóle się nie przesunął. Myślałem, że biegnę wolno, więc z każdym krokiem przyśpieszałem, chciałem jak najszybciej nadrobić straty do uciekających. Nie wiedziałem, że doświadczam złudzenia, spowodowanego tym, że przecież ostatnie kilkadziesiąt kilometrów przesunąłem się z prędkością ponad trzydziestu kilometrów na godzinę, a teraz co najwyżej dziesięć kilometrów na godzinę. Gnałem więc na złamanie karku. Wielu początkujących triathlonistów popełnia ten błąd. Rozpoczynają ostatni etap zawodów zbyt szybko, zakwaszają organizm i blokują tym samym sprawną pracę mięśni, w połowie biegu opadają z sił, muszą zejść z trasy lub w najlepszym wypadku pokonać ostatnie kilometry marszem. Mnie wydawało się, że przez prawie dwa lata systematycznego trenowania zdążyłem już zbudować niezłą wydolność i będzie tylko kwestią czasu, kiedy zacznę doganiać najsłabszych biegaczy w stawce. Nie dogoniłem. Nie pamiętam już dokładnie momentu, kiedy wpadłem na metę, ale na pewno byłem jednym z ostatnich. Strefa zawodów przypominała remizę po opuszczonym weselichu. Wiatr przesunął po trawie śmieci pozostawione przez kibiców, a na mecie nie było już praktycznie nikogo. Byłem sponiewierany. Chciało mi się

rzygać, ale szczerze mówiąc, byłoby to pierwsze rzyganie w moim życiu, z którego bym się cieszył. Zakochałem się w triathlonie.

Kiedy wróciłem do Wrocławia, zostały mi ostatnie trzy tygodnie terapii w Monarze i zgodnie z zasadami ośrodka miałem pójść na swoje. Przygotowywałem się mentalnie do przeprowadzki do Głogowa, gdzie miałem pracować w punkcie konsultacyjnym dla uzależnionej młodzieży. Już w Nowej Soli miałem okazję spojrzeć na narkomanów zupełnie inaczej niż dotychczas – oczami zdrowego człowieka. Niektórzy z nich byli w dużo gorszym stanie niż ja. Zobaczyłem, ile miałem szczęścia, że nie skończyłem w grobie już w wieku dwudziestu kilku lat. Będąc na detoksie, cierpiałem, ale mogłem przyjmować pożywienie i płyny, w przeciwieństwie do jednego z narkomanów, którego właśnie odwiedzałem. Leżał na łóżku i dygotał w gorączce, a lekarze w żaden sposób nie mogli mu pomóc. Wyglądał jak trup. Nie było widać żył, w które można by się wkłuć z kroplówką i podać lekarstwa. Cokolwiek przyjął, natychmiast wymiotował. Następowala błyskawiczna ucieczka potasu z organizmu. Kiedy zaczął tracić przytomność, wezwano karetkę pogotowia, a chirurdzy musieli wypruć mu żyłę z uda, żeby wkłuć się z kroplówką, która uratuje mu życie. Stałem tam i ze łzami w oczach patrzyłem na umierającego chłopaka. Ja miałem szczęście i trochę silnej woli, którą jeszcze w więzieniu obudził Marek Kotański. Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdybym wówczas nie usłyszał o Monarze.

Nadszedł wreszcie ten dzień, w którym trzeba było pożegnać się z mieszkańcami Jarzębinowej we Wrocławiu. Przygotowano dla mnie, tak jak dla każdego, wieczorek z ciastem i herbatą. Monarowski dzwon dał sygnał rozpoczęcia spotkania społeczności. Jarek wręczył mi dyplom ukończenia dwuletniej terapii. Posypały się pytania od domowników, co zamierzam teraz robić, jakie mam plany. Odpowiadałem na wszystkie ze szczegółami, patrząc na twarze tych, którzy w drelichach siedzieli na podłodze, ogoleni na łyso, niektórzy w opłakanym stanie, po detoksie, dopiero co przyjęci do ośrodka. W ich oczach widziałem siebie sprzed dwóch lat, umierającego i niepewnego przyszłości, zrezygnowanego, bez celu i sensu życia. Wiedziałem, że żadne górnolotne i moralizatorskie gadki nie zadziałają. Tu trzeba było mówić wprost, czasami dosadnym językiem, bez lukrowania, dając swój własny przykład, który był najlepszym dowodem, że przy odrobinie zawziętości i systematyczności można wyjść na prostą nawet wtedy, kiedy jest się w głębokiej dupie.

– Nie będzie żadnych długich pożegnań. Wiecie, że nie lubię gadać. Dziękuję wam za wszystko. Odnalazłem tu drugie życie. Gdyby nie to miejsce i wy, dawno wachałbym kwiatki od spodu. Chyba mogę powiedzieć, że jestem dowodem na to, że trzeba wierzyć w marzenia, że nie wolno się poddawać. Ale żeby z tego wyjść, trzeba pracować, uczyć się, mieć cel i pasję. Jeżeli znajdziecie w sobie pasję, będziecie wolni.

– Będziesz palił, jak stąd wyjdiesz? – zapytał ktoś z sali.

Zaskoczyło mnie to pytanie, mimo że wiele razy zwierzałem się, że palenie było moim największym nałogiem. Służba Ochrony Monaru sprawdzała codziennie każdego, a słowo „chuchnij” słychać było na korytarzu najczęściej.

– Nie. Nie będę – odpowiedziałem. – Pić też nie będę. To zamknięty rozdział. Nie mam

powodu, żeby was okłamywać. Zresztą macie dowód, że mówię prawdę, bo dopiero co wróciłem z rowerowego rajdu dookoła Polski. Przez prawie trzy miesiące byłem sam, nocowałem w namiocie, nikt mnie nie sprawdzał. Mogłem pić i palić do woli. Nawet nie powąchałem tego świństwa. Jestem czysty i wolny.

Następnego dnia rano spakowałem się i wyszedłem z ośrodka, żegnając się z Jarkiem. Spojrzałem na bramkę wejściową na podwórko przed ośrodkiem, na chodnik, na którym wypaliłem ostatniego papierosa, na drzwi, w których niespełna dwa lata temu przywitał mnie Jarek. To niewiarygodne, ile zmieniło się w moim życiu od tamtego czasu. Stałem się innym człowiekiem. Dlatego zdecydowałem, że nie wrócę do Legnicy. Nie chciałem widywać miejsc i ludzi, z którymi kojarzyły mi się najgorsze lata mojego życia. Od kilku miesięcy przygotowywałem się do pracy z uzależnionymi w Głogowie, gdzie miałem też rozpocząć karierę sportowca. Zanim jednak na dobre wprowadziłem się do kawalerki przy stadionie klubu Chrobry Głogów, chciałem wykorzystać doskonałą kondycję, jaką udało mi się osiągnąć w trakcie trzymiesięcznego rajdu rowerowego, i spełnić jedno ze swoich marzeń. Pomyślałem, że skoro pokonałem na dwóch kółkach ponad trzy tysiące kilometrów, a były takie dni, w których przejeżdżałem dziennie grubo ponad sto kilometrów, to nie powinienem mieć problemów z ukończeniem mitycznego dystansu, o którym nie tak dawno temu czytałem w gazecie – Ironman. Zapisalem się na pierwsze zawody w Polsce organizowane na tym dystansie w Kaliszu na przełomie sierpnia i września 1986 roku.

CZŁOWIEK Z ŻELAZA I „APOSTOŁ KOTAŃSKIEGO”

(Kalisz, 1986)

Zanim stanąłem na starcie swojego drugiego w życiu triathlonu, a pierwszego na tak długim dystansie, największym problemem, z jakim musiałem się zmierzyć, była woda zalewu Szałe.

Na dwa dni przed zawodami poszła plotka, że imprezę odwołano. Nie pamiętam już, kto zadzwonił do mnie z tą informacją, ale byłem niezłe wkurzony. Kaliski sanepid uznał, że woda nie nadaje się do tego, aby pływać w niej w slipkach, z nagim torsem. Organizatorzy zadzwonili po ratunek aż do Wrocławia. Delegacja tamtejszego sanepidu uznała, że ich koledzy z Kalisza się mylą. Woda może nie jest zdatna do picia, ale pływać w niej można. Na drugi dzień dostałem telefon z informacją, że zawody jednak się odbędą, ale na nieco krótszej trasie ze względu na kiepską pogodę. Chciałem klasycznego Ironmana, żadnych kompromisów. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zastała nas fatalna pogoda, a przede wszystkim bardzo niska temperatura wody, która odstraszyła część uczestników. Cieszył się tylko Jarek Łabus¹¹ – wówczas jeden z najlepszych triathlonistów w Polsce. O zawodach dowiedział się przypadkiem z informacji przekazanych pocztą pantoflową na tydzień przed startem. Zadzwonił do organizatorów, ale usłyszał, że nie ma już miejsc. Przygotowano tylko trzydzieści pięć numerów startowych. Jarek postanowił jednak pojechać do Kalisza w ciemno. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że jeśli stanie na linii startu, nie będzie na niego mocnych. Kilometry, jakie pokonywał na treningach, robiły wrażenie na każdym z nas. Potrafił w tygodniu przejechać rowerem od ośmiuset do tysiąca dwustu kilometrów i przebiec sto dwadzieścia! Któregoś dnia umówił się na trening z innym znanym triathlonistą – Karolem Majewskim, który mieszkał w Gdańsku. Tamten zadzwonił do niego rano z propozycją wieczornego wybiegania, jakieś dwadzieścia kilometrów spokojnym tempem. Jarek nie zastanawiał się ani chwili, wsiadł na rower i spod poznańskiej wsi Lednogóra przejechał trzysta kilometrów do Majewskiego na trening biegowy. Miał, skubany, geny sportowca! Jego kuzyn, Janusz Kowalski, był jednym z czterech Polaków, którzy zdobyli mistrzostwo świata amatorów w kolarstwie. Z takim właśnie zawodnikiem miałem się za chwilę zmierzyć. Kozak, jakich mało. Od dziecka pływał w jeziorze. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni, bez względu na temperaturę wody, wskakiwał do jeziora Lednickiego i trenował. Teraz, dzięki temu, że kilku zawodników przestraszyło się zimnej wody i wycofało z zawodów w ostatniej chwili, on mógł stanąć na linii startu w Kaliszu.

Poszliśmy na odprawę. Wszyscy niecierpliwie czekali na informację dotyczącą stanu wody w zalewie Szałe. Ratownicy, mrugając okiem, odpowiedzieli: „Trzynaście stopni Celsjusza”. Jednak wszyscy wiedzieliśmy, że momentami może być poniżej dziesięciu stopni. Szałe to zbiornik przepływowy, przez który przechodzi nurt rzeki Pokrzywnica, a przy braku słonecznej pogody nie było szans, aby zdążył się nagrzać. Podczas konferencji prasowej przed zawodami wybuchła kłótnia. Kiedy do wszystkich dotarło, że woda jest lodowata, a przebywanie w niej dłużej niż kilkanaście minut grozi hipotermią, w niektórych obudził się głos rozsądku. Pojawiły

się pierwsze propozycje skrócenia odcinka pływackiego. Jeden z zawodników, Jerzy Bednarz, wręcz krzyczał, że to nieodpowiedzialne płynąć w tak zimnej wodzie prawie cztery kilometry:

– Ludzie! W naszej konkurencji pływanie mierzy się stanem utraty ciepła zawodnika, a nie długością dystansu. Inaczej zamarzniemy! Nie o to chodzi, żeby ambicja wygrywała ze zdrowym rozsądkiem i własnymi możliwościami. Pamiętajcie, co było tydzień temu na Jeziorku Czerniakowskim w Warszawie?! Po dwóch kilometrach pływania w zimnej wodzie koledzy przypomnieli sobie, jak się nazywają, dopiero koło Góry Kalwarii¹².

Posypały się oskarżenia, że garstka mięczaków stchórzyła i chce wypaczyć klasyczny dystans Ironmana. Niektórzy byli gotowi płynąć nawet dziesięć kilometrów. Twierdzili, że jeśli komuś się nie podoba, może zrezygnować, tak jak zrobiło to już kilka osób. Sprawy w swoje ręce wziął wreszcie gospodarz tego miejsca. Prezydent Kalisza Andrzej Spychalski zdecydował o skróceniu dystansu. Z trzech kilometrów i ośmiuset metrów zrobiły się dwa kilometry. Po tej decyzji liczba uczestników skurczyła się do piętnastu. Wśród nich było dwóch, o których już wtedy krążyły legendy. Pierwszym był Marian Walczak, rocznik 1933, faworyt gospodarzy, na co dzień szef tkalni Wistor. Już rok wcześniej postanowił udowodnić, że będzie pierwszym w Polsce Ironmanem. Zorganizował sobie jednoosobowe zawody i pokonał cały dystans w ponad czternaście godzin. To był pierwszy oficjalnie znany i odnotowany dystans Ironman w Polsce. Drugą żywą legendą był... listonosz z Kobyłej Góry. Bartek Dolata miał dwadzieścia jeden lat i końskie zdrowie. Mieszkał na wsi oddalonej od Kalisza o sześćdziesiąt kilometrów, a mimo to w dzień zawodów przyjechał na start rowerem! Zaimponował wszystkim, łącznie ze mną, choć doskonale wiedzieliśmy, że skoro już przed startem Ironmana spędził na rowerze prawie trzy godziny, to musiałyby zdarzyć się cud, żeby liczył się w tych zawodach.

Rano, kilka minut po siódmej, ustawiliśmy się na brzegu zalewu Szałe. Mało kto był na tyle odważny, żeby próbować rozgrzewki w lodowatej wodzie! Postanowiliśmy zadbać o komfort cieplny w inny sposób. Każdy z nas nałożył na całe ciało różne mazidla: wazelinę lub towot, czyli gęsty smar maszynowy, które miały ograniczyć oddziaływanie zimna na skórę. Garstka kibiców, która zgromadziła się na plaży, patrzyła na nas jak na kosmitów. Ubrani w ciepłe spodnie i kurtki rozgrzewali się, paląc papierosy, i czekali niecierpliwie, co się wydarzy.

Czekał nas długi dzień, kilkanaście godzin wysiłku. Ponieważ było nas piętnastu, nie było mowy o żadnej „pralce” w wodzie. Każdy miał wystarczająco dużo miejsca, aby bezstresowo rozpocząć pierwszy etap zawodów. „Boże! Jaka lodówka! Znowu zimno. Kurwa! Czy ja nigdy nie pozbędę się tego uczucia?!” – myślałem, próbując niezdarnie utrzymać chociaż namiastkę poprawnego stylu pływackiego. W wodzie o temperaturze dziesięciu stopni Celsjusza pływanie kraulem było nie lada wyczynem. Mięśnie sztywniały, oddech stawał się płytki i łamało w kościach. Na ciele czułem igiełki, jakby tuzin mieszkanek Dalekiego Wschodu uwzięło się na mnie i postanowiło w jednym momencie pokazać mi, co to znaczy akupunktura. „Dobrze, że skrócili pływanie do dwóch kilometrów! To moja najsłabsza konkurencja” – pomyślałem. Od czasu do czasu musiałem zmieniać styl na żabkę. Wybiegłem z wody na szóstą pozycję.

Szybko przebrałem się w strefie zmian w strój kolarski i wyruszyłem na trasę rowerową – sto osiemdziesiąt kilometrów. To była dla mnie najłatwiejsza część zawodów, choć trasa rowerowa nie była łatwa. Mieliśmy do pokonania cztery pętle ze stromym podjazdem. Wiał silny boczny wiatr. Najgorszy był jednak kiepskiej jakości asfalt. Trzeba było uważać, żeby nie wpaść w dziurę. Miałem mocne nogi, a podjazd, który pokonywaliśmy kilka razy, był moim sprzymierzeńcem. To właśnie tam moi rywale tracili najwięcej siły.

W pewnym momencie o mało nie doszło do kompromitacji, bo dwóch zawodników z liderem

Jarkiem Łabusem na czele pomyliło trasę. Już na pierwszym zakręcie porządkowi skierowali ich w złą stronę i dopiero po jakimś czasie zorientowali się, że coś jest nie tak. Kiedy informacja dotarła do organizatorów, ci zaczęli ratować sytuację. Dogonili Łabusa i drugiego zawodnika samochodem i zawrócili na właściwą trasę, a już na mecie odliczyli stratę od końcowego czasu. Niestety, początki triathlonu w Polsce to nie tylko euforia i zachwyt nad herosami, którzy udowadniali, że zmęczenie nie istnieje. To również braki organizacyjne, ale zawsze na pionierów czekają niespodzianki. Nikt nie miał punktu odniesienia, jak powinny wyglądać wzorowo zorganizowane zawody. Organizatorzy bronili się przed zarzutami o niedociągnięcia: „Macie mapkę? Wszystko wyjaśniliśmy na odprawie? Pokazaliśmy trasę, obwożąc was po niej autobusami? To o co chodzi? Musicie pilnować trasy samodzielnie”. Nie było żadnego pilota. Jeżeli były jakieś strzałki, to tylko na najbardziej skomplikowanych skrzyżowaniach dróg. Częściej pytaliśmy ludzi, jak jechać, gdzie skręcić na daną miejscowość.

Etap rowerowy skończyłem na drugim miejscu, mając przed sobą tylko Jarka Łabusa. Ta informacja dodała mi skrzydeł.

Bieganie maratonu po tak morderczej jeździe na rowerze nie należało jednak do łatwych. Pamiętam swoje dwa pierwsze biegi maratońskie, w których od trzydziestego kilometra szedłem ze zmęczenia. Teraz, po stu osiemdziesięciu kilometrach jazdy rowerem, mogłem spodziewać się gorszej sytuacji, dlatego etap biegowy rozpocząłem właśnie od marszu. Rozluźniałem nogi, rozciągałem kręgosłup i mięśnie barków, które bolały najbardziej po tylu godzinach trzymania jednej i tej samej pozycji na rowerze. Po kilkuset metrach zacząłem truchtać. Wiedziałem, że muszę dużo jeść, a na brak pożywienia nie mogłem narzekać. Okoliczni mieszkańcy, kiedy tylko usłyszeli, że grupa szaleńców przez cały dzień będzie pływała, jeździła rowerem i biegała przed ich domami, wystawili stoły z ciastem, kompotem, kotletami i ogórkami. „Jak na dobrym wiejskim weselu!” – pomyślałem. Jadłem co popadło, nie zdając sobie sprawy z tego, że panierowane mięso nie jest najlepszym źródłem energii dla biegacza, a trawienie kotleta podczas zawodów to dla organizmu trudniejsze wyzwanie niż maratoński bieg na samych owocach. Nie miałem wówczas pojęcia o zasadach żywienia podczas długotrwałego wysiłku sportowego, tym bardziej nie należało tego wymagać od kibiców, którzy pierwszy raz w życiu usłyszeli o zawodach, które trwają cały dzień! Nasz wyczyn robił na nich ogromne wrażenie. Chcieli pomóc i robili to na swój sposób. Dziękowałem im za doping i z uśmiechem przyjmowałem każde wsparcie na trasie. Z pomocy gospodyń wiejskich korzystał również mój niedościgniony lider – Jarek Łabus. Na jednym z okrążeń, przebiegając obok jakiejś posesji, usłyszał biadolenie starszej pani, która prawie ze łzami w oczach zamartwiała się, że zamęczymy się na śmierć. Kiedy Jarek krzyknął do niej, że wszystko jest w porządku i żeby podała coś do jedzenia na kolejnym kółku, kobieta przygotowała mu długie pętko kiełbasy. Łabus wyglądał, jakby biegł z pałeczką sztafetową, która z każdym metrem stawała się krótsza o jeden gryz. Kotlety, kiełbasa, chleb, jabłka i śliwki – to było w naszym startowym menu.

Nagle na trasie zawodów zaczęło pojawiać się coraz więcej kibiców. Zauważyłem, że niektórzy z nich rozpoznają zawodników i kibicują im po imieniu! „Co jest grane?! Przecież na brzegu jeziora stała garstka?” – myślałem. Okazało się jednak, że do Kalisza przyjechali z Poznania i okolic znajomi, między innymi Jarka Łabusa, którzy z radia dowiedzieli się o zawodach. Co godzinę bowiem w programie „Lato z Radiem” można było usłyszeć relację z zawodów, a ci, którzy do Kalisza mieli blisko, zdążyli załapać się jeszcze na etap biegowy.

Z mojej perspektywy jeszcze jeden szczegół dodawał kolorytu tej imprezie. Otóż część działaczy sportowych nie była chyba mentalnie przygotowana na tak długie zawody. Kiedy tylko

wyruszyliśmy na trasę rowerową, zaczęli wspomagać się piwem. Pod koniec zawodów niektórzy z nich byli już lekko wstawieni.

Nie dogoniłem Łabusa. Wpadł na metę pierwszy, a ja pięć minut później. Ale nad trzecim, Karolem Majewskim, miałem prawie dziesięć minut przewagi.

Kiedy wbiegałem na metę, Jarek Łabus czekał na mnie z kwiatami. Wpadliśmy sobie w ramiona, uściskał mnie i oddał wiązanekę, którą dostał za pierwsze miejsce. Większość zawodników i działaczy wiedziała o mojej przeszłości. Dziennikarze w swoich relacjach opowiadali o narkomanie, który wrócił z zaświatów. Dostałem od nich ksywę „Apostoł Kotańskiego”.

Na kaliskich zawodach zabrakło kilku zawodników, którzy mogli się liczyć w ostatecznej rozgrywce, ale i tak mój sukces, biorąc pod uwagę przeszłość i stopień zaawansowania treningowego, był niewątpliwy. Zająłem drugie miejsce, dając tym samym sygnał działaczom rodzącego się w Polsce triathlonu, że warto na Górskiego postawić.

UTRZYMAĆ KOŁO (Głogów, 1986–1989)

Głogów otworzył przede mną kolejny nowy rozdział. Kiedy działacze sportowi zobaczyli, jak mocny jestem na rowerze, zaproponowali mi reprezentowanie barw tamtejszego klubu. Badania wydolnościowe, które przeszedłem w Wojewódzkiej Przychodni Sportowo-Lekarskiej w Jeleniej Górze, pokazały, że mam nowe ciało, nowy układ sercowo-naczyniowy i nowy układ oddechowy. Nikt nie potrafił wytłumaczyć tego, co stało się z moim organizmem w ciągu ostatnich dwóch lat, a moi trenerzy i działacze klubu długo dyskutowali z lekarzami, pytając o logiczne wytłumaczenie tego fenomenu.

– Panie doktorze, powtórzmy proszę te badania, bo to jest jakiś absurd! Jak narkoman może mieć VO_2max na poziomie prawie siedemdziesięciu mililitrów, wydolność zawodowego kolarza, hemoglobinę jak Antek Niemczak, a tętno spoczynkowe jak słoń? Chce pan powiedzieć, że jego komórki przez czternaście lat ćpania zamieniały całe to gówno w glikogen mięśniowy? To może Nobla dostaniecie, co? – podsłuchiwałem rozmowę.

– Z medycznego punktu widzenia są dwa wytłumaczenia. Najczęściej spotykanymi w publikacjach naukowych markerami genetycznymi są te, które determinują budowę ciała, siłę mięśniową oraz metabolizm glukozy i insuliny. Czyli mówiąc prostym językiem, są geny, których posiadanie może w sprzyjających warunkach zbudować określonego sportowca.

– Morfina, heroina, papierosy i alkohol w rozumieniu medycyny są sprzyjającymi warunkami?! Ciekawa teoria.

– Genetyka to jeden z czynników. W przypadku sportowców wytrzymałościowych jest jeszcze mnóstwo innych czynników zewnętrznych. Jurek ma geny na sport wytrzymałościowy, to raz. Jest uparty i systematyczny, to dwa. A dlaczego dochodzi do takich wyników? Bo jest chory. On choruje na „holizm”. Czy to będą papierosy, alkohol, narkotyki czy kobiety. Nieistotne. Substytut to na przykład nauka, sport.

– Wytrzyma z zawodowcami?

– Możecie dokręcać śrubę. Tylko powoli...

Powoli... Tego słowa nie rozumiałem i nie akceptowałem jak zawsze. Chciałem mieć i mieć wszystko już, teraz, natychmiast. Organizm, jakby słysząc moje wołanie, odbudowywał się w nieprawdopodobnie szybkim tempie. Po ponaddwuletnim okresie leczenia w Monarze ważyłem siedemdziesiąt jeden kilogramów. Zdrowo przybrałem na masie mięśniowej, a po doprowadzonym do skrajności organizmie, kiedy ważyłem czterdzieści osiem kilogramów i umierałem na łóżku wrocławskiego szpitala, nie było ani śladu. Gdyby nie blizny na przedramionach od cięć żyłką, na brzuchu od cięć nożem, nikt by nawet nie podejrzewał, że miałem za sobą mroczną przeszłość. Badania pokazały, że Górski zmartwychwstał. Wartość mojego VO_2max , czyli maksymalnego poboru tlenu w warunkach maksymalnego wysiłku, zwanego również pułapem tlenowym, zadziwiła trenerów i lekarzy. Osiągnąłem sześćdziesiąt osiem i pół mililitra tlenu na minutę na kilogram masy ciała, co, biorąc pod uwagę moją przeszłość, było wynikiem zadziwiającym. Najlepsi zawodnicy na świecie mogą się pochwalić VO_2max na poziomie między siedemdziesiąt a dziewięćdziesiąt.

Niestety, w Chrobrym Głogów nie było sekcji triathlonowej, do której mógłbym się zapisać. Trafiłem do sekcji kolarskiej, ale wszyscy doskonale wiedzieli, że będę startował w triathlonie. Miałem ukończone dwa, w planach kolejne, a największe marzenia dopiero przed sobą. Jedno z nich spełniło się od razu, ponieważ zamieszkałem na stadionie Chrobrego Głogów, w jednoosobowym pokoju, w budynku przylegającym do obiektów sportowych. Pokój był tak mały, że zmieściło się tam tylko łóżko, mała szafka, piecyk do gotowania i grzałka. Z trudem wcisnąłem tam moją kolarzówkę, która oparta raz o łóżko, raz o ścianę, towarzyszyła mi dwadzieścia cztery godziny na dobę. Była moją żoną i kochanką. Dla niej mógłbym w tamtym czasie wyrzucić łóżko z pokoju i spać na podłodze. Pomieszczenie miało dosłownie kilka metrów kwadratowych, ale po więziennej celi każdy pokój był dla mnie apartamentem. Otworzyłem okno i do oczu nabiegły mi łzy. Miałem widok na główny stadion, a kiedy wychyliłem się bardziej, widziałem drugi – treningowy. Dla kogoś, kto marzył o sportowej karierze, a właśnie wyleczył się z narkotyków, taki widok był spełnieniem najskrytszych marzeń. Czuję się, jakbym stał na Maracanie w Rio de Janeiro – kiedyś największym stadionie piłkarskim świata, który mógł pomieścić prawie dwieście tysięcy widzów. Kiedy tylko złapałem sportowego bakcyła, chciałem, aby wszystko w moim życiu wyglądało tak jak w życiu zawodowego sportowca. Chciałem żyć sportem dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Już w Monarze uczyłem się pływać, ale moje lekcje polegały głównie na podglądaniu, jak robią to inni. Prawdziwą szkołę odebrałem podczas swojego pierwszego obozu sportowego w Drzonkowie, a później Szklarskiej Porębie i Zakopanem. To tam spotkałem polskich pięcioboistów, którzy kilka lat później zdobyli olimpijskie medale. Pływałem po swojemu, a pięciobości, widząc nieporadnego człowieka na torze, pytali, skąd się tu wziąłem i co trenuję. Pomagali i objaśniali, co robię źle. Spotykałem się z ogromną życzliwością i otwartością. Naśladowałem ich. Najwięcej lekcji odebrałem od Darka Goździaka i Maćka Czyżowicza, którzy razem z Arkiem Skrzypaszkiem zdobyli w Barcelonie w 1992 roku złoty medal olimpijski. Próbowaliśmy naśladować ruchy, które wykonywał w wodzie Arkadiusz Skrzypaszek. Swoimi pytaniami zamęczałem Zbigniewa Pacelta, który był wtedy szkoleniowcem reprezentacji narodowej w pięcioboju nowoczesnym. Wszystko robiło na mnie wrażenie. Okulary pływackie Arena w plastikowym pudełku – marzenie! Zachwyciłem się nawet opakowaniem ze sztucznego tworzywa. Teraz taki sprzęt na nikim nie robi wrażenia, ale wtedy to był skarb.

Miałem ogromne problemy z techniką pływania i na każdym treningu starałem się uzyskać od chłopaków informacje, co robić, żeby jak najszybciej wyeliminować błędy. Nigdy nie odmawiali. Jakie ja miałem w życiu szczęście! Spotykałem na swojej drodze ludzi, którzy bezinteresownie pomagali mi wyjść na prostą. Nie mieli z tego żadnych pieniędzy, rozgłosu ani sławy, zaufali byłemu narkomanowi, który ubzdurał sobie, że po czternastu latach ćpania zostanie sportowcem. Pukałem do każdych drzwi, a kiedy były zamknięte, wchodziłem przez okno, prosząc o pomoc i radę.

Swoją wiedzę i doświadczeniem podzielili się też ze mną wybitni kolarze. Joachim Halupczok – wicemistrz olimpijski i dwukrotny mistrz świata w kolarstwie szosowym, Zbigniew Spruch – zawodowy mistrz świata, Marek Leśniewski – sześciokrotny mistrz Polski i dwukrotny olimpijczyk. Poznałem ich między innymi na obozach sportowych w Szklarskiej Porębie i Zakopanem, i to z nimi trenowałem. To ich pytałem o to, jak mam trenować, żeby być coraz lepszy. Najmocniejsze treningi rowerowe robiłem z Adamem Zagajewskim, jednym z najlepszych kolarzy w Polsce, wtedy zawodnikiem sekcji kolarskiej w Głogowie. Pamiętam wspólny trening, podczas którego o mało serce nie wyskoczyło mi z klatki piersiowej, a mięśnie

piekły od bólu. Jechaliśmy wówczas na tak zwanych twardych przełożeniach, czyli ustawialiśmy łańcuch na dużej tarczy z przodu i małej zębatce z tyłu. To powodowało, że trzeba było włożyć sporo siły, aby rozwinąć odpowiednią prędkość na rowerze.

– Dawaj! Ciśnij, Jurek! – krzyczał Adam, którego próbowałem dogonić.

W kolarskim żargonie mówiliśmy na taką sytuację „utrzymać koło”, a więc jechać tuż za prowadzącym kolarzem. Goniłem faceta, który w tamtym czasie wygrywał etapy w Tour de Pologne! W 1986 roku, kiedy się poznaliśmy, Adam zwyciężył w klasyfikacji najaktywniejszego kolarza tego wyścigu. Teraz uczył mnie jazdy na kole, techniki pokonywania podjazdów i układania ciała na zjazdach. Podobnie zresztą jak Halupczok i Spruch. Ale trening triathlonisty to w dużej mierze samotność długodystansowca, bo triathlon to sport indywidualny. Wielogodzinne treningi, podczas których byłem skazany wyłącznie na sobie, były niezłą szkołą silnej woli, samodyscypliny i uporów. Od czasu do czasu brałem jednak udział w treningach kolarzy, aby dać organizmowi inny bodziec. Oczywiście nie wytrzymywałem tempa narzuconego przez zawodowców i wiele razy odpadałem od grupy. Ale starałem się jak mogłem, nie odpuszczałem i próbowałem dorównać najlepszym. Czasami ryzykowałem, choć wtedy nie zdawałem sobie sprawy z niebezpieczeństwa pewnych zachowań.

Pewnego dnia wybrałem się na trening z zawodowcami. Jechaliśmy publiczną drogą, po której poruszały się samochody. Kiedy jakiś nas wyprzedzał, przyspieszaliśmy ile sił w nogach, doskakiwaliśmy do tylnego zderzaka i ustawialiśmy się w tunelu aerodynamicznym. Najlepsze były do tego typu akcji nyski i lubliny – duże, dostawcze samochody bez szyby z tyłu. Kierowca nie zdawał sobie sprawy, że kilku wariatów postanowiło ścigać się z samochodem i że właśnie siedzimy mu na zderzaku. Nie widział nas w lusterku, bo chowaliśmy się za tylną klapą. Trzymaliśmy się tak blisko, że przednie koło niemal dotykało tylnego zderzaka. Poruszanie się za samochodem dawało możliwość szybszej jazdy, bo pojazd przed nami zmniejszał opór powietrza i chronił nas przed wiatrem. Bywało, że przez kilka kilometrów jechaliśmy za samochodem z prędkością nawet sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Wystarczyłoby jedno mocne hamowanie i taki trening skończyłby się tragicznie. Jeden z takich niebezpiecznych momentów pamiętam bardzo dobrze. Mieliśmy w nogach już ponad czterdzieści kilometrów, minęliśmy Lubin i wskoczyliśmy za samochód, trzymając się zaledwie centymetr od tylnego zderzaka. Trzeba było uważać nie tylko na pojazd, ale również na partnera obok. Jeden z chłopaków jechał ze mną niemal ramię w ramię, od czasu do czasu trącaliśmy się lekko łokciami. Nagle podskoczył na jakiejś nierówności, odbił kierownicą w prawo i uderzył mnie łokciem tak mocno, że prawie straciłem równowagę. Zjechałem skrajnie na prawą stronę, niemal zahaczając kołami o żwirowe pobocze. Gdyby tylko koło zsunęło się z asfaltu, to przy prędkości prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę byłoby po mnie.

Wszystkie rowerowe treningi, nawet te najbardziej brawurowe i szalone, dały mi niezłe podstawy, zbudowały bazę, od której mogłem się teraz odbić i udowodnić, że Górski na rowerze jeszcze poszaleje. Byłem w tym naprawdę dobry! Wygrywanie w triathlonie między innymi z takim zawodnikiem jak Stanisław Zajfert, jeden z najlepszych polskich triathlonistów, było nie lada osiągnięciem. Miałem jednak utrudnione zadanie nie tylko dlatego, że ścigałem się z zawodowcami, ale również dlatego, że mój sprzęt nieco odstawał jakością od tych najlepszych. Ale wszędzie tam, gdzie progres zależał bezpośrednio ode mnie, dawałem z siebie wszystko.

Byłem głodny wiedzy i szukałem dojścia do najlepszych, bo chciałem być tacy jak oni. Wiedziałem, że tylko kontakt z najlepszymi pozwoli mi szybko nadrobić stracony czas, zyskać niezbędną wiedzę, którą w owym czasie można było zdobyć na dwa sposoby – przez bezpośredni kontakt lub w czytelnicy w bibliotece. Nie było internetu i telefonów komórkowych, w grę nie wchodziło żadne „googlowanie” i wymiana wiedzy przez internet. Moją wyszukiwarką było pukanie do każdych drzwi, za którymi mogłem spotkać eksperta, znawcę i pasjonata sportu: „Dzień dobry. Nazywam się Jerzy Górski. Trenuję triathlon...”. Niemal zawsze dostawałem to, o co prosiłem. Mój pęd do zdobywania wiedzy zaskakiwał nawet trenerów.

– Ty wszystko chcesz wiedzieć, Górski – śmiał się Waław Skarul¹³, trener kolarzy, którego zamęczałem pytaniami na obozie sportowym w Zakopanem.

Zawsze cierpliwie odpowiadał i podpowiadał, co i jak trenować. Generalnie nie akceptował obcych na swoich treningach, ale mi zaufał. Miałem w oczach pasję, a on lubił tych, którzy chcieli coś osiągnąć. Nie miał pojęcia, co mnie w życiu spotkało, bo po opuszczeniu Monaru coraz mniej chętnie dzieliłem się z innymi swoją przeszłością. Nie dlatego że się jej wstydzilem, ale dlatego że to był już zamknięty rozdział. Nie chciałem niczyjej litości. O ile na początku musiałem szczerze mówić, gdzie mieszkam i gdzie się lecę, o tyle po zakończeniu terapii nie było już taryfy ulgowej. Zamęczenie innych swoją historią nie wchodziło w grę. Któregoś dnia, już po kilku wspólnych treningach na sali gimnastycznej, podszedłem do Waława Skarula i zapytałem:

– Panie trenerze, mogę z wami pojeździć?

Wako, jak wołali na Skarula kolarze, był konkretny i stanowczy:

– Dobra, Górski. Możesz dołączyć do mojej ekipy, ale pod jednym warunkiem. Masz być jednym z nich – wskazał palcem na Halupczoka i resztę ekipy, która rozciągała się w rogu sali gimnastycznej. – Stosujesz się do wszystkiego, co ci powiem, wykonujesz dokładnie to samo, co robią moi zawodnicy. Nie ma taryfy ulgowej... i bez zbędnej dyskusji.

„No to, kurwa, pięknie! Drugi Monar” – pomyślałem.

– Dobra. Zgoda. Nie będę przeszkadzał – powiedziałem to równie stanowczo jak Wako o swoich zasadach.

Wtopiłem się w zespół. Wielu ćwiczeń nie byłem w stanie wykonywać na tej samej intensywności, ale trenowałem. Kończyłem zadania kilka lub kilkadziesiąt minut później, ale robiłem dokładnie to, co mówił trener Skarul. Dokładnie tak jak w Monarze. Kazali biegać – biegałem te cholerne tysiąc siedemset metrów, chociaż rzygałem krwią.

Waław Skarul patrzył na mnie jak na kosmitę i zastanawiał się, czy dobrze robię, tyle trenując. Jego kolarze trenowali trzy razy dziennie, a ja czasami cztery. Bywało, że o piątej rano wstawałem na basen i zanim wszyscy zdążyli rozsiąść się na stołówce do śniadania, ja byłem już po swoim pierwszym treningu pływackim. Później dołączałem do ekipy Skarula i wyjeżdżaliśmy rowerami w góry. Aż kipiałem od pasji trenowania, zadziwiałem wszystkich wokół. Wieczorem przychodziłem do trenera i jak z karabinu maszynowego strzelałem pytaniami o metodykę treningu, żywienie i regenerację. Bywało, że kłóciliśmy się o triathlon, dyskutując o kolejności następujących po sobie dyscyplin. Lepiej trenować bieganie po pływaniu czy może pływanie po jeździe rowerem? Na dyskusjach do późnej nocy mijały nam dni obozowego życia. Po powrocie do Głogowa starałem się wcielić w życie wszystko to, co usłyszałem. Wielu rzeczy nie rozumiałem. Przesiadywałem w bibliotekach i czytałem książki z zakresu fizjologii wysiłku, biochemii. Notowałem wszystkie niezrozumiałe pojęcia i definicje, a później prosiłem

o wyjaśnienia ludzi, którzy się na tym znali. Czytałem wszystko na temat zdrowego żywienia.

W Chrobrym Głogów spotkałem kolejną cudowną osobę. Świetnego trenera, Jacka Szczurka, który wymyślił mi cały trening triathlonowy. Ta dyscyplina sportu dopiero się rodziła, więc nie było gotowych rozwiązań, z których można było skorzystać. Po takie trzeba było jeździć na Zachód, ale przepływ informacji i dostępność do wiedzy nie były tak łatwe jak dziś. Szczurek wymyślił mi doskonały tygodniowy plan treningowy i jestem pewien, że sprawdziłby się u wielu zawodników nawet dzisiaj. Poniedziałek był dniem luźnym, regeneracyjnym, ale nie wolnym. Zazwyczaj pływałem. We wtorek mocny akcent biegowy, środa treningowa, ale na niskiej intensywności, czwartek znowu mocny akcent w jakiejś konkurencji i piątek niemal luźny. Zawsze w sobotę robiłem minitriathlon. Rozpoczynał się zgodnie z regułami sztuki – pływałem na basenie. Później przebierałem się i wsiadałem na rower, a następnie wszystko kończyłem bieganiem. Mimo, że sobotni trening był bardzo wyczerpujący, w niedzielę nie odpuszczałem. Wsiadałem na rower i znikąłem na trzy, cztery godziny, żeby pokonać nawet sto trzydzieści kilometrów. W tamtych czasach w Polsce taki trening nie był jeszcze powszechny, jeżeli w ogóle znany. Zazwyczaj trenowałem dwa razy dziennie – rano pływałem, a po południu jeździłem na rowerze, biegałem lub ćwiczyłem na siłowni. Trening z ciężarami był jedną z ważniejszych jednostek treningowych. Dwa do trzech razy w tygodniu odwiedzałem siłownię, wzmacniałem mięśnie, wyciskając sztangę i hantle, robiłem pompki, przysiady i podciągania na drążku.

Treningi w Chrobrym były jednym z najwspanialszych okresów w mojej karierze. Mimo że rywalizowaliśmy ze sobą, bawiliśmy się sportem. Urządzaliśmy prawdziwe pojedynki biegowe, chcąc przypodobać się dziewczynom. Bardzo często ścigałem się z pierwszoligowymi piłkarzami ręcznymi, z których część mieszkała w tym samym budynku co ja. Wieczorami żartowaliśmy i sprzeczaaliśmy się na różne tematy. Aby rozstrzygnąć spór, bardzo często umawialiśmy się na pojedynek. Biegowy pojedynek. Rano stawialiśmy się w umówionym miejscu, gdzie zaczynała się siedmiokilometrowa trasa biegowa. Rzucaliśmy monetą, kto w którą stronę pobiegnie, po czym ustawialiśmy się do siebie plecami. Na sygnał rozpoczynaliśmy bieg, a wygrywał ten, kto pierwszy dotarł z powrotem w to samo miejsce. Większość pojedynków wygrywałem z przewagą, ale czasami trafiałem na równego sobie i emocje sięgały zenitu, kiedy zbliżaliśmy się do mety, biegnąc wprost na siebie.

Między treningami pracowałem. Nie zapomniałem, kim byłem i jaki dług miałem do spłacenia. Karma wracała. Pomagałem uzależnionym, którzy zgłaszali się po pomoc do Poradni ds. Narkomanii w Głogowie. Na adres tej placówki przychodziły do mnie również listy od ludzi, którzy błagali o pomoc. Pisali narkomani, ich rodzice i znajomi, dziewczyny narkomanów i chłopaki narkomanek.

Otworzyłem jedną z kilku kopert, które dostałem na ostatnim dyżurze. Wyjąłem list – jedna kartka w kratkę wyrwana z dużego zeszytu formatu A4. Lewa krawędź lekko postrzępiona. Na górze pieczętka zakładu karnego we Wrocławiu. Kleczkowska. Korespondencja sprawdzona przez Służbę Więzienną. Nie było miejsca na gryps.

Cześć Jurek, na pewno będziesz zaskoczony tym listem. Wiem, że nie powinno się wracać do przeszłości, ale to jedyny sposób, abyś przypomniał sobie osobę, która do Ciebie pisze z prośbą o pomoc. Spotkaliśmy się w więzieniu na Kleczkowskiej we Wrocławiu w 1975 roku.

Boże... To już trzynaście lat! Odtwarzałem sceny z zakładu karnego, próbując przypomnieć sobie twarz Witolda. Kilka linijek niżej padały już szczegóły, z kim i w jakiej celi siedział.

Drugi raz spotkaliśmy się w zakładzie karnym w Jeleniej Górze. (...) Spytasz, dlaczego do Ciebie piszę? Czytałem o Tobie dużo dobrego. Wiem, że wyszedłeś z bagna, w którym byłeś. Mam córkę. Piętnaście lat, ostro bierze, pije. Dowiedziałem się o tym kilka dni temu, kiedy byłem razem z nią na dziesięciogodzinnym widzeniu poza murami. Nie chciała się przyznać. Ale ja zbyt dużo widziałem. Nie dałem się oszukać. Nie chciałem robić awantury, bo przecież to by nic nie dało, tylko straciłbym z nią kontakt.

Jurek, proszę, odpowiedz mi, czy jest szansa, żebyście zabrali ją do siebie do Głogowa? Muszę ratować to dziecko. Jest jedyną osobą, która mi została, prócz matki. Wiem, że przyczyną tego, co się stało, jest moja przeszłość i więzienie, w którym siedzę. Małżeństwo się rozpadło. Córka trafiła w nieodpowiednie towarzystwo. Proszę, pomóż mi.

Pomagałem. I Witkowi, i innym, którzy zgłaszali się po pomoc. Wchodziłem do mieszkań narkomanów, rozmawiałem z nimi i ich rodzicami, przekonywałem, że jeszcze nie wszystko stracone. Córka mojego kolegi z więzienia trafiła wkrótce na detoks, a później do jednej z monarowskich placówek. Kolejna odratowana osoba, kolejne dziecko wyciągnięte z matni narkomanii. Nie wszyscy mieli takie szczęście. Wielu po detoksie wracało do ćpania, byli tacy, którzy przerywali leczenie w Monarze i znów sięgali po narkotyki, niektórzy nie mieli szczęścia – umierali.

Treningi, praca w ośrodku dla uzależnionych, w letnie weekendy zawody triathlonowe i biegowe – tak minęły trzy lata.

ULTRAMAN

(Głogów, 1988–1989)

Siedziałem w pokoju zmęczony po jednym z intensywniejszych treningów rowerowych. Zrobiłem ponad sto dwadzieścia kilometrów mocnej jazdy w tempie zawodów Ironman. Przeglądałem swoje notatki treningowe i różne broszury zawodów sportowych. Nagle w ręce wpadł mi folder, który dostałem od kogoś jeszcze w Monarze – opis zawodów Ultraman na Hawajach i formularz zgłoszeniowy. Dystanse i okoliczności, w jakich rozgrywano zawody, robiły wrażenie. Wyścig trwał trzy dni. Pierwszego dnia zawodnicy mieli do pokonania dziesięć kilometrów w oceanie u wybrzeży największej wyspy archipelagu – Big Island. To właśnie tam rozgrywane są od wielu lat mistrzostwa świata na dystansie Ironman. Start Ultramana zaczynał się szóstej trzydziści, kilka minut po wschodzie słońca. Po wyjściu z wody triathloniści natychmiast siadali na rowery i jechali sto czterdzieści pięć kilometrów po górzystym terenie, wspinając się na szczyt wulkanu. Tam odpoczywali do rana i tuż po wschodzie słońca znowu zaczynali jazdę rowerem. W drugim dniu musieli pokonać aż dwieście siedemdziesiąt sześć kilometrów. Trzeciego dnia czekał na nich podwójny maraton. Trasa licząca osiemdziesiąt cztery kilometry prowadziła wśród zastygłej wulkanicznej lawy rozgrzanej hawajskim słońcem. Zamknąłem oczy. Zacząłem wyobrażać sobie, jak zanurzam się w ciepłych wodach Pacyfiku, jak jadę rowerem wzdłuż pól stworzonych przez zastygłą lawę, która z gotującej się czerwieni przeszła w czerń. Ściganie się w takich warunkach to kwintesencja najtrudniejszych wyzwań w sporcie wytrzymałościowym. Marzyłem o czymś takim. Były to zawody dla wybrańców. Chciałem być jednym z nich, ale niestety nie wystarczyło pochwalić się ukończeniem maratonu Ślężan czy nawet drugim miejscem w Ironmanie w... Kaliszu. Trzeba było mieć na koncie wyczyn, który przekonałby organizatorów, że nie tylko bezpiecznie i w zdrowiu ukończę zawody, ale będę również godnym rywalem dla pozostałych w stawce. Przyjmowano najlepszych na świecie. Nie miałem szans. Mimo wszystko, z pomocą kolegów znających język angielski, wypełniłem podanie i wysłałem do Stanów. Mijały tygodnie. Żadnej odpowiedzi. Nawet odmownej. Napisałem kolejny raz i nic. Zachodziłem w głowę, co tu zrobić, aby przekonać organizatorów, żeby zaprosili mnie na zawody. „Skoro oni nie chcą mnie na Hawajach, ja zrobię sobie Hawaje w Głogowie” – pomyślałem. Następnego dnia rano pojechałem do Federacji Sportu w Legnicy. Przywitał mnie wiceprezes Ryszard Matuszak i z ciekawością słuchał wizji, jaką przed nim roztaczałem:

– Panie prezesie, pokażemy Amerykanom, że w Polsce też potrafimy pokonać Ultramana. Pisałem do nich, ale nie zapraszają, więc na naszym podwórku zrobimy te zawody, a czas, jaki wykręcę, wyślę im na Hawaje. Może wtedy ich przekonam. Tylko potrzebuję pomocy.

– Ilu zawodników ma w tym wziąć udział, panie Górski? – zapytał prezes.

– Tylko ja – odpowiedziałem.

– Chce pan, żebym zorganizował zawody dla jednej osoby? Oszalał pan?

Uśmiech na mojej twarzy skrzyżował się z grymasem zakłopotania. Milczałem, a moje oczy mówiły zamiast mnie. Po chwili Matuszak zapytał:

– Czego pan potrzebuje?

– Przede wszystkim wszystko musi być wiarygodne – zacząłem mówić dynamicznie, odczytując to pytanie jako zgodę. – Komisja sędziowska musi potwierdzić dystanse, a później pilnować i poświadczyć, że wszystko zrobiłem zgodnie z przepisami.

– Czy pan sobie zdaje sprawę z tego, co trzeba zorganizować? Musi pan iść na milicję i zgłosić potrzebę eskortowania na całej długości trasy, trzeba wstrzymać ruch drogowy, kiedy będzie pan przejeżdżał przez skrzyżowania. Pogotowie musi wystawić karetkę, trzeba znaleźć wolontariuszy, którzy będą panu podawać jedzenie przez te trzy dni...

– Zajmę się tym, panie prezesie. Wszystko zorganizuję. Od pana potrzebuję komisji sędziowskiej i glejtu do komendy, że się zgadzacie.

– Górski, te narkotyki pomieszały wam w głowie, ale dobrze. Zgadzam się.

Kolejne dni upłynęły na organizowaniu zaplecza, rysowaniu map, obmyślaniu logistyki i najmniej kolizyjnych tras przejazdu rowerem. Byłem w amoku, biegałem od działacza do działacza i przekonywałem, że warto zaangażować się w to przedsięwzięcie, wysyłałem zaproszenia do mediów, żeby nadać sprawie rozgłos, organizowałem strefy żywieniowe i punkty kontroli pomiaru czasu. Ryszard Matuszak wstawił się za mną w jednostce wojskowej, która wystawiła żołnierzy z laserowym pomiarem odległości. Na Jeziorze Sławskim wyznaczaliśmy w ten sposób okrążenia, które składały się na dystans prawie dziesięciu kilometrów – pierwszą konkurencję w Ultramanie. „Sława to nie Hawaje” – pomyślałem. „Nie będzie takich fal i prądów, ale chrzanić to! Liczy się dystans. Dziesięć kilometrów to dziesięć kilometrów” – usprawiedliwiałem sam siebie. Wyszło dziewięć tysięcy siedemset metrów. Dystans o trzysta metrów krótszy niż oryginalny, ale warunki topograficzne akwenu wymusiły taką a nie inną odległość. Wreszcie przyszedł czas na spotkanie ze stróżami prawa, od których zależała organizacja ruchu podczas realizacji sportowego wyzwania. W 1989 roku istniało jeszcze województwo legnickie, na którego terenie leżał między innymi Głogów. To dlatego musiałem wrócić na stare śmieci. Nie przypuszczałem, że będę musiał kiedykolwiek zapukać do drzwi komendy MO w Legnicy z własnej woli. Kiedy wszedłem do środka, Ten, Który Nigdy Nie Odchodził Od Drzwi spojrzał na mnie jak na zjawę. W oczach miał jedno zasadnicze pytanie: „Co wy, Górski, tu robicie, do kurwy nędzy?!”.
– Panie komendancie, przyszedłem z prośbą o pomoc – zacząłem.

– Co ty nie powiesz, Górski? A któremu z twoich kumpli mam znowu pomóc, co? – zaczął Pies.

– Mnie może pan pomóc, panie komendancie. Potrzebuję zamknąć na kilka minut różne skrzyżowania. Rowerem będę jeździł. Łącznie jakieś czterysta dwadzieścia jeden kilometrów.

– Górski – spokojnie zaczął Pies. – Jeżeli znowu się czegoś naćpałeś, to wiedz, że czasy się zmieniły. Wiem, że byłeś w Monarze, wiem, że startujesz w jakichś zawodach, ale jeżeli znowu robisz mnie w chuja, to ci nie daruję.

– Potrzebuję eskorty na trzy dni – kontynuowałem, ciesząc się, że facet nie wie, o co chodzi, a ja mogę się pochwalić czymś, co za chwilę wbije go w fotel z wrażenia. – Będę przejeżdżał przez kilka miejsc, gdzie pan rządzi, więc... Muszę prosić o pomoc. Trzeba wstrzymać ruch w kilku miastach... Dosłownie na moment, na czas przejazdu rowerem.

Pies patrzył na mnie jak na wariata.

– Jakich miastach, Górski?! – dopytywał z niedowierzaniem.

– Tu mam listę, panie komendancie. – Wyciągnąłem z kieszeni kartkę papieru z odręcznymi notatkami i zacząłem czytać. – Lubogoszcz, Lubiatów, Konotop, Lubięcín, Lipiany, Przyborów, Nowa Sól, Nowe Miasteczko, Mieszków, Kłobuszyn, Borów, Dobromil, Potoczek, Polkowice,

Lubin, Rudne, Rudne Gwizdanów i Głogów – wymieniałem ciurkiem. – A zaczynamy w Sławie – zakończyłem wyliczankę.

Mina Psa mówiła wszystko. Górski oszalał. Kiedy przez następnych kilka minut opowiadałem mu o zawodach na Hawajach, nie mógł uwierzyć w to, co mówię. Jak wielu ludziom również i jemu nie mieściło się w głowie, że były narkoman może pokonać nie tylko maraton, ale również tak mordercze zawody jak Ironman czy Ultraman. Kiedy ochłonął i znów nawiązał kontakt z rzeczywistością zgodził się pomóc i obiecał, że wystawi swoich ludzi, żeby zabezpieczyli trasę. W tym samym czasie Ryszard Matuszak załatwił komisję sędziowską na każdy z dystansów. Wszystko było gotowe do rozpoczęcia wyzwania.

Zawsze to, co robimy spontanicznie, na luzie, bez przesadnego koncentrowania się na wyniku, przynosi najlepsze efekty. Układ nerwowy człowieka jest bowiem tak skonstruowany, że kiedy go przeładujemy, na przykład zbyt intensywnym myśleniem i żądzą osiągnięcia jakiegoś sukcesu, wówczas wszystko się wali. Świat sportu aż roi się od przykładów zawodników, którzy na treningu są mistrzami, a na zawodach, kiedy do głosu dochodzi stres i presja wyniku, nie potrafią osiągnąć nawet połowy tego, co robią na co dzień. Dotyczy to zresztą nie tylko sportu, ale każdej innej sfery naszego życia. Przesadne parcie na sukces często kończy się niepowodzeniem. Ultraman, którego zorganizowałem sobie w Głogowie, był wyzwaniem, ale takim, za które nie musiałem ginąć. Miałem świadomość, że dobry wynik może dać wiele, ale też wiedziałem, że świat się nie zawali, jeżeli z jakichś przyczyn nie ukończę całego dystansu. To były pierwsze znane mi na świecie jednoosobowe zawody na dystansie Ultraman. Dosłownie i w przenośni ścigałem się z samym sobą! Nikogo przede mną i nikogo za mną. Nie mogłem ani gonić, ani uciekać. Dziwne uczucie. Trochę jak trening, ale jednak zależało mi na czasie. Przed startem po raz setny sprawdziłem jeszcze oficjalne wyniki zawodów Ultraman na Hawajach z 1984 roku. To był mój rok – czas rozpoczęcia leczenia w Monarze. To właśnie wtedy wpadła mi w ręce broszura, opisująca zawody na Big Island. Wtedy wygrał je Scott Molina, któremu nadano pseudonim „Terminator”. Ukończył Ultramana w czasie dwudziestu czterech godzin i czterdziestu minut, a w 1988 roku wygrał Mistrzostwa Świata Ironman na Hawajach! Niedościgniony wzór. Stałem nad brzegiem jeziora w Sławie i zastanawiałem się, jak bardzo będzie bolało. Przecież już pierwsza konkurencja wymagała nie lada wytrzymałości. Pokonanie prawie dziesięciu kilometrów w wodzie to niemal trzy godziny roboty. Molina na Hawajach, zmagając się z oceanicznymi falami, zrobił to w czasie 2:50:47. Pływałem kiepsko, ale miałem łatwiej – spokojna tafla sławskiego jeziora, w którym nie było żadnego prądu, dawała mi nadzieję, że chociaż zbliżę się do granicy trzech godzin. Niestety, mój kraul pozostawiał wiele do życzenia i nieraz musiałem zmieniać styl na klasyczny, żeby chwilę odpocząć. Ponadto nigdy nie przepłynąłem na treningu więcej niż pięć kilometrów, a teraz mierzyłem się z dystansem dwukrotnie dłuższym. Z wody wyszedłem po trzech godzinach i osiemnastu minutach. „Słabo” – pomyślałem. „Jeżeli chcę zaimponować Amerykanom, muszę pokazać, co potrafię na rowerze!” – analizowałem sytuację. W każdej minucie wysiłku przyrównywałem siebie do najlepszych. Od czasów pamiętnego zwycięstwa Antka Niemczaka w Wiedniu, zdjęcia, które zobaczyłem w „Sportowcu”, obiecałem sobie, że już zawsze w życiu będę równał do najlepszych. Jeżeli miałbym osiągnąć tylko połowę tego co oni, to i tak będzie to niewiarygodny sukces. Gdybym wyznaczał sobie cele minimalne, dawałbym z siebie minimum. Ja chciałem być najlepszy. I to

nie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dla mnie być najlepszym oznaczało dać z siebie wszystko. Jeżeli zawody kończyłem poza podium, ale wiedziałem, że nic więcej nie wycisnąłbym tego dnia z organizmu, byłem spełniony.

Pierwszego dnia, zaraz po pływaniu, czekało mnie sto czterdzieści pięć kilometrów jazdy rowerem. Na Hawajach „Terminator” pokonał ten etap w sześć godzin i trzy minuty, ale wynik ten nic mi nie mówił, bo kilka lat później wielu zawodników kończyło go mniej więcej w cztery i pół godziny. Warunki panujące na Hawajach są bardzo zmienne. Wiatr wieje momentami nawet sto kilometrów na godzinę, a boczne podmuchy, tak zwane *crosswinds*, potrafią przewrócić zawodników. Ja nie miałem tego problemu. Pierwszego dnia pokonałem trasę rowerową w cztery godziny dwadzieścia trzy minuty. Doskonali wynik. Sędziowie potwierdzili, że przebieg obu konkurencji był zgodny z przepisami i mogłem odpocząć. Fizjoterapeuci z Chrobrego Głogów wzięli mnie w obroty. Masaże, maści na otarcia – zestaw obowiązkowy na tak długim dystansie. Leżałem na kozetce w klubie i zastanawiałem się, jak będę się czuł na drugi dzień. Miałem przecież za sobą siedem i pół godziny nieustannego wysiłku.

Drugi dzień to prawie dwieście siedemdziesiąt cztery kilometry jazdy rowerem po trasach, które doskonale znałem: Krzeptów, Przedmoście, Krzyżówka Orsk, gdzie robiłem nawrót w kierunku Głogowa. Miałem mocne nogi. Ostatnie trzy lata treningu z zawodowymi kolarzami dały mi doskonałe podstawy, aby taki dystans pokonać bez problemów. Wiało jak diabli, szczególnie na odsłoniętym terenie między Głogowem a Rudną. Było ciepło, ale nie za gorąco. Idealna temperatura do ścigania się. W sobotę i niedzielę na lokalnych drogach praktycznie nie było ruchu samochodów. Jechałem sam, bez kibiców na trasie, ale czekali na mnie na stadionie, gdzie miałem drugą nawrotkę. Tam dostawałem od nich zastrzyk energii, który miał mi wystarczyć na kolejną rundę. W samochodzie za mną jechał sędzia oraz Irek Jesion – młody, dwudziestoletni chłopak, który dołączył jako *support* w drugim dniu Ultramana. Nieocenioną pomocą wykazał się w ostatnim dniu, kiedy czekały mnie dwa kółka biegu po czterdzieści dwa kilometry każde. Zanim jednak rozpocząłem bieg, musiałem przekroczyć metę odcinka rowerowego. Kończył się jak każdy z etapów na stadionie Chrobrego Głogów. Wpadłem tam zmęczony po całym dniu samotnej jazdy, a czas robił wrażenie: 9:17:02.

Przyszedł wreszcie ostatni dzień próby. Osiedziesiąt cztery kilometry biegu po tej samej trasie, którą jechałem rowerem. Irek Jesion, który do tej pory eskortował mnie, jadąc samochodem, przesiadł się na rower i postanowił, że pojedzie całą trasę obok mnie. Poznaliśmy się rok wcześniej, kiedy przyszedł do mnie z prośbą o porady treningowe. Pomogłem mu, rozpisując przykładowe treningi, podpowiadając i dyskutując o sporcie. Czasami razem trenowaliśmy, czasami wyjeżdżaliśmy wspólnie na zawody. Teraz pomagał mi przetrwać najtrudniejsze chwile podczas pokonywania dwóch maratonów z rzędu. Już tylko jeden czterdziestodwukilometrowy odcinek robi na ludziach wrażenie i wielu zastanawia się, jak to możliwe, że człowiek może przebiec taki dystans, nie zatrzymując się nawet na moment, a co dopiero dwa maratony, które trzeba było pokonać jeden po drugim. Jak zwykle pierwszą połowę dystansu biegło mi się lekko, mimo że w nogach miałem już setki kilometrów jazdy rowerem. Byłem ubrany w koszulkę z wielkim napisem „Monar”. Na stopach miałem grube, białe skarpety, które przypominały trochę piłkarskie getry. Opuściłem je na kostki, ale i tak ktoś, patrząc z boku, mógłby pomyśleć, że na trening wyszedł piłkarz, nie triathlonista. Kolejna część mojego stroju mogła natomiast sugerować, że jestem pływakim. Biegłem bowiem w kąpielówkach. Od kiedy zacząłem trenować triathlon, zdążyłem się już przyzwyczaić do jazdy rowerem i biegu w stroju, w którym wychodziłem z wody. Nie przebiebrałem się w strefie zmian,

chciałem zaoszczędzić czas i wskakiwałem na rower w kąpielówkach, a później biegłem w nich maraton. To jednak wymagało treningu, przetestowania pewnych rozwiązań w warunkach poligonowych. Czułem się w takim stroju fantastycznie i wiedziałem, że nie będę miał problemów z otarciami. Początkujący popełniają jednak wiele błędów, eksperymentując dopiero na zawodach, za co płacą wysoką cenę i najczęściej nie kończą wyścigu.

Irek jechał obok rowerem i zagadywał mnie, żebym się nie nudził. Przez następne cztery godziny rozmawialiśmy o sporcie, o zawodach, w których startowałem. Wypytywał mnie o wszystko, tak jak ja kiedyś wypytywałem Halupczoka, Sprucha czy Niemczaka. Co kilka kilometrów Irek podawał mi bidon z wodą, a czasami zatrzymywaliśmy się na prowizorycznych punktach odżywczych, gdzie chwytałem coś do jedzenia, a ekipa wspierająca polewała mnie wodą, albo podawała mokrą gąbkę, nasączoną zimną wodą. Biegłem z nią jeszcze kilkaset metrów i okładałem kark, schładzałem twarz i okolice serca. W pewnym momencie poprosiłem Irka, żeby podał mi walkmana, którego przygotowałem na trudne chwile. Założyłem słuchawki i przez kolejne dziesięć kilometrów biegłem, słuchając swojej ulubionej, rockowej muzyki. Dodała mi siłę, ale nie na długo. Nawet moi ulubieńcy z Deep Purple zaczęli mnie wkurwiać. Od początku drugiego maratonu, gdzieś na pięćdziesiątym kilometrze, zacząłem czuć potworne zmęczenie. Drażniło mnie dosłownie wszystko. Zauważyłem u siebie pewną konsekwencję w reakcji na zmęczenie – wkurzał mnie każdy zewnętrzny bodziec, który do mnie docierał. Dostało się też Irkowi. Już dawno straciłem ochotę na rozmowę i dałem mu do zrozumienia, żeby chociaż przez chwilę nic nie mówić. Nie odezwał się przez następne trzydzieści kilometrów. Byłem od niego starszy, z sukcesami w bieganiu i triathlonie i czułem przede mną respekt, ale nie spodziewałem się takiej reakcji. Dodatkowo wystraszyła go moja przeszłość i nieprzewidywalność, wolał trzymać się w bezpiecznej odległości. Bał się, że w przyływie złości nie skończy się na rzucaniu wulgaryzmami. Miał rację. Nagle, energicznym ruchem zdjąłem słuchawki i z całego siła rzuciłem walkmanem. Poleciał do rowu. Nawet nie spojrzałem w jego kierunku. Biegłem dalej. Słyszałem tylko, jak Irek zatrzymuje rower i w milczeniu zaczyna zbierać z pobocza mój sprzęt. Nawet nie zapytał, co się stało. Chyba już dawno zrozumiał, że Górski świruje, kiedy dopada go potworne zmęczenie. Ale obaj wiedzieliśmy, że jest to sportowa złość, a ewentualne nerwowe reakcje pójdą w zapomnienie, kiedy tylko przekroczę metę. Niektórzy sportowcy tak mają – lepiej nie podchodzić do nich, kiedy walczą na trasie z własnymi słabościami. Potrafią ich drażnić nawet piszczałki, bębny i różnego rodzaju kołatki używane przez kibiców. Wszystko idzie w zapomnienie na ostatnich metrach, kiedy wiemy już, że męczarnia skończy się za kilka minut. Wówczas mogą mi nawet wyć nad uchem syreny wozów strażackich.

W milczeniu pokonywaliśmy ostatnie kilometry. Ja biegłem, Irek jechał. Słyszałem charakterystyczny odgłos pracującego łańcucha i tylnych przerzutek kolarki, szum opon na asfalcie mieszał się z ciężkimi uderzeniami moich stóp. Człap, szszsz..., człap, szszsz..., człap, szszsz... I tak przez kilka kilometrów, dopóki nie przekroczyliśmy granic Głogowa, gdzie do kakofonii dźwięków dołączyły odgłosy miasta. Spojrzałem na zegarek. Niewiele ponad osiem godzin na trzy i pół kilometra przed metą! Przyspieszyłem. Postanowiłem, że wbiegnę na metę tak, jakbym dopiero zaczynał zawody. Kilkaset metrów przed bramą stadionu Chrobrego usłyszałem kibiców i spikera. Jeszcze raz spojrzałem na zegarek, ale zacząłem już dodawać w myślach wyniki poszczególnych konkurencji z pozostałych dwóch dni. Wiedziałem, że nie złamię dwudziestu pięciu godzin, ale teraz zależało mi już tylko na urwaniu każdej sekundy, każdej minuty, tak aby pokazać Amerykanom, że jestem w stanie rywalizować z najlepszymi. Na stadionie przywitał mnie głośny doping i miałem wrażenie, że zebrało się pół miasta. W ciągu

całego weekendu mieszkańcy zdążyli się dowiedzieć z radia i telewizji, że jakiś wariat postanowił przez trzy dni pływać, jeździć rowerem i biegać. Przyszli zobaczyć, czy przeżyje. Metę przekroczyłem w czasie 25:13:49.

Działacze sportowi od razu zaczęli analizować wynik. Okazało się, że to najlepszy rezultat w Europie w tym roku i drugi na świecie! Nie docierało to do mnie. Stałem na mecie, odbierałem gratulacje za samotny wyścig z czasem i nie mogłem uwierzyć, że udało mi się to osiągnąć. Wszystko było poświadczane sędziowskimi podpisami, zgodnie z regulaminem Ultramana, związku pływackiego, kolarskiego i lekkoatletycznego. „To będzie moja przepustka do Stanów” – pomyślałem ze łzami w oczach.

Z pomocą tłumacza przysięgłego wszystkie protokoły, które były sporządzane po każdej konkurencji, przetłumaczyliśmy na język angielski i wysłaliśmy do Stanów Zjednoczonych. Przygotowałem jeszcze dwie osobne koperty z kopią tych dokumentów. Jedną wysłałem do Antka Niemczaka, drugą wręczyłem Jarkowi Łabusowi, który wybierał się na Hawaje na swojego trzeciego Ironmana. Poprosiłem, aby przekazał organizatorom wszystkie papiery z prośbą, aby wstawili się za mną u organizatorów Ultramana. Chwytałem się wszystkiego, aby dopiąć celu. Jeżeli ktokolwiek twierdził, że podejmuję się niemożliwego, jak zwykle dopingowało mnie to ze zdwojoną siłą.

100 MIL W JEDEN DZIEŃ (Squaw Valley, Kalifornia, 1990)

Kilka tygodni po tym, jak pokonałem dystans Ultramana w tak imponującym czasie, dostałem wiadomość od Antka Niemczaka. Zadzwoił do mnie i powiedział:

– Wyjeżdżam do Kolorado. Alamosa. Ośrodek sportowy na wysokości dwóch tysięcy czterystu metrów nad poziomem morza. Jeden z najwyższej położonych płaskowyżów na świecie. Mekka amerykańskich biegaczy. Trzymaj kciuki. Postaram się, żebyś do mnie dołączył.

Antek nie zdążył się jeszcze dobrze zaaklimatyzować, a już wysłał mi list z propozycją przyjazdu do Alamosa. Miał już zresztą na mnie plan. W Kolorado poznał organizatora biegu The Western States Endurance Run – 100 mil w jeden dzień, nazywanego czasami w Polsce niesłusznie Biegiem Śmierci. Chodziło o oddanie stopnia trudności zawodów. W rzeczywistości biegacze, którzy kończyli kalifornijski ultramaraton, nazywali go raczej Biegiem Życia, bo przez prawie trzydzieści godzin walczyli z własnymi słabościami. Był to najstarszy bieg górski na takim dystansie, rozgrywany w Squaw Valley w Kalifornii, w paśmie górskim Sierra Nevada, nad rzeką Truckee. Antek przygotował list, w którym napisał, że organizator powinien zaprosić do siebie Jurka Górskiego z Polski, który na swoim podwórku, własnymi siłami zorganizował Ultramana i ustanowił najlepszy czas w Europie i drugi na świecie. Podobną prośbę skierował do organizatorów najbardziej prestiżowych zawodów na dystansie Double Ironman organizowanych od 1984 w Huntsville w Alabamie. To właśnie tam po raz pierwszy ścigano się na dystansie prawie ośmiu kilometrów pływania, trzystu sześćdziesięciu kilometrów jazdy rowerem i osiemdziesięciu czterech kilometrów biegu. Plan był ambitny. Ja też. Ale momentami zastanawiałem się, czy Antek nie ustawił mi poprzeczki za wysoko.

„Bieg na 100 mil? Dlaczego ten, a nie na przykład maraton?” – zastanawiałem się nad decyzją Antka. Po latach przyznał, że miał to być sprawdzian i nagroda jednocześnie. Wiedział, że chciałem udowodnić wszystkim, że potrafię robić wielkie rzeczy, graniczące z ludzką wytrzymałością. Przecież miałem już takie na swoim koncie. Kto normalny ładuje w żyłę tak potężne dawki heroiny? Kilka dni później dostałem pocztą zaproszenie w języku angielskim na zawody The Western States 100-Mile Endurance Run. Było niezbędne, abym dostał paszport i wizę, co było trudniejszym wyzwaniem niż zdobycie wystarczającej ilości pieniędzy na opłacenie biletu lotniczego i załatwienie wszystkich formalności. Kiedy przyszedłem do biura paszportowego w lokalnej komendzie Milicji Obywatelskiej i złożyłem wniosek o wydanie dokumentu, funkcjonariusze wyłożyli mi na stół stos dokumentów, opisujących moją narkotykową przeszłość, areszty, więzienia, szpital psychiatryczny.

– Gdzie ty chcesz jechać, Jureczku? – pytał jeden z milicjantów. – Do Stanów? Z taką przeszłością? Musiałbyś chyba przynieść glejt od samego papieża.

Wróciłem do nich kilka dni później z teczką pełną dokumentów potwierdzających zerwanie z przeszłością. Listy od prezydenta Głogowa i Marka Kotańskiego, zaświadczenia z Monaru, wyniki zawodów sportowych i wreszcie zaproszenie na zawody do Kalifornii. Pisałem odwołania, które musiały zrobić wrażenie na tych, którzy przez tyle lat ścigali mnie za włamania do aptek.

W uzasadnieniu wymieniałem wszystkie osiągnięcia sportowe: ukończenie Ironmana w Kaliszu, drugie wicemistrzostwo Polski w triathlonie zdobyte w 1987 roku w Poznaniu, wiele biegów ulicznych na dystansach pięciu, dziesięciu, dwudziestu jeden i czterdziestu dwóch kilometrów i ultramaratony na dystansie stu kilometrów.

Po kilku takich odwołaniach dostałem przepustkę do kapitalistycznego świata. Po raz pierwszy w życiu trzymałem w ręku paszport. Dziwne uczucie. Teraz można przekraczać granicę, nie będąc kontrolowanym, ale w czasach mojej młodości nawet wyjazd do NRD okupiony był strachem na granicy, gdzie czekał nie tylko widok uzbrojonych po zęby żołnierzy z karabinami maszynowymi, zasieki z drutów kolczastych, które przypominały mi więzienie, ale również rewizja i przeszukanie samochodu. Dodatkowo paszport należało oddać do komendy MO zaraz po powrocie.

Z paszportem w ręku i plikiem dokumentów przetłumaczonych na język angielski pojechałem pociągiem do Poznania, gdzie w tamtejszym konsulacie Stanów Zjednoczonych złożyłem wnioski o wizę. Jadąc pociągiem, zastanawiałem się, czy amerykańskie służby będą na tyle wnikliwe, że sprawdzą nazwisko Górski. Przecież musieli mieć dostęp do wszystkich informacji związanych z obywatelami karanymi przez sąd, mającymi przeszłość narkotykową. Ponadto nie znałem nawet jednego słowa w języku angielskim oprócz hipisowskiego zawołania *make love, not war*, ale tego wolałem w konsulacie nie mówić. Kiedy przyjechałem na miejsce, zobaczyłem długą kolejkę ludzi czekających na wejście. W oczekiwaniu na swoją kolej nasłuchiwałem się takich opowieści o rygorystycznym podejściu amerykańskich urzędników do przyznawania wizy, że już po półgodzinie pogodziłem się z faktem, że nigdzie nie pojedę. Zacząłem nawet w myślach układać słowa listu do Antka, że bardzo dziękuję za jego starania, ale jednak nie udało się. „Narkoman i ktoś, kto siedział w więzieniu, nie jest mile widziany na terytorium Stanów Zjednoczonych” – tłumaczyłem sobie wszystko w myślach. Nawet gdybym próbował sobie przypomnieć, o co pytano mnie w konsulacie i z kim rozmawiałem, nie potrafiłbym odpowiedzieć na to pytanie. Po kilkunastu minutach wyszedłem przed budynek z uśmiechem na ustach, a kiedy pytano mnie, co takiego trzeba zrobić, żeby mimo szemranej przeszłości i narkotyków na koncie dostać wizę, odpowiedziałem:

– Trenować triathlon!

Cała Legnica i Głogów huczały, że Górski leci do Stanów, a ja zapewniałem wszystkich, że tylko na kilka miesięcy, że wrócę i wcale nie w głowie mi budowanie przyszłości za oceanem. Wielu mi nie wierzyło, wielu pukało się w głowę, mówiąc, że jak już dostałem wizę, to trzeba stąd spierdalać, bo w PRL-u przyszłości nie ma i nie będzie.

Pierwszy lot samolotem był jak pierwszy strzał z morfiny. Że też ja, kurwa mać, nie spróbowałem właśnie tego zamiast narkotyku. Byłoby o wiele prościej, a tak musiałem aż czternaście lat czekać na uniesienia, za które nie trzeba było płacić zdrowiem. Ale nie obyło się bez stresu, bo przesiadka w Nowym Jorku, na jednym z największych lotnisk świata, nie należała do łatwych. Mimo że miałem wszystko rozpisane dokładnie na kartce, a w samolocie niemal całą drogę wkuwałem angielskie słówka, pogubiłem się już po wyjściu z rękawa. Podszedłem do czarnoskórego mężczyzny z obsługi lotniska i wydukałem komunikat, że „I must transfer to Denver”. Po chwili w praktyce przekonałem się, co to znaczy rozmowa z native speakerem. Nie rozumiałem ani jednego słowa, ale grzecznie podziękowałem i poszedłem

w kierunku, w którym steward machnął ręką. Całe szczęście, że trafiłem chwilę później na Polaków, którzy lecieli tym samym samolotem do Nowego Jorku, co ja. Pomogli mi odnaleźć drogę.

Kiedy po wielu godzinach podróży dotarłem do Denver, na lotnisku czekał na mnie Antek Niemczak. To było wzruszające powitanie i słowa, których nigdy nie zapomnę:

– Właśnie spełniam swoją obietnicę – powiedział.

– Bardzo ci dziękuję...

– Przygotuj się na najgorsze – odparł, uprzedzając mnie tym samym, że za chwilę przekonam się, jak wygląda prawdziwe życie zawodowego sportowca.

Po przyjeździe do Alamosa zaczęły się ciężkie treningi i zmiana diety. Czułem się dziwnie. Byłem bez grosza i zdany na pomoc Antka. Czasami miałem wrażenie, że muszę z Natalią, która była wtedy w ciąży, żyć z mojego powodu oszczędnie. Okazało się, że ograniczone porcje, przewaga owoców i warzyw to nie efekt oszczędzania, ale podejścia do sposobu odżywiania. Nie wiedziałem, że zmiana diety w treningu sportowym będzie tak drastyczna! A przecież Antoni już w pierwszym dniu, jeszcze w samochodzie w drodze do domu, uprzedził mnie, że określenie „stworzyć warunki, w jakich trenują najlepsi”, oznacza ciężką pracę, zmianę trybu życia i diety. Miałem się przygotować do ekstremalnego, ponaddwudziestogodzinnego wysiłku. Oczywiście naiwnością byłoby sądzić, że zdołamy cuda w trzy tygodnie, jakie zostały do startu w The Western States 100-Mile Endurance Run. Do pokonania miałem sto sześćdziesiąt jeden kilometrów w warunkach, w których niejedyn amerykański poszukiwacz złotego kruszcu zginął z wycieńczenia. Trzymałem w ręku broszurę wysłaną mi przez organizatorów i z pomocą słownika próbowałem zrozumieć, na co się porwałem. Akapit pod tytułem *Zagrozenia* uzmysłowił mi, w czym za chwilę wystartuję. Dowiedziałem się z niego, że będę startował w najtrudniejszym biegu świata, w którym można stracić życie. Znane były przypadki innych, łatwiejszych ultramaratonów, w czasie których dochodziło do śmierci zawodników, którym z powodu odwodnienia przestawały działać nerki. Przegrzanie organizmu i udar słoneczny mogły doprowadzić do uszkodzenia mózgu. Teraz ostrzegano mnie, że mam dbać nie tylko o nawadnianie organizmu, ale przede wszystkim uważać na tempo biegu. „Im szybciej będziesz biegł, tym więcej ciepła będą produkować twoje mięśnie. Podczas całego biegu będzie bardzo gorąco. Temperatura będzie przekraczać w słońcu pięćdziesiąt stopni Celsjusza!” – czytałem ostrzeżenia. Zdawałem sobie sprawę z tego, że pełną aklimatyzację do warunków atmosferycznych panujących w Squaw Valley uzyskiwało się dopiero po dwóch miesiącach pobytu, a częściową po co najmniej dwóch tygodniach treningu w wysokiej temperaturze.

„Wiele leków, amfetamina, LSD i środki uspokajające mogą zwiększyć ryzyko udaru. Nie jesteś pewien swojej kondycji i formy – nie startuj”. „Dla mnie to napisali czy co?” – żartowałem w rozmowie z Antkiem. Uspokajał mnie, że trzy tygodnie treningu w Kolorado, w wysokiej temperaturze, dadzą mi podstawy do tego, aby poradzić sobie z wyzwaniem.

– Tylko nie przesadzaj z tempem. To nie jest bieg na dziesięć kilometrów, to nie jest nawet maraton. Masz ponad dwadzieścia godzin ciągłego biegu po wysokich górach. Myśl – ostrzegął Antek.

Był czerwiec 1990 roku. Właśnie skończyłem jeden z ostatnich treningów przed wylotem do Squaw Valley. Zmęczony patrzyłem na Rio Grande National Forest i źródła legendarnej rzeki

Rio Grande. Nie potrafię opisać tego, co czułem, stojąc na wysokości prawie dwóch i pół tysiąca metrów, patrząc na góry i doliny. Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem, pierwszy raz w życiu widziałem Nowy Jork, Denver i stan Kolorado, pierwszy raz w życiu patrzyłem na góry Sierra Nevada, myśląc, co jeszcze czeka mnie w życiu, które w moim przypadku potrafi sięgać takich skrajności. Przecież jeszcze kilka lat temu siedziałem pośrodku pola, nacinając zielone główki maku, zbierając białą substancję, gotując słomę makową, którą przerabiałem na heroinę. Jeszcze niespełna dziesięć lat temu wieszałem się w celi wrocławskiego więzienia, połykałem metalowy pręt i wstrzykiwałem do płuc gorącą czekoladę, a teraz stałem na szczycie jednych z najpiękniejszych gór świata i czekałem na swoje pierwsze ekstremalne wyzwanie – stumilowy bieg trasą poszukiwaczy złota. Myślałem o swoim życiu i o Polsce, do której za kilka miesięcy miałem wrócić. Zawsze lubiłem takie podróże myślami w czasie i przestrzeni, lubiłem patrzeć na kontekst, na tło, które towarzyszyło najważniejszym momentom mojego życia. Kiedy w 1974 roku, siedziałem na głodzie w szpitalu psychiatrycznym i wpatrywałem się w ekran telewizora, Maryla Rodowicz wyskakiwała z wielkiej piłki, a chwilę później Grzegorz Lato zapewniał nam medal mundialu w Niemczech. Kiedy w 1978 roku kardynałowie wybierali Karola Wojtyłę na papieża, ja siedziałem w celi więzienia, podobnie jak w dniu, w którym Wojciech Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Teraz, kiedy biegałem po szczytach gór Sierra Nevada, zmagając się z własnymi słabościami, w Polsce Lech Wałęsa właśnie krytykował rząd Tadeusza Mazowieckiego, rozpoczynając „wojnę na górze”.

Moją górą miało być teraz piekielne wzniesienie o długości pięciu kilometrów, prowadzące na wysokość prawie trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Tak zaczynał się stumilowy bieg trasą poszukiwaczy złota.

Kiedy przyjechałem na start, było jeszcze ciemno. Światła samochodów ekip wspierających zawodników rozświetlały linie startu. Odszedłem kilkaset metrów na bok i spoglądałem na miasto pogrążone we śnie. „Tylko wariaci wstają o trzeciej nad ranem i przygotowują się do biegu, który trwa całą dobę. Normalni ludzie śpią” – myślałem. W oddali migotały mikroskopijne punkty, jakby gwiazdy pomyliły miejsce i zamiast na niebie świeciły na domach, ulicach i ogrodach. Pulsowały tak, jakby za chwilę miały zgasnąć. Ten widok natychmiast przywołał jedną z mrocznych historii mojego życia, kiedy uzależniony od heroiny stałem w nocy przy oknie w kuchni i podejmowałem kolejną próbę samobójczą. Połknąłem kilkadziesiąt tabletek nasennych. Patrzyłem na światła zasypiającej Legnicy i powoli traciłem ostrość widzenia. Jaskrawy blask ulicznych latarni zaczynał gubić intensywność, światło falowało mi przed oczami. Czułem, że dzieje się ze mną coś złego. Odpływałem. Przestraszony wybiegłem na ulicę. Po kilku minutach znalazłem się przed domem towarowym, gdzie każdego wieczoru zbierali się narkomani. Widzieli, co się ze mną dzieje, ale szybko wyprowadziłem ich z błędu – to nie heroina. Zawieźli mnie do szpitala, gdzie płukanie żołądka uratowało mi życie. Po raz kolejny miałem szczęście.

Przez chwilę stałem z dala od zawodników, których opanowała już przedstartowa gorączka. Oddychałem głęboko ciepłym powietrzem, które miało zapach wolności, gór, bezkresu i tajemnicy tego, co za chwilę ma nastąpić.

Zacząłem jak zwykle – niecierpliwie, jakby ktoś chciał mi coś zabrać, jak narwaniec, za szybko. Biegłem w czołówce. Do setnego kilometra w okolicach szesnastego, siedemnastego

miejsca. Zachowywałem się jak dziecko, które chce udowodnić, że wygra wyścig ze starszymi od siebie kolegami. Chciałem za wszelką cenę pokazać, jak wiele udało mi się nadrobić, jak bardzo nie jestem już tym Górskim, który był najlepszy tylko w ćpaniu. Za brak pokory zapłaciłem kilka godzin później.

Pierwsze sto kilometrów pokonałem w fantastycznym czasie około dziesięciu godzin. Zaliczałem każdy z dwudziestu punktów – dziesięciu medycznych i dziesięciu kontrolnych – z nadzieją, że będę przesuwiał się w klasyfikacji generalnej coraz wyżej. Niestety, popełniłem za dużo błędów. Po pierwsze, narzuciłem za szybkie tempo nie tylko na podbiegach, ale również na zbiegach, za co zapłaciłem niewyobrażalnym wręcz bólem mięśni nóg. Nie miałem doświadczenia w biegach górskich. Wszystkie zbiegi przyjmowałem na mięśnie ud z takim impetem, że nabiły się jak nabój do syfonu. Kiedy po stu pięćdziesięciu kilometrach zbiegów i podbiegów, których nachylenie wahało się od kilku do kilkudziesięciu procent, przyszedł czas na toaletę, nie byłem w stanie usiąść ani kucnąć. Robiłem coś, co nie zdarzyło mi się nawet w najgorszych czasach narkomanii – wypróżniałem się na stojąco. Tego nie robiłem nawet w więzieniu. Płakałem z bólu. Większość stromych zbiegów pokonywałem, idąc tyłem, bo tylko tak mogłem odciążać zmasakrowane mięśnie ud. Modliłem się do Boga, żeby pozwolił mi przetrwać ten wyścig. W pierwszej chwili, stojąc na linii startu, byłem pewien, że będę walczył o srebrną kłamrę, zarezerwowaną dla tych, którzy ukończą zawody poniżej dwudziestu czterech godzin. Ale po stu kilometrach wiedziałem, że powinienem zawrzeć z Bogiem układ – doczłapię się do mety, a on daruje mi życie. Na jednym z punktów medycznych popełniłem kolejny błąd. Rozciąłem czubki butów, które były na mnie za ciasne. Ubzdurałem sobie, że wystające na zewnątrz palce poczują ulgę. Były całe opuchnięte, poprzecierane do krwi. Każdy krok podczas zbiegania po stromym zboczach nie tylko stanowił dla nich potężne uderzenie, ale również powodował dodatkowy nacisk na przednią część stopy. Gdybym miał buty o numer, dwa za duże, opuchnięta stopa mogłaby się w nim zmieścić. Chciałem sobie ulżyć, ale w ostateczności zaszkodziłem podwójnie. Piasek i kamienie, które dostawały się do butów, powodowały jeszcze większe krwawienie i ból. Środki przeciwbólowe, które dostawałem, nie działały. Jak bardzo żałowałem, że nie założyłem butów, które dostałem od Antka. Tuż przed wylotem na zawody dał mi nowiutkie saucy, o prawie dwa numery za duże, właśnie z myślą o wielogodzinnym biegu w górach, gdzie stopa poddawana ciągłym uderzeniom i wysokiej, ponadpięćdziesięciostopniowej temperaturze puchnie. Ja, nic mu oczywiście nie mówiąc, postanowiłem schować buty głęboko do walizki i zabrać do Polski. Zdecydowałem się pobiec w starych najkach, które kupiłem na wyprzedazy na jednym z wyjazdów do Berlina. Kosztowały pięćdziesiąt marek i niestety miały dwie zasadnicze wady. Jeden but był większy, drugi mniejszy. Ten mniejszy pasował na moją większą lewą stopę, ten większy na mniejszą prawą. „Ty głupi Polaczku” – pomyślałem, kiedy przecinałem nożem cholewkę lewego buta. Po kilku kilometrach dogonił mnie Bogdan Ambrozewicz – drugi z trzech Polaków, którzy startowali w tym wyścigu. Na co dzień mieszkał w Stanach Zjednoczonych. Trzeci Polak przyjechał ze Szwecji, ale na trasie się nie spotkaliśmy. Poznaliśmy się dzień wcześniej podczas ceremonii otwarcia zawodów, kiedy organizator wyczytywał nazwiska kandydatów do podium. Znalazłem się wśród nich, bo moje dotychczasowe wyniki, a przede wszystkim czas wykręcony podczas Ultramana, który zorganizowałem sobie w Polsce, pokazywały, że trzeba się ze mną liczyć.

Kiedy Bogdan dogonił mnie na trasie i zobaczył, w jakim jestem stanie, dał mi kilka tabletek przeciwbólowych. Lepiej rozłożył ode mnie siły. Wyprzedził mnie, a na mecie zameldował się ostatecznie dziewięćdziesiąty dziewiąty, kończąc wyścig z czasem 26:30:19. Ja za wszelką cenę

postanowiłem doczłapać się do mety. Na każdej stacji żywieniowej jadłem banany, piłem napoje izotoniczne, mimo że na żadną z tych rzeczy nie miałem ochoty. Organizm odmawiał przyjmowania czegokolwiek. Przypominał mi się detoks, podczas którego organizm reagował odrzuceniem na wszystko, co nie było narkotykiem.

Ostatnie dwadzieścia sześć kilometrów szedłem, podpierając się kijem, a pokonanie tego dystansu zajęło mi aż osiem godzin i pięć minut. Panował straszliwy upał, niewyobrażalny dla kogoś, kto nigdy nie spędził na pustyni choćby kilku minut. Wykańczał moje komórki z każdą sekundą. Nie byłem w stanie nawet truchtać, nie mówiąc o szybkim biegu, tym bardziej że skalisty teren utrudniał stąpanie w rozciętym bucie, z którego wystawały palce. Już nawet nie czułem, jak bardzo skały parzą moje stopy. Płuca i głowa mówiły, że mogą, ale mięśnie i stopy krzyczały, że to już koniec. Tom, Amerykanin, który był moim wsparciem na trasie, nic już nie mówił, nie starał się mnie poganiać. Od czasu do czasu rzucił tylko *You can do it*, a ja kiwałem głową, że na pewno tak, mimo iż miałem ogromne wątpliwości. Tom był zawodnikiem, który ukończył bieg na 100 mil rok wcześniej, i zgodnie z regulaminem nie mógł wystartować w nim ponownie, ale mógł wspierać jednego z tych, którzy dostali szansę rywalizacji. Dołączył do mnie na pewnym etapie biegu i był wsparciem w najtrudniejszych momentach. Z sytuacji, w jakiej się znalazłem, było tylko jedno wyjście – zaprzyjaźnić się z cierpieniem. To potrafiłem przecież robić. „Cierpiałem tyle lat, że jeszcze tych kilka godzin przeżyję” – myślałem.

Na metę wszedłem po dwudziestu ośmiu godzinach i pięciu minutach, szczęśliwy, że zdobyłem brązową kłamrę. Do dziś noszę ją dumnie na pasku od spodni. Przysługiwała wszystkim, którzy zmieścili się w limicie trzydziestu godzin. Zawody ukończyłem na sto czterdziestym drugim miejscu na dwustu jedenastu startujących, chociaż na liście startowej było czterystu dwudziestu. Popłakałem się ze wzruszenia witany przez organizatora, któremu na mój widok również poleciała łza. Wyglądałem bowiem jak siedem nieszczęść. Patrząc na mnie, szczególnie na opuchnięte i zakrwawione stopy, można było się przestraszyć.

Kiedy kilkanaście godzin później mały samolot regionalnych linii lotniczych wylądował na lotnisku w Alamosa, widziałem przez okienko czekającego na płycie lotniska Antka Niemczaka. Tylko ja wiem, jak bardzo chciałem mu wtedy wykrzyknąć przez okno, że jestem, że nie pomyliłem samolotów, że żyję, ale... wyjdę dopiero za kilkanaście minut. Antek stał skonsternowany i lekko zaniepokojony, kiedy ostatni pasażerowie opuszczali samolot, a mnie wciąż nie było widać. Przestraszył się, kiedy to samo zrobili piloci i większość stewardes. Alamosa było wtedy małym lotniskiem, wiele lat musiało upłynąć, zanim ktokolwiek zaczął myśleć o wprowadzaniu zaostrożonych procedur bezpieczeństwa, dlatego Antek mógł stać niemal na płycie lotniska. W końcu zobaczył zadziwiającą sytuację, która nie zdarzyła się chyba dotąd na żadnym lotnisku świata. Nagle w drzwiach pokazała się stewardesa, która wychodziła z samolotu tyłem, jedną ręką trzymając mnie za plecy. Noga za nogą schodziliśmy razem tyłem po schodkach. Antek patrzył na wszystko zaskoczony, ale wiedział doskonale, że zwykłe schodzenie po schodach po maratonie lub jakimkolwiek biegu ultra jest najtrudniejszą rzeczą pod słońcem. Nie sądził jednak, że doprowadzę się do tak skrajnego stanu. Żółtodziób odebrał właśnie lekcję życia ultrabiegacza.

Kolejne dwa tygodnie czułem się jak kuracjusz ośrodka dla żołnierzy powracających z frontu. Lizałem rany. Natalia leczyła moje stopy serwatką – to świetny, domowy sposób na opuchnięte

i zaropiałe palce. Paznokci nie miałem – zeszyły mi już drugiego dnia po wyścigu. Zostały mi tylko trzy miesiące na wyleczenie się do najważniejszych zawodów w życiu, a ja nie mogłem zrobić kroku. Gibałem się z nogi na nogę, jak dziecko, które uczy się chodzić. Żona Antka była wtedy w ostatnim miesiącu ciąży i śmiałem się, że dostała przedsmak tego, co ją za chwilę czeka – opieka nad kimś, kto nie jest w stanie sam o siebie zadbać. Kiedy po kilkunastu dniach byłem już w stanie chodzić, a nawet truchtać bez grymasu bólu na twarzy, to ja zacząłem pomagać Natalii, która czwartego lipca urodziła syna. Byłem świadkiem pięknych, ale wymagających chwil rodzicielstwa, w którym spełnia się dwoje kochających ludzi. Wieczorami rozmyślałem, jak wiele dobrego mogło się wydarzyć w moim życiu, gdybym od początku miał taką właśnie rodzinę.

W dniu porodu Natalia i Antoni pojechali razem do szpitala, a ja z obolałymi nogami zostałem sam z dwiema ich córkami. Zaufanie, jakim mnie obdarzyli, było bezgraniczne. Byłem członkiem ich rodziny.

Kiedy Antoni wrócił i oznajmił, że ma syna, starym polskim zwyczajem połał się alkohol. Co prawda nie wódka czy whisky, a piwo, ale jednak alkohol, którego nie mogłem dotknąć. Towarzyszyłem tej nocy Antkowi, pijąc wodę i patrząc, jak z radością pochłania kolejne piwa. Dyskutowaliśmy o życiu, rodzinie i bieganiu. Sport był i jest jego życiową pasją, której oddał się całkowicie.

Do treningów wróciłem bardzo spokojnie. Start w The Western States 100-Mile Endurance Run to była najważniejsza lekcja pokory, jaką mógł mi sprezentować Antek. Nawet najlepsze wykłady na temat metodyki treningu i startu w biegach górskich nie nauczyłyby mnie tego, co dał mi wyścig w Squaw Valley. Na początku lipca 1990 roku wznowiłem wspólne treningi z Antonim, który był w tamtym czasie w najlepszym momencie swojej kariery. Za chwilę, w październiku, poprawił rekord Polski w maratonie, a w Chicago w biegu na czterdzieści dwa kilometry zajął drugie miejsce z czasem 2:09:41.

PIEKŁO NA ZIEMI (Alabama, 1990)

Został miesiąc do zawodów Double Ironman w Huntsville w Alabamie. To nie była zwykła impreza sportowa, na którą każdy mógł się zapisać. Należało mieć już na koncie jakieś osiągnięcia w sportach wytrzymałościowych. Fakt, że ukończyłem Ultramana w Polsce, notując najlepszy wówczas czas w Europie i drugi na świecie, oraz zdobyłem brązową klamrę w biegu na 100 mil, wystarczył do uzyskania przepustki. Regulamin zawodów mówił jasno, że to organizator zaprasza zawodników na start i nie musi uzasadniać swojej decyzji. Podwójny Ironman, najbardziej morderczy dystans, jaki mogłem sobie wyobrazić. Nie było wtedy bardziej wyczerpujących zawodów niż ściganie się na dystansie prawie ośmiu kilometrów pływania, trzystu sześćdziesięciu kilometrów jazdy rowerem i osiemdziesięciu czterech kilometrów biegu. Miałem już co prawda za sobą Ultramana, ale po pierwsze zrobiłem to w polskim, chłodniejszym klimacie, a po drugie – mimo wszystko – Ultraman to były zawody trzydniowe. Był czas na sen i namiastkę regeneracji. Podczas Double Ironman wszystko od startu do mety dzieje się bez przerwy, dzień i noc – wysiłkowy horror. Ale ja nie zastanawiałem się nad tym. Wiedziałem, że to jest dystans właśnie dla mnie. Byłem w najlepszym momencie swojego życia. Miałem wydolność zawodowego sportowca, a Antek, patrząc na mnie, śmiał się, że nie trzeba robić żadnych badań krwi, żeby stwierdzić, że mam moc. Wystarczy spojrzeć na moje ciało, które wyglądało jak pokryte pergaminem. Widać było, jak każdy mięsień drga pod wpływem najmniejszego nawet wysiłku, studenci medycyny mogliby się uczyć na mnie anatomii. Trenowałem razem z Antkiem szczególnie długie, ponad trzydziestokilometrowe wybiegania, ale bardzo często miałem jeszcze do wykonania dwa inne treningi tego samego dnia. W triathlonowym żargonie nazywają się one zakładkami, czyli treningami łączonymi. Po skończeniu jazdy rowerem od razu zaczynałem bieganie. Po treningu pływackim zaczynałem kolarski. Antek patrzył na mnie z podziwem, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że mój organizm zdolny jest do tak ogromnego wysiłku po tylu latach wyniszczającego nałogu? Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Nikt nie potrafił. Jedyna sensowna odpowiedź, jaką słyszałem od lekarzy i trenerów, brzmiała: to genetyka. Tygodniowo pływałem nawet dwadzieścia kilometrów, rowerem jeździłem około sześciuset, a biegałem ponad sto.

Do Alabamy pojechałem sam. Dwa dni i dwie noce jazdy autobusem. Kiedy wysiadłem w Huntsville, okazało się, że podczas przesiadek mój bagaż pojechał nie tym autobusem, co trzeba. Dotarł do Alabamy dwa dni później. Zamieszkałem u znajomych Antka Niemczaka, w mieszkaniu Earle'a Harrisa, który był naukowcem pracującym w NASA. Earle był weganinem i miał bzika na punkcie zdrowego żywienia. Napisał nawet książkę na ten temat i podczas prawie trzytygodniowego pobytu w Alabamie karmił mnie samymi roślinkami. Jadłem, ale gdybym znał angielski, powiedziałbym mu, że wolę jajecznicę na kielbasie, a nie pastę awokado! Dostałem też ogromne wsparcie od amerykańskiej Polonii, która szykowała na dzień zawodów

transparenty, flagi i mnóstwo żarcia – dla siebie i dla mnie. Trenowałem, poznawałem trasę zawodów i przygotowywałem się na największe triathlonowe wyzwanie. Bieg w Kalifornii, mimo potwornego zmęczenia i kontuzji, jakiej się nabawiłem, wzmocnił mnie do tego stopnia, że na podwójnego Ironmana jechałem pewny swego. Wiedziałem, że stać mnie na walkę o czołowe miejsca. Znałem ból związany z długotrwałym wysiłkiem i wiedziałem, jak rozłożyć siły. Przez kilkanaście dni pobytu na miejscu zawodów zdążyłem też poznać okolicę i potrenować na trasie wyścigu. Cały czas wspierał mnie również Darek Janczewski z amerykańskiej Polonii, który pomagał mi dogadać się z Amerykanami. Mój angielski był naprawdę kiepski. Darek uciekł z Polski kilka lat wcześniej, tuż po stanie wojennym. Był piekielnie dobrym biegaczem. Załapał się do kadry Polski na tysiąc pięćset metrów, ale nigdy wcześniej nie pokonał maratonu. Za chwilę miałem dostać od niego bezcenne wsparcie podczas pierwszego z dwóch maratonów wchodzących w skład podwójnego Ironmana.

Earle organizował mi treningi kolarskie z miejscowymi kolarzami. Pewnego dnia na jednym z nich poznałem uczestnika poprzedniej edycji zawodów Double Ironman. To od niego dowiedziałem się o taktyce, jaką rok wcześniej zastosował zwycięzca tego wyścigu. Podczas maratonu biegł przez sześć minut, po czym przez dwie minuty maszerował i tak na zmianę. Ta metoda pokonywania długich dystansów, której ojcem był Jeff Galloway, spodobała mi się i postanowiłem zaryzykować. Wyścig na 100 mil nauczył mnie, że nie warto zaczynać zawodów zbyt szybko. Miałem przed sobą grubo ponad dwadzieścia godzin wysiłku non stop. Organizm nie jest studnią bez dna i z własnego doświadczenia wiedziałem już, że energia oraz siła mięśniowa kiedyś się kończą.

W dzień zawodów przyjechaliśmy wcześniej rano nad rzekę Tennessee. Jest niezwykle urokliwa, ciągnie się przez ponad tysiąc kilometrów przez cztery stany: Tennessee, Alabamę, Kentucky i Missisipi. Ja miałem za chwilę pokonać jej mikroskopijną część – siedem kilometrów sześćset metrów w dół rzeki wraz z prądem. To było pierwsze z trzech wyzwań. Miejsce startu wyznaczono w Ditto Landing, przystani położonej w malowniczej dolinie na południe od Huntsville. Wielkie ściganie zaplanowano na szóstą trzydzieści. Przyjechaliśmy dwie godziny wcześniej i po załatwieniu wszystkich formalności miałem czas na odpoczynek. Ale tylko ja byłem spokojny, bo wspierający mnie kibice, a przede wszystkim *support* z Earle'em Harrisem na czele, tak się denerwowali, jakby za chwilę mieli wskoczyć do wody razem ze mną. Chciałem uciec od porannego zgiełku i zamknąłem się w samochodzie – dużym pickupie, którym razem z Earle'em przyjechaliśmy nad rzekę. Położyłem nogi na desce rozdzielczej i zasnąłem. Obudziło mnie nerwowe wołanie kogoś z amerykańskiej Polonii. Ponieważ nikomu nie powiedziałem, że idę spać, wszyscy myśleli, że coś mi się stało, nie mogli mnie znaleźć i zaczęli się denerwować. Część zawodników wchodziła już do wody na rozgrzewkę. Uspokoilem wszystkich, że nic mi nie jest i czuję się świetnie.

– Słuchajcie, nie ma się co spieszyć. Nawet nie będę się za długo rozgrzewał. Przede mną cały dzień i cała noc ścigania.

Dwadzieścia minut przed startem zacząłem spokojnie rozciągać się nad brzegiem rzeki, nasmarowałem kremem z filtrem skórę na plecach i nogach, która za chwilę miała przyjąć promieniowanie słoneczne stanowczo przekraczające dzienne dawki zalecane przez lekarzy. Włożyłem neoprenową piankę, ukucnąłem nad wodą i zacząłem rozcierać rękoma piasek, czyszcząc dłonie z resztek kremu.

Zostało pięć minut do startu. Wszyscy zawodnicy weszli już po pas do wody i czekali na sygnał startera. Wokół pływało kilkadziesiąt łódek – część ratowniczych, a część należących do

ekip wspierających poszczególnych zawodników. Nie spieszyłem się. Nigdy wcześniej nie miałem w sobie takiego spokoju jak wtedy. Patrzyłem, jak moi rywale nerwowo spoglądają w kierunku sędziego, szukają najlepszej pozycji do startu, tak jakby chodziło o wyścig na sprincie, a nie wielogodzinną męczarnię, której finał zobaczymy następnego dnia rano. Wreszcie usłyszeliśmy wystrzał! Zakotłowało się. Celowo zostałem z tyłu i powoli zacząłem płynąć kraulem. „I tak was dogonię” – myślałem. Zacząłem szukać pływaka, do którego mógłbym się podczepić, „złapać nogi”, jak nazywaliśmy to w swoim triathlonowym żargonie. Chodziło o to, aby ustawić się tuż za nogami lub nieco z boku lepszego od siebie pływaka. To pozwalało wykorzystać zmniejszony opór wody. Mówiąc wprost, zawodnik, który płynął pierwszy, niejako ciągnął tego, który ustawił się za nim. Można dzięki temu zaoszczędzić nawet do trzydziestu procent energii. Działa tutaj dokładnie ten sam mechanizm, co podczas jazdy na kole, której uczyłem się podczas ścigania w grupie, pedałując obok Adama Zagajewskiego i innych zawodowych kolarzy. Teraz tę samą korzyść próbowałem uzyskać w pływaniu: doganiałem zawodnika przede mną, chwilę płynąłem mu w nogach, a kiedy orientowałem się, że jest dużo wolniejszy ode mnie, wyskakiwałem przed niego i szukałem kolejnego do „zjedzenia”. I tak znalazłem się w pierwszej dziesiątce. Co kilometr zatrzymywałem się na kilkanaście sekund przy łodzi lub specjalnej tratwie, gdzie piłem napój węglowodanowy. Prawie osiem kilometrów pływania to spory wydatek energetyczny, i to już na pierwszym etapie wyścigu – to kilka tysięcy kilokalorii, które trzeba było uzupełnić. W pewnym momencie dostrzegłem, że pływak przede mną, którego nie mogłem dogonić, zatrzymał się przy tratwie i przez kilkanaście sekund odpoczywał. Wykorzystałem to, przyspieszyłem, ale celowo go nie wyprzedziłem. Wiedziałem, że jest nieco szybszy ode mnie, więc nie było sensu ścigać się z nim i tracić siły już na tak wczesnym etapie wyścigu. Niewiele by mi to dało. Od tego momentu płynęliśmy ramię w ramię, jakbyśmy się umówili na idealną synchronizację ruchów. Powoli przenosiliśmy ręce nad wodą i niemal w tym samym momencie wkładaliśmy dłonie do wody. Kiedy nabierałem oddech, spoglądałem na wschodzące nad wodą słońce i słyszałem rytmiczne uderzenia naszych rąk. Raz... I dwa... Raz... I dwa... Mimo że graliśmy o dużą stawkę, czułem ogromny spokój i przyjemność. To było jedno z najpiękniejszych doświadczeń sportowych w moim życiu – świadome ściganie.

Z wody wyszedłem trzeci ze sporą, ponadtrzydziestominutową stratą do prowadzącego Billa Grovine’a. Nie miałem z nim żadnych szans. Amerykanin jeszcze kilka lat temu był w kadrze olimpijskiej Stanów Zjednoczonych. To światowa potęga w pływaniu. Jego wynik robił naprawdę duże wrażenie. Dystans prawie ośmiu kilometrów pokonał w godzinę i czterdzieści dziewięć minut. Ja zrobiłem to w dwie godziny i dwadzieścia trzy minuty. Ale, patrząc obiektywnie na całość, to był dobry czas i dobre miejsce po pierwszym etapie zawodów jak na moje możliwości. „Lubię gonić” – pomyślałem. Przede mną było trzysta sześćdziesiąt kilometrów jazdy rowerem. Moja najmocniejsza konkurencja. Było gorąco, choć nie tak piekielnie gorąco jak podczas „Biegu Śmierci”.

Jechałem na rowerze Colnago, który dostałem przed wyjazdem od Czesława Langa. To był kolejny wspaniały człowiek, który pojawił się na mojej drodze równie znienacka jak Janusz Kalinowski, Antek Niemczak, Halupczok, Spruch i inni. Kiedy dowiedziałem się, że Lang wrócił do Polski po kilku latach ścigania się w zawodowej grupie we Włoszech, postanowiłem w ciemno pojechać do niego do Warszawy. Czesław otworzył w stolicy sklep sportowy z rowerami firmy Colnago. Były to wówczas jedne z najlepszych szosówek na świecie. Nie umawiałem się z nim na spotkanie. Było dokładnie tak samo jak w przypadku spotkania

z Januszem w PAP-ie czy Antkiem na stadionie Śląska Wrocław. Wsiadłem w pociąg i pojechałem do Warszawy. Kiedy wszedłem do sklepu, Czesław Lang stał za ladą i z kimś rozmawiał. Po chwili słuchał już tylko mnie, kiedy opowiadałem o tym, co robię i co robiłem. Tak zaczęła się nasza wieloletnia znajomość i współpraca. W prezencie dostałem od niego rower szosowy Colnago. Już w Stanach Zjednoczonych zamontowałem na nim wygiętą podpórkę na kierownicy, tak zwaną lemondkę. Marzyłem o niej! Umożliwiała przyjęcie bardziej aerodynamicznej, niemal leżącej pozycji. Jednak mimo takich udogodnień i tak miałem fatalną pozycję na rowerze! W tamtych czasach *bike fitting* nie istniał. Nikt nie analizował budowy anatomicznej zawodnika i nie ustawiał pozycji na rowerze, sprawdzając dziesięć tysięcy różnych danych, kątów nachyleń i tym podobnych parametrów. Wtedy zbyt mocno pochylałem się do przodu, miałem zadarte do góry siodełko i wyciągałem ciało, jakbym chciał przenieść ręce za przednie koło, przez co nie wykorzystywałem maksymalnie siły mięśni nóg. Ale ponieważ o tym nie wiedziałem, nie przejmowałem się tym i jechałem swoim tempem. Przede mną cały czas jechali tylko dwaj Amerykanie, Bill Grovine i Scott Willett, oraz Niemiec Fritz Braun, który zdążył wyprzedzić mnie na rowerze. Przejechał obok mnie jak samochód Formuły 1 obok furmanki. Miał nieprawdopodobną moc w nogach, co pokazały również wyniki końcowe. Miał najlepszy czas na odcinku rowerowym. Trzysta sześćdziesiąt kilometrów pokonał w czasie jedenastu godzin i pięćdziesięciu jeden minut. Ja zrobiłem to w dwanaście godzin i osiemnaście minut. To była jednostajna, długa walka nie tylko z bólem mięśni nóg na podjazdach, ale przede wszystkim ze znużeniem. Siedzenie na twardym siodełku przez kilkanaście godzin nie należy do łatwych wyzwań, ale starałem się o tym nie myśleć. Jechałem równym tempem, pilnowałem nawadniania i odżywiania. Po przejechaniu stu pięćdziesięciu kilometrów powoli zaczynałem mieć dość monotematycznego jadłospisu. Moje menu wyglądało dość ubogo: węglowodany rozpuszczone w wodzie i banany. „Nie przeżyję tych zawodów na takim żarciu” – pomyślałem. Zgodnie z przepisami przez cały czas trwania etapu kolarskiego jechał za mną samochód z moją ekipą wspierającą. Nie mogli mnie wyprzedzić, a gdy ktokolwiek z zespołu chciał podać mi bidon lub coś do jedzenia, musiałem się zatrzymać. Na jednym z takich postojów powiedziałem do chłopaków:

– Dajcie mi coś konkretnego do jedzenia, co? Mam już dosyć tego proszku rozrobionego w wodzie. Wypiłem tego z osiem galonów! Ileż można?! – krzyknąłem trochę poirytowany.

Po dwóch godzinach Earle podał mi termos. Spojrzałem na niego pytająco. On tylko się uśmiechnął i kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć: „No, spróbuj”. Odkręciłem termos i poczułem zapach, który przypominał mi tradycyjną polską kuchnię. Rosół! Ugotowali dla mnie rosół! Wziąłem dwa łyki. Szybko, łapczywie, o mało się nie zakrzusiłem. Pomyślałem o ostatnim papierosie, którego wypaliłem przed wejściem do Monaru praktycznie jednym pociągnięciem. Nie chciałem popełnić ponownie tego samego błędu. „Będę się tym rosółem delectował tak, jakby to miał być mój ostatni rosół w życiu” – pomyślałem. Zupa była letnia, z rozdrobnionym makaronem i kurczakiem, łagodnie przyprawiona, z intensywnym posmakiem warzyw. Dała mi tyle energii, że od tego momentu na każdym z punktów żywieniowych prosiłem ekipę o łyk rosółu. Przyśpieszałem. Czuję się świetnie. Dystans trzystu sześćdziesięciu kilometrów pokonałem ze średnią prędkością prawie trzydziestu kilometrów na godzinę, co pozwoliło zmniejszyć stratę do czołówki aż o jedenaście minut. Kiedy zbliżałem się do strefy zmian, było już ciemno. Ścigaliśmy się po drogach publicznych, w otwartym ruchu i należało bezwzględnie przestrzegać przepisów. Obowiązkowy był kask i światła rowerowe. Bieg, który miałem za chwilę rozpocząć, był dla mnie największą zagadką. W większości

przypadał na noc i wiedziałem, że najgorsze dopiero przyjdzie.

Kiedy zszedłem z roweru w strefie zmian, poczułem ogromną ulgę. Przez chwilę nie mogłem się wyprostować, bo mięśnie kręgosłupa przez ponad dziesięć godzin były zmuszone do utrzymywania niemal leżącej pozycji. Kiedy próbowałem przyjąć pionową postawę, poczułem mrowienie na plecach i rozplwające się po łądzwiach gorąco. „Kurwa, skądś znam to uczucie rozlewającego się po ciele ciepła” – pomyślałem z uśmiechem. Tym razem nie było na szczęście związane z narkotykami, ale z faktem, że przez wiele godzin niektóre mięśnie były cały czas napięte, krew nie dochodziła tam tak swobodnie jak powinna, a kiedy nagle zaczęła krążyć, mięśnie ogarnęła fala przyjemnego ciepła. Przez chwilę biegłem w strefie zmian jak pokraka, zanim do wszystkich komórek dotarł z mózgu sygnał: „Halo! Górski! Zmiana konkurencji. Czas zagonić do pracy inne mięśnie”. Przed wyruszeniem na trasę biegową musiałem przejść jeszcze obowiązkowe ważenie i pomiar ciśnienia krwi. Lekarze z uśmiechem spojrzeli na wskazania i dali zielone światło – mogłem biec. Byłem czwarty. Miałem osiemdziesiąt cztery kilometry na to, aby odrobić straty. Wiedziałem, że nie mogę – mówiąc sportowym językiem – się podpalać. Musiałem zachować spokój. Miałem jednak obok siebie kogoś, kto pomógł mi przetrwać pierwszy maraton w dobrej kondycji. Darek Janczewski, jako mój *support*, mógł zgodnie z przepisami asekurować mnie na dowolnej części maratonu. Wybraliśmy tę, która przypadała na noc. Dla Darka był to z kolei pierwszy, nieoficjalny dystans maratoński. Jeszcze nigdy wcześniej nie pokonał czterdziestu dwóch kilometrów. Było już ciemno i cicho. Większość miasta spała. Mnie też dopadło znużenie i zmęczenie. Pięknie przycięte trawniki o grubych i gęstych źdźbłach, które oddzielały ulicę od posesji, wyglądały jak dywany. Miały przyjemny dla oczu intensywny kolor zieleni i w świetle ulicznych lamp zdawały się kusić i wołać: „Jurek, połóż się na moment, odpocznij, prześpij”. Darek, który biegł obok z butelką wody, cały czas mnie kontrolował.

– Nie zasypiaj! Masz, pij! – Podał mi butelkę. – Rozmawiaj ze mną! Chcesz coś do jedzenia? – zapytał.

– Masz cukierka?

– Co?! – zdziwił się Darek. – Nie, no skąd? Rosół, cukierki... Ale ty masz dietę sportowca, Jurek. Niech cię! – Darek uśmiechnął się życzliwie i za chwilę dał znać ekipie, że Górski potrzebuje cukru.

– Wiesz, znam takiego, co podczas Ironmana kielbasę wpierdział. I wygrał. – odpowiedziałem, przypominając sobie zawody w Kaliszu, podczas których Jarek Łabus jadł co popadło, nawet biszkopty.

Cukierki, rosół, banany i pomarańcze – to było moje podstawowe paliwo podczas tych zawodów. Piłem co prawda odżywkę węglowodanową dostarczaną przez organizatorów na każdej stacji żywieniowej, ale wiedziałem, że dla mojego organizmu będzie to tylko i wyłącznie uzupełnienie, a nie podstawowe źródło energii.

O żywieniu sportowców rozmawialiśmy z Darkiem bardzo dużo. Mieliśmy czas. Biegliśmy w tempie konwersacyjnym, prędkość nie powodowała zadyszki, więc pytałem o wszystko. Interesowało mnie nie tylko to, co jedzą amerykańscy biegacze, ale również jak dużo i ile razy w ciągu dnia. Gdzieś pod koniec pierwszego maratonu odezwały się moje stopy. Napuchły i czułem, że jedyną ulgą będzie dla nich moment, kiedy ściągnę buty. Ale do mety miałem jeszcze prawie pięćdziesiąt kilometrów. Zacząłem nienaturalnie stąpać, rozluźniając mięśnie podczas biegu. Trzymałem równe tempo. Drugi maraton, zgodnie z założeniami chciałem pokonać tak zwanym gallowayem – sześć do ośmiu minut biegu i dwie minuty marszu, ale teraz wciąż jeszcze biegłem. Z niezwykłą starannością pilnowałem nawadniania i żywienia. Co kilka

minut popijałem rozrobione w wodzie węglowodany, schładzałem rozgrzane ciało, polewając się wodą. O północy minęła siedemnasta godzina wysiłku. Earle Harris jechał za mną samochodem. Od kilku godzin oświetlał mi drogę. Kończył się długi dzień. Wystartowaliśmy o szóstej trzydzięci. Około godziny dziesiątej wyruszyłem na trasę rowerową, a tuż przed dwudziestą drugą zacząłem bieg. Tu już nawet nie chodziło o wysiłek fizyczny. Najtrudniej było przezwyciężyć zmęczenie psychiczne. Byłem potwornie zmęczony, ale kiedy mijałem rywali, przyjmowałem wyprostowaną postawę, wypinałem klatkę piersiową i biegłem tak poprawnie technicznie, jak to tylko możliwe. Inni zawodnicy oglądali się za mną zdumieni, a ich wzrok zdawał się pytać: „Skąd ty, Górski, masz tyle siły?!”. „To rosół, to dobry polski rosół, chłopaki” – mówiłem do siebie. Ale kiedy tylko znikali mi z oczu, stawałem się sflaczałym balonem, z którego w jednej sekundzie uchodziło powietrze. Prowadziłem psychologiczną wojnę, która miała osłabić ich morale, spowodować, że pękną i poddadzą się na kolejnym kilometrze. Sport długodystansowy, wszystkie zawody na dystansach ultra, to w zdecydowanej większości mistrzostwa w jedzeniu, piciu i sile woli. Takie zawody wygrywa się perfekcyjnie zaplanowanym żywieniem i głową, która w przypadku większości sportowców jest najsłabszym ogniwem. Wiedziałem, że skupiając się na tym, co negatywne, z mózgu do mięśni zostanie wysłany komunikat: „Wrzucamy na luz. Górski umiera”. Dlatego, mijając rywali, uśmiechałem się do nich, pozdrawiałem, a przede wszystkim przyspieszałem. Tym sposobem po kilku godzinach biegu dostałem to, o co walczyłem. Pierwszy moment, kiedy poczułem, że jest naprawdę dobrze, przyszedł tuż po nawrocie na trzecim okrążeniu, po przekroczeniu trzydziestego kilometra pierwszego maratonu. To wtedy dopadłem Niemca. Fritz Braun wyglądał świetnie, nawet uśmiechnął się do mnie i odmachał na moje pozdrowienie, ale biegł wolniej. Nie potrafiłem ocenić, czy taka jest jego taktyka, czy po prostu nie ma siły. Przed sobą miałem już tylko dwóch Amerykanów. Po kilku kilometrach zobaczyłem, że ten, który był drugi, leży w rowie. Ścięło go. Żołądek odmówił pracy. Amerykanin klęczał, podpierał się rękoma i wymiotował. Za mocno pojechał rowerem i teraz słono płacił za brak wyobraźni i pokory. Już się nie podniósł. Sędziowie przekreślili jego numer startowy, pisząc skrót DNF, co w języku angielskim oznacza *did not finish*. Chwilę później po przeciwległej stronie drogi zobaczyłem, że ten, który był pierwszy, też już nie biegnie, tylko idzie i smutnym wzrokiem patrzy w moim kierunku. Tradycyjnie wyprostowałem się, uśmiechnąłem od ucha do ucha i pomachałem ręką. Wiedząc, ile mam jeszcze do nawrotu, oceniłem, że jeżeli utrzymam tempo, a on dalej będzie człapał, to wyprzedzę go za mniej więcej godzinę. Tak też się stało. Znalazłem się na prowadzeniu i z każdym krokiem powiększałem przewagę. Chwilę później okazało się, że Grovine’a wyprzedził również Fritz Braun. Mój *support* szalał z radości, ale ja zdawałem sobie sprawę, że daleko jeszcze do wygranej. Powoli opadałem z sił.

– Boli? – zapytał Darek.

– I to jeszcze jak – odpowiedziałem, ale natychmiast się uśmiechnąłem. – Nie przejmuj się. Przyzwyczailem się. Narkotykowy głód jest gorszy – dodałem.

Właśnie minęliśmy kolejny znacznik. Dwudziesta piąta mila biegu.

– Ile to kilometrów? – zapytałem Darka po raz kolejny.

Wciąż nie potrafiłem tego szybko przeliczyć.

– Niewiele ponad czterdzieści – Darek, mówiąc to, uśmiechnął się szczerze.

Też był już zmęczony i za chwilę miał zejść z trasy.

Kończył się pierwszy maraton. Nie bałem się, że za chwilę nie będę miał się do kogo odezwać. Lubiłem samotność. Nawet przez ostatnie cztery godziny zdarzały się długie chwile

milczenia, podczas których słyszeliśmy tylko własne oddechy i uderzenia butów o asfalt. Były jak odgłos bębna na smoczych łodziach, który wyznacza rytm wiosłowania. Rozmyślałem w tym czasie o wszystkim, co wydarzyło się w moim życiu. Starłem się nie myśleć o bólu i kilometrach, które zostały do mety. Każdy, kto marzy o pokonaniu Ironmana, musi zaakceptować ból, zaprzyjaźnić się z nim i zrozumieć, że wcześniej czy później przyjdzie moment, w którym mięśnie będą się z nami kłócić, buntować się, wmawiać nam, że czegoś nie mogą zrobić, bo są za słabe. Nie wolno tego słuchać. To nie armia rozkazuje wodzowi, ale wódz rozkazuje armii. Jeśli chcesz pokonać ten dystans, twoja głowa musi być gotowa na najtrudniejszą bitwę – znużenie, zmęczenie i wreszcie zwątpienie. To ostatnie jest najtrudniejszym przeciwnikiem i przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie. Wystarczy zaakceptować pierwszą myśl „Nie dam rady”, a uruchamia się cały proces pod nazwą „Przegrana”. Najpierw zaczynamy iść. Nie reagujemy już na żadne słowa zachęty do biegu. Zaczyna nas to już nawet drażnić, podobnie jak zbyt głośny doping na trasie, który zamiast motywować, irytuje. Mnie irytowało w tamtej chwili zupełnie co innego. Kiedy zaczynało świtać, na ulicach Huntsville pojawiły się pierwsze samochody. Ich warkot, a przede wszystkim bliskość, wkurzały mnie tak bardzo, że sypałem wulgaryzmami na prawo i lewo. „Jak można jechać tak blisko biegaczy, kurwa” – mówiłem do siebie, kiedy jakiś samochód przejeżdżał metr ode mnie. Mimo że organizatorzy ustawili pomarańczowe stożki na drodze, które wyznaczały pas jezdni przeznaczony dla zawodników, w moim odczuciu kierowcy jechali zbyt blisko. Zmęczenie dawało o sobie znać. Stres w takich sytuacjach zawsze się nasilał, a ja stawałem się nerwowy. Lepiej było do mnie nie podchodzić, a jeżeli już, to tylko z dobrymi informacjami. Jedna z nich czekała na mnie na nawrotce, kiedy oznaczenia zasygnalizowały koniec pierwszego maratonu. Pokonałem go w czasie 4:22:00. Najlepiej w całej stawce! Niesamowite. Mogłem wreszcie przejść do wdrożenia w życie taktyki ubiegłorocznego zwycięzcy. Drugi maraton w całości pokonałem tak zwanym gallowayem. Jednak zawsze wtedy, kiedy mijalem się z drugim w stawce, Niemcem Friztem Braunem, przyspieszałem, nie dawałem po sobie poznać, że jestem zmęczony. A było momentami bardzo ciężko. Odnowiła mi się kontuzja, której nabawiłem się jeszcze podczas biegu na 100 mil. Mięsień dwugłowy uda bolał i wołał o przerwę. Dawałem mu tylko dwie minuty odpoczynku, po czym znów zaczynałem bieg. Kulałem. Czulem też, że nie mogę już przyjmować sztucznych napojów energetycznych, bo za chwilę z moim żołądkiem stanie się dokładnie to samo, co z żołądkiem Amerykanina. Nie chciałem skończyć zawodów rzyganiem w rowie. Wiedziałem, że mam ponad godzinę przewagi nad drugim zawodnikiem. Powoli docierało do mnie, że jestem bliski wygrania tych zawodów. „Boże, żeby tylko noga nie odmówiła mi posłuszeństwa, żeby tylko Niemiec nie zaczął przyspieszać. Chcę to wygrać!” – mówiłem do siebie.

Myślami uciekałem do Polski, do Monaru i mojej mamy. Zastanawiałem się, jak zareagują na moje zwycięstwo, myślałem, co powiem na mecie. Wygraną chciałem zadedykować tym, z którymi spędziłem ostatnie lata, wszystkim uzależnionym, którzy podjęli walkę z nałogiem, mojemu mistrzowi Antkowi Niemczakowi, a przede wszystkim mojej mamie. Ona nie rozumiała tej całej sportowej pasji. Tak jak płakała, widząc mnie ćpającego, tak i później zamartwiała się, kiedy spocony wpadałem do domu w odwiedzinach.

– Po co się tak męczyć, Jureczku? – pytała z troską.

– Mamo, ja wreszcie żyję – odpowiadałem szczęśliwy.

Dziesięć kilometrów przed metą zdałem sobie sprawę z tego, że musiałoby się stać naprawdę coś wyjątkowego, żebym przegrał. Miałem wciąż godzinę przewagi i nic nie wskazywało, aby

ktokolwiek mógł mi zagrozić.

Na ostatnich kilometrach podłączył się do mnie jeden z członków ekipy z dużą polską flagą zatknietą na długim drzewcu. Biegł obok mnie i dopingował, motywował i podtrzymywał na duchu. Biegłem, ale co chwila musiałem przechodzić do marszu, kulałem na lewą nogę. Chciało mi się pić i co chwila prosiłem o wodę. Wreszcie nie wytrzymałem i powiedziałem: „Dajcie mi piwa. Zimnego piwa!”. Moja ekipa śmiała się na to i mówiła, że dostanę, ale dopiero wtedy, kiedy przekroczę linię mety.

Przez ostatnie kilka kilometrów biegłem szerokimi ulicami Huntsville. Mijałem dopingujących mnie kibiców, którzy spędzili noc w namiotach. Sto metrów przed metą przywitał mnie fantastyczny doping amerykańskiej Polonii: „Ju-rek! Ju-rek!” – krzyczeli ile sił, a ja wiedziałem, że nikt już nie odbierze mi tego zwycięstwa. Zobaczyłem zegar na mecie. Ponieważ miał tylko pięć cyfr, z przodu przed czwórką sędziowie dokleili kartkę papieru, na której narysowana była dwójka. 24:47:46 – w takim czasie przekroczyłem metę, zrywając wąską, niebieską wstążkę. Zrobiłem to tak, jak o tym marzyłem. Ziścił się wieloletni sen o wygranej w stylu Antka Niemczaka. Przed oczami miałem jego zdjęcie, na którym wygrywa maraton w Wiedniu, trzyma ręce wyprostowane wysoko w górę i uśmiecha się od ucha do ucha. „Też tak kiedyś będę przekraczał metę” – przypomniałem sobie słowa, na dźwięk których rozległ się kiedyś śmiech mieszkańców Monaru. Nikt nie wierzył, że kiedykolwiek narkoman dokona takiego cudu, a jednak zrobiłem to. Przełamałem granicę upodlenia, ale wzniosłem się również na wyżyny swoich możliwości. Dokonanie niemożliwego zajęło mi sześć lat, ale czymże jest tych sześć lat w obliczu czternastu ładowania w żyłę, wszystkich historii, które spotkały mnie w życiu i tego, co jeszcze miało się wydarzyć?

Na mecie Polonia odśpiewała mi sto lat, a chwilę później znalazłem się pod obstrzałem telewizyjnych kamer. Stałem jeszcze chwilę wśród tłumu kibiców, po czym ktoś podał mi krzesło. Usiadłem i zacząłem odpowiadać na pytania dziennikarzy. Obok mnie przykucnął Darek Janczewski, który tłumaczył każde moje słowo. Kiedy zapytano mnie, co czuję, nie zastanawiałem się ani chwili nad odpowiedzią. Wiedziałem, że dla Amerykanów moje osiągnięcie jest czymś więcej niż tylko wygraniam sportowych zawodów.

– Na pewno moje zwycięstwo pomoże wielu ludziom w Polsce, którzy są uzależnieni. Ponieważ byłem narkomanem, to jestem żywym przykładem, że można z tego wyjść. Sport, a w szczególności triathlon, jest dzisiaj moim narkotykiem – to były moje pierwsze słowa po przekroczeniu mety.

Najważniejsze. Prawdziwe i szczerze. Najpełniej oddające to, co czułem wtedy i co czuję dziś. Gdyby ktoś cofnął mnie w czasie do tamtego momentu, powtórzyłbym dokładnie to samo. Na pytania dziennikarzy odpowiadałem jeszcze kilkanaście minut. Potworne zmęczenie i senność przeplatały się z dumą, radością i nadzieją, że ta wygrana nie pójdzie na marne. Dla mnie to zwycięstwo znaczyło więcej niż wszystkie mistrzostwa świata razem wzięte. Tylko ja wiedziałem, ile pracy i uporu musiałem włożyć w to, żeby odkupić grzechy narkomanii. Byłem dumny. Moją historię mógłbym zamknąć w jednym zdaniu: „Nigdy nie jest za późno”. Trafiłem do Monaru w wieku dwudziestu dziewięciu lat, zniszczony i poturbowany psychicznie. Ciężką pracą i wiarą w sukces odbudowałem swój organizm do tego stopnia, że mogłem wygrywać z najlepszymi na morderczych dystansach Ironman i Double Ironman. W wieku trzydziestu pięciu lat, po czternastu latach narkomanii, ćpania niezliczonej ilości morfiny i heroiny, picia wódki i palenia prawie stu papierosów dziennie, po sześciu latach terapii udowodniłem, że ograniczenia w życiu stawiamy sobie sami, że one istnieją tylko w naszej głowie. Ulegają im ci,

którzy mówią, zamiast działać. Moje problemy skończyły się w momencie, kiedy przestałem rozmyślać, „czy” coś zrobić, a zacząłem to po prostu robić.

Jeszcze przez chwilę stałem na mecie podwójnego Ironmana i patrzyłem na zegar. Czułem dumę i spełnienie. Obserwowałem, jak Huntsville budzi się do życia. Ja za chwilę miałem położyć się spać po dwudziestu czterech godzinach wysiłku fizycznego. „Znowu skrajność” – pomyślałem. Zawsze pod prąd, zawsze inaczej, zawsze za głosem serca – od totalnego upodlenia do mistrzostwa. Wreszcie byłem NAJLEPSZY.

EPILOG

Narkoman jest w gruncie rzeczy bezbronnym człowiekiem, pełnym sprzeczności i lęków, pozbawionym naturalnej odporności na stres codziennej egzystencji, pogardzanym przez bliskich i społeczeństwo, zagubionym i bezwolnym. Narkotyk jest dla niego jedyną, znaną mu i dostępną formą obrony przed bólem istnienia, paradoksalnym schronem, w którym przyjdzie mu kiedyś zginąć.

*Ty zaraziłeś ich narkomanią,
Marek Kotański*

O moim zwycięstwie Antek Niemczak dowiedział się w zaskakujący sposób. Nie mógł mi kibicować, ponieważ wyjechał do Polski startować w Biegu Solidarności. Siedział właśnie w pociągu z Wrocławia do rodzinnego Jarosławia. W przedziale była jeszcze tylko jedna kobieta. Antek stworzył gazetę „Wieczór Wrocławia” na ostatniej stronie. Jego wzrok zatrzymał się na wymownym tytule: „Piekło na Ziemi. Jerzy Górski mistrzem świata”. Już samo to zdanie dla kogoś, kto znał moją przeszłość, było tak nierzeczywiste, że reakcja mogła być tylko jedna. Antek zerwał się na równe nogi i zaczął krzyczeć:

– Proszę pani! Czy pani wie, co się stało?

– Boże mój drogi! Co takiego? – zapytała zdezorientowana kobieta.

– Jurek został mistrzem świata! Czy pani to rozumie?! Jurek Górski został mistrzem świata w podwójnym triathlonie! – mówił Antoni, pokazując kobiecie moje zdjęcie, kiedy z wyciągniętymi do góry rękoma przekraczam metę.

Kobieta nie miała pojęcia, o kim ani o czym mowa. Triathlon kojarzył się jeszcze wtedy z biathlonem i częściej było słyhać pytania, czy to ta dyscyplina sportu, w której się strzela.

Po sześciu latach od zakończenia ćpania doszedłem do sportowego mistrzostwa. W CV mogłem wypisać wszystkie słowa kończące się na -izm. Każdy z mojego towarzystwa miał swoje izmy. Popadaliśmy w uzależnienia i baliśmy się przyznać, że jedno zastępowaliśmy drugim. Gdybym nie odnalazł sportu, byłbym narkomanem, jeżeli nie poznałbym smaku narkotyków, byłbym alkoholikiem, jeżeli nie sięgnąłbym po wódkę, byłbym palaczem, seksoholikiem albo pracoholikiem. Nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy przeciętni.

Każdy z nas ma w sobie demony i anioły, złe i dobre wilki. Tylko od ciebie zależy, którego będziesz karmić. Nie jesteśmy kryształowi. Ludzie tacy jak ja, wytyczający sobie najwyższe, ambitne cele, podążający za marzeniami, bardzo często popadają w skrajności. Ćpamy życie na maksa – pijemy na maksa, kochamy na maksa, trenujemy na maksa. Czasami obijamy się od burty do burty w poszukiwaniu swojego miejsca na łódce, ale kiedy już je znajdziemy, rozwijamy wszystkie żagle i okrążamy świat. Czasami trzeba upaść na samo dno, aby odnaleźć siebie. Truizm, ale kto, jeśli nie ja, ma prawo go teraz wypowiedzieć? Po latach ćpania, terapii, w której chyba cały czas jestem, zdałem sobie sprawę, że muszę mieć coś, w czym będę się realizował, coś, co będzie moim zdrowym uzależnieniem. Do dziś brzmią mi w głowie słowa Marka Kotańskiego, który zawsze w prosty i dosadny sposób próbował nam wytłumaczyć, z jakiego gówna wyciągamy się za włosy. Jego przesłanie nie dotyczy wyłącznie uzależnionych,

ale wszystkich którzy chcą przeczekać życie, wszystkich, którzy idą na łatwiznę, wszystkich, którzy równają do dołu zamiast patrzeć na szczyty, wszystkich, którzy pokazują metrykę urodzenia i mówią: „Za późno”. Już po latach od mojego wyjścia z Monaru Kotan tak mówił do młodych narkomanów w serialu dokumentalnym Mirosława Dembińskiego „Trzeba żyć”:

– Mnie się w pale nie mieści, że w jeden dzień chcecie sobie zniszczyć całe życie! Zmącić umysł jakimiś narkotykami. Dlaczego? O co tu w ogóle chodzi?! Po dwudziestu pięciu latach pracy z wami nie jestem w stanie tego zrozumieć! Ale ja dlatego nie stałem się narkomanem, bo od młodości trenowałem pomaganie innym – ludziom chorym, biednym, słabszym w klasie, nie pozwalałem ich bić. Żeby wyjść z narkomanii, trzeba próbować stać się doskonałym, bo inaczej nie dasz sobie rady, wujek! Przeciętni będą dalej brali. Nie boisz się, kurwa?! Nie masz dupościsku, że ci się nie uda? Bądź doskonały... Bądź NAJLEPSZY. Każdy, kto przyszedł do Monaru przeczekać, pomylił adres! To w ogóle nie ma sensu! To jest poważna choroba! Wyście się wpierdolili w taką kabałę, że tylko ostre strzelanie, bycie uczciwym, człowiekiem robiącym ciągle coś fantastycznego, może wam dać szansę na wyjście. Chciałbym powiedzieć to po raz ostatni. W tym leczeniu liczy się tylko to, co jest najtrudniejsze. Wszystko łatwe to o dupę potłuc. Jeżeli chce się wam rzygać, to dobrze. Jeżeli pijecie kawę, to kiepsko. Jak będziecie mieli tu wszystko, to dacie dupy jak motyle. Bo trzeba ciągle coś tworzyć. Każde pokolenie młodych ludzi, które coś stworzy, wygra swoje życie; każde, które będzie konsumowało... jest przegrane. Przeciętniacy będą dalej brali, znajdą się na oddziale odwykowym, a potem już nie zdążą, a potem ich się zakopie. Z narkomanii wychodzą mistrzowie, wychodzą najlepsi!

KILKA WAŻNYCH FAKTÓW

- Jerzy Górski jest dziś organizatorem imprez triathlonowych i biegowych, prezesem Centrum Sportowego „Głogowski Triathlon”, mówcą motywacyjnym i trenerem. Był członkiem Polskiego Związku Triathlonu. W 1990 roku otrzymał brązowy Medal za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. W 1996 roku „Przegląd Sportowy” i Urząd Kultury Fizycznej i Turystyki przyznał mu tytuł Olimpionika.
- Pięć lat po zwycięstwie w Double Ironman Jerzy Górski spełnił swoje ostatnie sportowe marzenie – ukończył trzydniowe zawody Ultraman na Hawajach.
- W Rawiczu Jerzy Górski organizuje „Bieg ku wolności”, pokazując, jak sport może pomóc w powrocie do życia w społeczeństwie poza murami więzienia. Skazani, którzy otrzymali pozwolenie od Służby Więziennej, pokonują dystans dwudziestu jeden kilometrów, biegnąc wokół stumetrowego dziedzińca wewnątrz zakładu.
- W 2017 roku powstał film fabularny oparty na faktach w reżyserii Łukasza Palkowskiego pod tytułem „Najlepszy”. Główne role zagrali: Jakub Gierszał, Janusz Gajos, Magdalena Cielecka, Arkadiusz Jakubik, Tomasz Kot, Mateusz Kościukiewicz, Adam Woronowicz, Artur Żmijewski, Anna Próchniak, Kamila Kamińska i Szymon Warszawski. Podczas 42. Festiwalu Filmowego w Gdyni Najlepszy zdobył pięć nagród, między innymi Nagrodę Publiczności, za scenografię, profesjonalny debiut aktorski oraz Złotego Klakiera za najdłużej oklaskiwany film Konkursu Głównego.

BIBLIOGRAFIA

Literatura i prace naukowe:

Lubiąż. Klasztor mrocznych tajemnic, Marta Ringart-Orłowska i Tomasz Bonek, wyd. Replika, Zakrzewo 2015.

Technologia środków leczniczych, Leonard Kuczyński, wyd. PZWL, Warszawa 1963.

Technologia środków leczniczych, podręcznik dla studentów farmacji, Jerzy Tułeczki, wyd. PZWL, Warszawa 1978.

Test oczny, Jerzy Toczolowski, Jacek Ciechan, [w:] „Medicus”, 3/1998.

Toksykomania, Czesław Cekiera, wyd. PWN, Warszawa 1985.

Wojewódzki Szpital dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Lubiążu na przełomie wieków, Jacek Kacalak, wyd. Oscar Marand P. Spizak, 2008.

Z historii pijaństwa w czasach PRL: „peerelowskie” wzory picia alkoholu, Krzysztof Kosiński, [w:] „Polska 1944/45-1989: studia i materiały 7”, wyd. Instytut Historii PAN, Warszawa 2005.

Życie w PRL i strasznie, i śmiesznie, Iwona Kienzler, wyd. Bellona, Warszawa 2015.

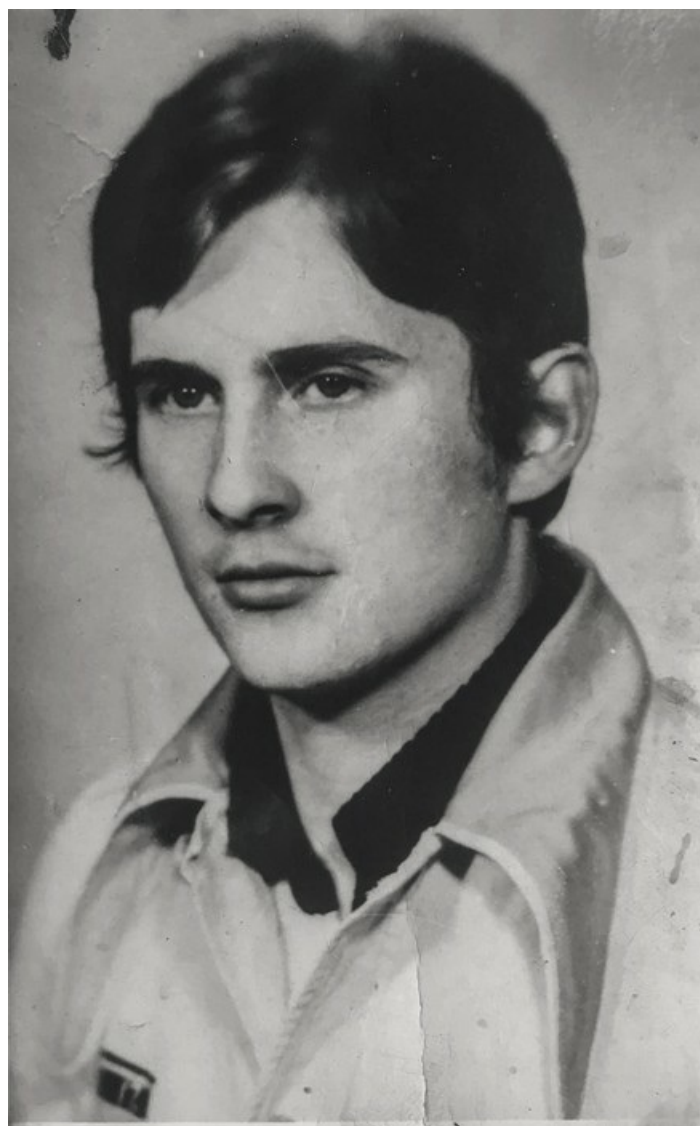
Strony internetowe:

www.akademiatriathlonu.pl – największa baza specjalistycznej wiedzy o triathlonie w polskim internecie.

www.glogow.pl – Internetowa Encyklopedia Ziemi Głogowskiej.

www.monar.org – strona internetowa Stowarzyszenia Monar.

-
- 1 *Armia Czerwona na Dolnym Śląsku*, Paweł Piotrowski, [w:] „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, 4/2001.
 - 2 *Ty zaraziłeś ich narkomanią*, Marek Kotański, wyd. Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich, Warszawa 1984.
 - 3 *Jak makiem posiał* [reportaż radiowy], Małgorzata Żwan, Program Drugi Polskiego Radia, 1981.
 - 4 W 1981 roku Instytut Psychoneurologiczny szacował liczbę osób mających kontakt z narkotykami na 30 tys., Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej na 100 tys., zaś specjaliści z Ośrodka Odwykowego w Garwolinie sugerowali nawet 500–600 tys. (AAN, Komitet Centralny PZPR, sygn. LI/312, k. 30–31). Ostatnia liczba wydaje się nieco wyolbrzymiona. Dla porównania na początku lat 80. w Polsce było ok. 600 tys. osób uzależnionych od alkoholu. Cytat za: *Narkomania wśród polskiej młodzieży na przełomie lat 70. i 80. XX wieku*, Bartłomiej Międzybrodzki, [w:] „Przegląd Pedagogiczny”, 2/2012.
 - 5 Cytat za wpisem na blogu Jerzego Skarżyńskiego <http://skarzynski.pl/2014/04/10/30-lat-minelo-wieden-maraton-1984-i-fruelings-marathon-wien/>
 - 6 Informacje na podstawie artykułu *Narkomania wśród polskiej młodzieży na przełomie lat 70. i 80. XX wieku*, Bartłomiej Międzybrodzki, [w:] „Przegląd Pedagogiczny”, 2/2012.
 - 7 *Maraton Nadziei* [reportaż telewizyjny], Waldemar Baczuń, TVP 2, 1986.
 - 8 *Wszystko jest poezja. Opowieść – rzeka*, Edward Stachura, wyd. Czytelnik, Warszawa 1987
 - 9 Psycholog, współzałożyciel Laboratorium Psychoedukacji, pierwszej w Polsce placówki psychoterapii, treningu i szkolenia. Stypendysta Instytutu Psychoterapii Gestalt w Los Angeles (1976) i Zen Center of Rochester (1980). Autor książek: *Zdradzony przez ojca*, *Alchemia Alchemika*, *Pomóż sobie – daj światu odetchnąć*, *Zatrzymaj się*, *Jak wychować szczęśliwie dzieci*, *Kobieta bez winy i wstydu*.
 - 10 Z angielskiego: Przeplłyn 2,4 mili! Przejedź 112 mil! Przebiegnij 26,2 mili! Chwal się tym do końca życia!
 - 11 Pierwszy Polak, który ukończył mitycznego Ironmana na Hawajach w 1987 roku. Na Big Island startował trzykrotnie.
 - 12 Cytat na podstawie artykułu *Prawie klasyk*, Jacek K. Mleczko, [w:] „Sportowiec”, 38/1986.
 - 13 Wacław Skarul w 1988 roku zastąpił Ryszarda Szurkowskiego na stanowisku trenera kadry i prowadził ją do 1992 roku. Największym sukcesem jego zawodnika było mistrzostwo świata Joachima Halupczoka w 1989, za co „Przegląd Sportowy” wyróżnił go tytułem trenera roku 1989. W marcu 2011 roku został prezesem Polskiego Związku Kolarskiego.



Jerzy Górski w wieku około piętnastu lat, tuż przed tym, jak zaczął brać narkotyki.



Na zdjęciu mama Jurka.

niekuje się Kazimierz Hincowino - Matus 104 1149
imię nazwisko stop. pokrewieństwa adres, telefon

Lubiąż, dnia 15.04.81

Zgadzam się na leczenie
ob. Górski Jerzy

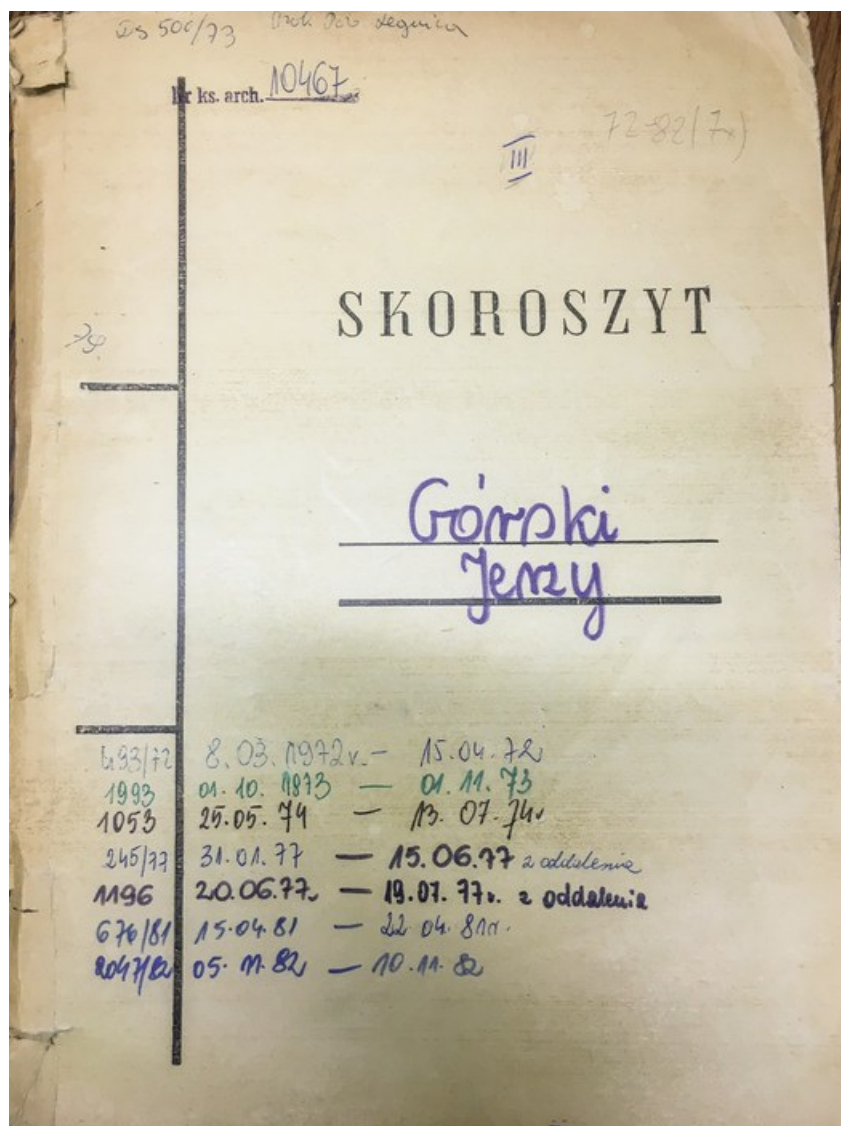
(stopień pokrewieństwa, tytuł opiekuna)

w Państwowym Szpitalu dla Nerwowo i Psychicznie Chorych w Lubiążu, takimi
metodami jakie lekarze uznają za celowe i na zabiegi uznane przez lekarzy za
potrzebne.

Jerzy Górski
(podpis)

ca:

Dokument podpisany przez Jurka Górskiego, poświadczający, że zgadza się na leczenie z narkomanii w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu.



Pierwsza strona Skoroszytu - historii leczenia z narkomanii w szpitalu psychiatrycznym w Lubiążu.



Jerzy Górski podczas kursu operatora maszyn ciężkich, Monar, Wrocław, 1985 rok.



Jerzy Górski (drugi od prawej) podczas terapii w Monarze, 1985 rok.



Jerzy Górski na trasie Maratonu Nadziei.



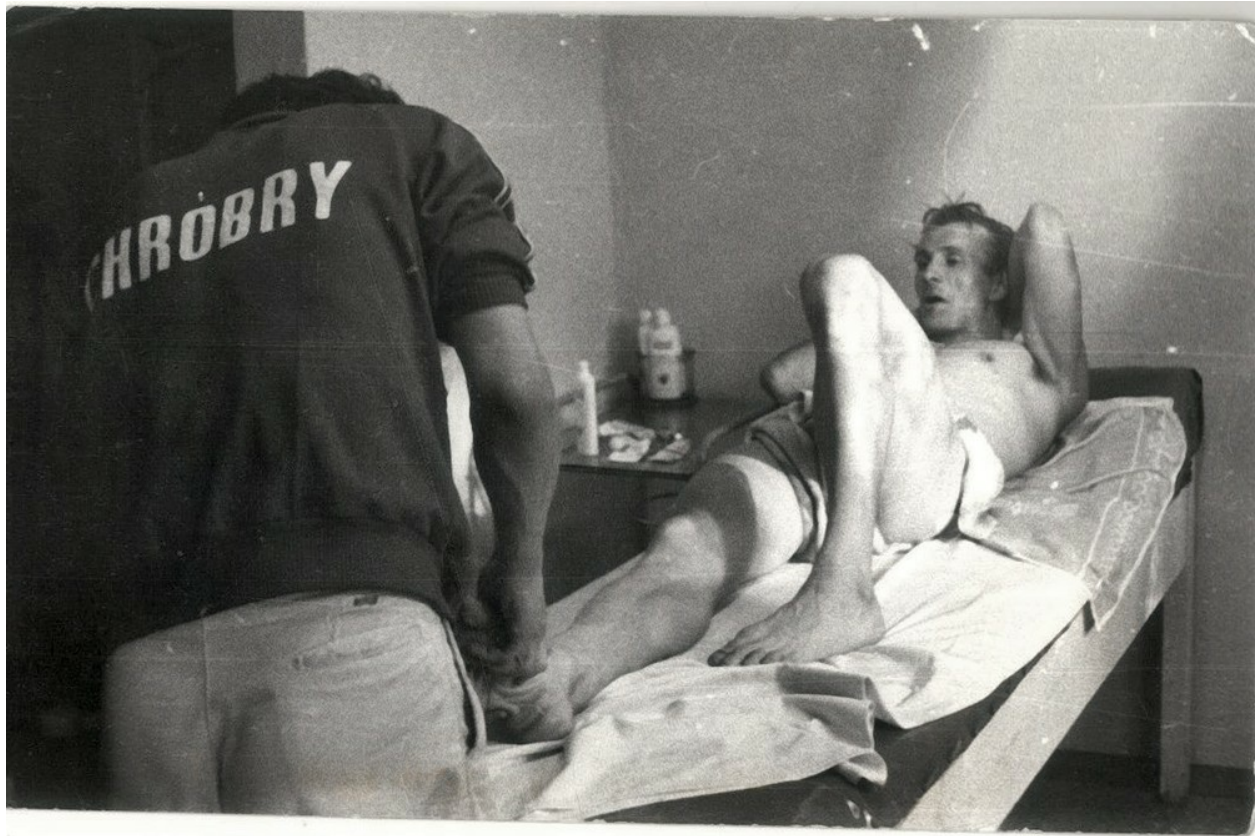
Tuż przed startem pierwszych w Polsce zawodów na dystansie Ironman. Zimna woda zbiornika Szałe odstraszyła większość zawodników. W ciemnym, jednoczęściowym stroju pływackim Jarek Łabus. Kalisz, 1986 rok (fot. ze zbiorów Jarka Łabusa)



Palenie słomy makowej podczas biegu „Pomocnicy życia przeciw pomocnikom śmierci”. Jurek Górski w środku z mikrofonem. Głogów, 1987 rok.



Jerzy Górski na trasie biegowej Ultramana, którego zorganizował w Głogowie, 1989 rok (fot. Wincenty Kołodziejcki).



Odnowa biologiczna po drugim dniu Ultramana w Głogowie, 1989 rok (fot. Wincenty Kołodziejcki).



Jerzy Górski na mecie, tuż po ukończeniu Ultramana, 1989 rok (fot. Wincenty Kołodziejcki).



Zdjęcie stóp Jurka Górskiego wykonane w domu Antka Niemczaka dwa dni po biegu na 100 mil. Opuchnięte stopy i palce, z których zeszły wszystkie paznokcie.



Medal za ukończenie The Western States 100-Mile Endurance Run, Squaw Valley, Kalifornia, 1990 rok.



Brązowa klamra, którą Jerzy Górski otrzymał jako dowód ukończenia 100 mil w czasie poniżej trzydziestu godzin. Do dziś Jurek nosi ją na pasku od spodni.



Jerzy Górski na rowerze Colnago, który dostał od Czesława Langa.



Etap pływacki zawodów Double Ironman, Alabama, Huntsville, 1990 rok.



Ceremonia dekoracji najlepszych zawodników w zawodach Double Ironman, Alabama, 1990 rok.



Jurek Górski (w środku) i jego support w zawodach Double Ironman. Po lewej Darek Janczewski, który wspierał Jurka podczas pierwszego maratonu i był jego tłumaczem. Po prawej Earle Harris, u którego Jurek mieszkał, przygotowując się do zawodów.



Brad Dale/Huntsville Times

Poland's Jerzy Gorski crosses the finish line in 24 hours, 47 minutes and 46 seconds to win the Double Ironman Triathlon in Huntsville over the weekend.

Wycinek z jednej z lokalnych gazet informujących o zwycięstwie Jurka Górskiego w Double Ironman. Po lewej stronie widać zegar z doklejoną papierową dwójką.

Rosół z kury

Amerykański dziennikarz Kelly Baldwin napisał w „The Huntsville Times”, że zwycięstwo polskiego zawodnika Jerzego Górskiego, w nieoficjalnych mistrzostwach świata w podwójnym triathlonie (pływanie — 8 km, jazda rowerem — 360 km i podwójny maraton, czyli 81,4 km) jest największą sensacją w historii tej konkurencji. Spory udział w tym sukcesie mają Polacy zamieszkali w stanie Alabama — stwierdza Baldwin. — To oni wynaleźli taki środek dopingujący, który nie tylko dał Górskiemu pierwsze miejsce ale jest całkowicie niewykrywalny...

• Co to był za doping? Czyżby barszczyk z pasztecikiem? — zapyta liśmy Jurka Górskiego na lotnisku Okęcie jak tylko oswobodził się od uścisków licznej grupy powitanej z Legnicy i Głogowa.

— Po przejechaniu na rowerze półmetka, miałem tuż dość wody i płynów odżywczych podawanych mi na punktach, których wypilem 8 galonów. Nieco zdenerwowany krzyknąłem do naszych rodaków: — Dajcie mi coś konkretnego! No i gdzieś po drodze podał mi rosół z kury. Popijałem więc na punktach szklankę rosolu z rozdrobnionym kurczakiem i... zacząłem się zbliżać do prowadzącego Billa Grovine, który kilka lat temu był w kadrze olimpijskiej pływaków USA. Po pływaniu byłem trzeci i miałem do niego 34 minuty straty. W kolarstwie odrobiłem 11 minut. Natomiast podczas biegu rosół tak zadziałał, że tuż na 30 km wyszedłem na prowadzenie, a drugiego na mecie Fritza Brauna z Niemiec wvwrzedziłem o godzinę. Polonia w stanie Alabama jest specyficzna. Są to głównie naukowcy przemysłowcy. Dopinguwali mnie w niesamowity sposób. Jesteśmy z tobą? — krzyknęli. I rzeczywiście. Byli

wszędzie, na każdym kilometrze trasy, z polskimi ogromnymi flagami. Drzemali na trawnikach bo przecież zawody trwały ponad dobę.

• Wróciłeś z workiem medali i różnych nagród. Od której zacząłeś po przybyciu do USA?

— Startowałem w kilku imprezach biegowych triathlonowych, biathlonowych (rower i bieg) ale niestety nie mam tej pierwszej nagrody gdyż ja.. zjadłem. Była to bowiem mała pizza, za zajęcie piątego miejsca w biegu na 5 km w Alamosa tam gdzie mieszka Antek Niemczak. On wvzgrał i dostał dużą pizzę drugi mniejsza itd. Wpisowe także było pożywieniem. Każdy z uczestników zawodów przynosił artykuły spożywcze które potem przekazano najbardziejniejszym.

• Skoro zaczęliśmy od spraw kulinarnych, więc kontynuujmy. Miałeś może okazję dowiedzieć się jak odzwiają się czołowi amerykańscy triathloniści, biegacze?

— Owszem i nie tylko amerykańscy, ale i inni bowiem w Colorado, gdzie spędziłem ponad dwa miesiące trenują maratończycy Tanzanii, na czele z Juma Ikangaa Etiopii, Kenii. W przeciwieństwie do naszych, na trening wychodzą na czczo, przed

śniadaniem po wypiciu szklanki wody bądź jakiegos napoju odżywczego. Nie spotkałem się z polskimi metodami a więc najpierw obfite śniadanie, 2-3 godziny odpoczynku i dopiero trening. W codziennym menu zagranicznych zawodników dominują produkty naturalne: kiełki, otreby, płatki rodzynki, ryż, owoce wszelkiego rodzaju zieleniny. Mięsa i wędlin jedza bardzo niewiele.

• Czy oprócz Niemczaka spotkałeś innych polskich sportowców?

— Owszem m.in. kolarzy — Roberta Krzyżostaniaka i Jerzego Woźniaka. Jak powiedziałem z bólem serca wyjechali z Polski bowiem nie widzieli dla siebie przyszłości w sporcie. Czują się Polakami i podkreślają to przy każdej okazji. Inni nasi kolarze — Andrzej Mierzejewski, Cezary Zamara, Józef Włajr — ścigają się w zawodowych grupach.

• A Ciebie nie korufo, aby zostać w USA?

— Nie! Oprócz sportu mam jeszcze inny obowiązek który sobie narzuciłem: odciać od życia jak największą liczbę młodych ludzi i skierować ich na drogę radosnego życia. Jedną z nich jest właśnie sport.

Rozmawiał:

JANUSZ KALINOWSKI

P. S. Przewodniczący KMKF, Zygmunt Lenkiewicz, przyznał Jerzemu Górskiemu brązowy medal „za wybitne osiągnięcia sportowe”. Jest to pierwsze wyróżnienie w historii polskiego triathlonu.

Artykuł w „Kurierze Polskim” z września 1990 roku, w którym Janusz Kalinowski opisuje zwycięstwo Jerzego Górskiego w „nieoficjalnych mistrzostwach świata w podwójnym triathlonie”.



Medal za wygrane zawody Double Ironman w Alabamie w 1990 roku.



Jurek Górski z medalami najważniejszych dla siebie zawodów: Double Ironman i The Western States 100-Mile Endurance Run.



Jerzy Górski podczas zawodów Ultraman na Hawajach w 1995 roku. Strefa zmian z pływania na rower. Na brzuchu i przedramionach widać blizny po cięciach żyłką i nożem.



Jerzy Górski podczas zawodów Ultraman na Hawajach w 1995 roku. Na zdjęciu w serwisie rowerowym po złapaniu gumy na trasie.



Budynek oddziału dla narkomanów szpitala psychiatrycznego w Lubiążu, w którym leczył się Jurek Górski. Dziś już nieczynny, zniszczony i opuszczony. Z jednego z okien na pierwszym piętrze, widocznych na zdjęciu, Jurek Górski wyskakiwał po prześcieradłach, uciekając ze szpitala.



Łukasz Grass i Jarek Łabus podczas zbierania materiałów do książki.



Jerzy Górski w domu autora podczas porządkowania notatek i dokumentów opisujących historię choroby, leczenia i kariery sportowej. Józefosław, sierpień 2014 roku.



Jerzy Górski w miejscu dawnej przeprawy promowej, którą można było dostać się do szpitala psychiatrycznego w Lubiążu. W oddali widać kościół w Lubiążu.



Łukasz Grass i Jerzy Górski podczas treningu biegowego na tak zwanym Górkowie w Głogowie, gdzie zlokalizowany jest tor motocrossowy. Jerzy Górski organizuje tam co roku festiwal biegowy Cross Straceńców (fot. Aleksandra Szymankiewicz).